

**Erich Maria Remarque**

**Dom marzeń**

*(Die Traumbude)*

*Tłum. Andrzej Zawilski*

Pamięci Fritza Hörstemeiera  
i Lucile Dietrich

## I

W rozkwitających ogrodach buszował majowy wiaterek. Nad wiekowymi murami zwieszały się gałęzie ciężkie od bzu; bił od nich duszący, słodki zapach. Malarz Fritz Schramm wolno przemierzał stare zaułki. Raz po raz przystawał, wprawne oko wyławiało z ciemności jakiś oryginalny wykusz, co chwila wzrok zatrzymywał się na szczytach starych domów, wyjątkowo urokliwych na tle wieczornego nieba. Ręka artysty bezwiednie sięgała po szkicownik i wystarczyło kilka pośpiesznie skreślonych linii, by powstał urzekający rysunek. Kiedy po chwili, chcąc naszkicować małą, zniszczoną furtkę ogrodową, znów przystanął, z uśmiechem potrząsnął głową, spojrział na zegarek i przyspieszył kroku. Wkrótce jednak zwolnił i szedł dalej spacerkiem. Spokojnie, myślał, wieczór jest zbyt piękny... Mijały go pary zakochanych i zagłębiały się w mrok.

Upojny dzień odmienił ludzkie twarze, usunął z nich zmęczenie i smutki, upiększył je, wygładzając wszelkie zmarszczki. Przeszłość i codzienne troski stawały się czymś nierealnym. Ciepły wieczór delikatną mgiełką otulił niedawne rozterki, cicho przypominał o nadejściu wiosny. Szelest majowego wiatru szeptem wzywał do porzucenia dręczących myśli i zachwycenia się urodą świata. Słuchając go, zakochani mocniej tulili się do siebie i z jeszcze większym oddaniem patrzyli sobie w oczy.

Z błękitniejących w oddali wzgórz, z ogrodów, w których kwitły bzy, łagodny wiatr przynosił jakąś nieokreśloną tęsknotę. Była to tęsknota za miłością.

Fritz Schramm w zamyśleniu patrzył na jaskółki, ze szczebiotem krążące w powietrzu.

– Lu... – powiedział po chwili do siebie.

Głęboko westchnął. Wciąż żył przeszłością; szedł przez miasto, niemal nie dostrzegając wiosny. Przemierzył kasztanową aleję i dotarł w pobliże domu położonego nieco na uboczu.

Zrobiło się prawie całkiem ciemno. Zmrok opadał na ulice szaroniebieskim cieniem. Fritz zatrzymał się i nasłuchiwał. Skądś było słyhać muzykę. Powoli oderwane dźwięki zaczęły się układać w melodię. Na tle stonowanego akompaniamentu fortepianu ktoś śpiewał miękim głosem. Wraz z ciepłym powiewem muzyka przenikała do ogrodu. Teraz również słowa były zrozumiałe. Serce malarza zamarło.

Znajoma pieśń rozbrzmiewała coraz wyraźniej, z melodią powracały obrazy przeszłości; Fritz znów słyszał ukochany, utracony głos. Przejęty podszedł bliżej.

To była ta sama pieśń, którą mu tak często śpiewała... Jego ukochana Lu, z którą się rozstał na zawsze. Melodia pieśni tchnęła tęsknotą.

*Z najmłodszych lat, z najmłodszych lat  
Brzmi pieśń ma bezustannie,  
Tak dawny czas, odległy świat,  
Co moim był, był dla mnie...*

[Wiersze w przekładzie Romana Baka.]

Poruszony do głębi Fritz przeszedł przez ogród i zatrzymał się na stopniach wiodących do domu. Kiedy przez oszklone drzwi zajrzał do pokoju muzycznego, jego oczom ukazał się pełen uroku obraz; malarz stał jak oniemiały. Wnętrze tonęło w mroku, wieczór zabarwił je kolorem pociemniałego błękitu. Na fortepianie płonęły dwie grube świece. Ich światło odbijało się w białych klawiszach; miękkie złoto rozjaśniało ciemności, tworząc delikatną aureolę wokół jasnych włosów i profilu dziewczyny siedzącej przy fortepianie. Jej ręce spokojnie błędziły po klawiaturze. Zarys kształtnych ust ocieniał smutek, nawet melancholia, w błękitnych oczach odbijała się tęsknota. Fritz wszedł do pokoju, dywan tłumiał jego kroki. Naraz otworzyły się drzwi i ukazała się pani domu.

– Pan Schramm, nareszcie... – zaczęła tonem, w którym powściągliwość mieszała się z serdecznością. – Już zwątpiliśmy, że pan przyjdzie.

– Zasłużyłem na wymówkę. – Fritz pochylił się ku jej dłoni. – Ale zawinił wieczór, jest naprawdę cudowny. W dodatku... – Wskazał pokój muzyczny.

– Tak, mamy nowego gościa, moja bratanica wróciła z pensji. Ale... proszę za mną, radczyni Friedheim nie może się już doczekać. Dostanie się panu...

– No właśnie... – Fritz i gospodyni wymienili porozumiewawcze uśmiechy.

W otwartych drzwiach stanęła korpulentna dama i zdecydowanym krokiem ruszyła w stronę malarza.

– Widzę, że nasz maestro zdecydował się w końcu przyjść! – zawołała, po czym uścisnęła rękę Fritza. – Doprawdy, zachowuje się pan nieodpowiedzialnie. – Przyglądała się życzliwie malarzowi przez lornion. – Nie wolno tak lekceważyć przyjaciół. Nie ma pan pojęcia, z jaką niecierpliwością czekamy na obrazki ze słonecznej Italii, które nam pan niedawno obiecał!

– Ma pani rację – uśmiechnął się Fritz. – Idąc tutaj, zrobiłem jednak kilka interesujących rysunków. Dlatego się spóźniłem. Przyniosłem je specjalnie dla pani.

– Ma je pan? Cudownie, proszę pokazać, na pewno są nadzwyczajne.

Ze szkicami w ręku skierowała się w stronę drzwi; po chwili malarz i pani domu udali się za nią.

– Zawsze ten sam entuzjazm – mówił Fritz. – Niezależnie od tego, czy chodzi o impresjonizm, ekspresjonizm, muzykę, literaturę, malarstwo... uwielbia wszystko, co dotyczy sztuki.

– Ale chyba najbardziej interesują ją artyści – dodała gospodyni. – Teraz stara się pomóc pewnemu młodemu poecie. Zna go pan, to Wolfram...

– Ten od czerwonego krawata i rytmicznej muzyki?

– Trzeba być wyrozumiałym. Młodzi lubią się wyróżniać. Wkładając czerwony krawat, demonstrują rewolucyjne poglądy. Na tym też zwykle poprzestają.

– Wczoraj u szewca, tego poczciwego Mullera, zetknąłem się z czymś podobnym. Muller ma pięcioro dzieci, energiczną żonę, o dziesiątej wieczór musi być w domu, głośuje na konserwatystów, słowem, mieszczuch co się zowie. Kiedyś odkryłem u niego kilka prac Marksa i Lassalle'a; czytał je w młodości, sporo mi o tym opowiadał. Kto wie, co takiego w przeszłości zamierzał. Ale życie, a także charakter, który odziedziczył po swych zacnych mieszczańskich przodkach, ostatecznie wzięły górę. I dobrze mu z tym. Dawne, mocno wyblakłe młodzieńcze marzenia, wielkie plany i idee sprowadzają się dziś u niego do czerwonego krawata, który wkłada w każdą niedzielę. Taki krawat może wprawić w smutny nastrój – mówił dalej Fritz. – Ale czy z nami nie jest podobnie? Co nam zostało...? Jeśli tylko czerwony krawat, to niewiele. Bywa, że jeszcze mniej... Jakiś pukiel włosów, zatarty obraz... mgliste wspomnienie... Aż w końcu z nami stanie się to samo... Ach, lepiej o tym nie myśleć.

– Tak, drogi przyjacielu, nie trzeba o tym mówić – odezwała się cicho gospodyni.  
– Szczególnie teraz, w maju...

– Kiedy mnie właśnie teraz nachodzą mroczne myśli. Czy to nie dziwne, że gdy otacza mnie tyle szczęścia i wszędzie jest tak pięknie, odczuwam smutek? Choć jest jeszcze coś, co wpędza mnie w ten minorowy nastrój...

Z salonu dobiegał energiczny głos radczyni:

– Gdzie pan się, u licha, podziewa?

– Oto przeciwieństwo tonacji minorowej, nieustające C-dur – zaśmiała się pani domu i wraz z Fritzem przeszli do salonu.

– Nareszcie! – krzyknęła radczyni. – Te ciche szepty! Już zaczynałam was podejrzewać.

– Niemożliwe! Z moją siwą głową? – Gospodyni wskazała na swe wciąż jeszcze piękne włosy.

– Na to chyba jesteśmy odrobinę za starzy – zawtórował Fritz.

– Mój Boże, cudowne, pan jest za stary! – trajkotała radczyni. – W wieku trzydziestu ośmiu lat?

– Choroba postarza.

– Akurat... Gadanie. Kto jest młody duchem, ma również młode ciało! Proszę usiąść. Walczyłam jak lwica, żeby zostawili panu trochę herbaty!

Mimo protestów Fritza podsunęła mu talerz z ciastkami, których starczyłoby dla kompanii wojska. Fritz zjadł ciastko i rozejrzał się. Wyraźnie mu czegoś brakowało.

W pewnej chwili otworzyły się drzwi od pokoju muzycznego i zapachniało bzem; do salonu weszła młoda dziewczyna. Pani domu objęła ją opiekuńczo.

– Chyba dość już marzeń, Elisabeth? Przyszedł pan Schramm...

Fritz wstał i zachwycony patrzył na pełną powabu postać.

– Moja bratanica Elisabeth Heindorf, nasz serdeczny przyjaciel pan Schramm – przedstawiała pani Heindorf.

Dwoje ciemnobłękitnych oczu spojrzało na malarza w chwili, kiedy ścisnął szczupłą dłoń.

– Przyszedłem dość późno – zaczął Fritz.

– To zrozumiałe... Kiedy wokół jest tak pięknie, nie ma się ochoty na towarzyskie spotkania.

– A jednocześnie się tęskni.

– I to jest dziwne... Tęskni się za kimś, kto nie istnieje.

– Może tylko tęsknimy do czyjegoś człowieczeństwa.

– Do czegoś, co trudno nazwać...

– Prawdziwa tęsknota jest zawsze bezimienna.

– To bolesne...

– Tylko na początku. Później, kiedy już o tym wiemy, potrafimy się godzić z rzeczywistością. Życie jest cudem, w życiu jednak nie ma cudów.

– Ależ są! – W oczach Elisabeth pojawił się błysk.

Fritza poruszył jej zapal. Przypomniawszy sobie młodość; wtedy myślał tak samo. Czuł, że musi zrobić wszystko, by to śliczne stworzenie nie straciło wiary w cuda.

– Zatem pani wierzy, że cuda są częścią życia?

– O tak... Tak...!

– Więc niech się pani tej wiary nie wyrzeka! Nigdy! Bo to prawda! Zechce pani usiąść z nami?

Elisabeth usadowiła się w fotelu, który przysunął Fritz...

– Bo pan, panie Schramm, chyba w cuda nie wierzy.

Fritz przez chwilę przyglądał się jej w milczeniu, po czym twardo oświadczył:

– Nie!

Pani Heindorf skinęła na służącego. Na stole pojawiła się taca, a na niej cygara, papierosy i likier.

– Proszę się częstować, panie Schramm – zachęcała gospodyni.

– To jedna z moich słabości – rzekł Fritz, biorąc papierosa.

– Paul, ja też poproszę! – zawołała radczyni.

– Cygaro... – cicho odpowiedział służącemu Fritz.

Paul wyszczerzył zęby w uśmiechu i podsunął radczyni pudełko czarnych cygar hawańskich.

– Może jeszcze fajkę – parsknęła radczyni oburzona.

Dostrzegłszy na ustach Fritza uśmiech, połapała się, czyja to sprawka, i pogroziła palcem dowcipnisiowi.

– Pani też pali? – zwrócił się Fritz do Elisabeth.

– Nie. I nie znoszę, kiedy kobiety palą.

– Słusznie. Nie każda kobieta może palić. Na przykład pani nie powinna tego robić.

– Co on tam znów opowiada? – odezwała się głośno radczyni, która podejrzewała, że znów zabawiają się jej kosztem.

– Mówimy o kobietach, które palą...

– Właśnie, panu jako artyście z pewnością nie jest to obojętne.

– Nie... Ale patrzę na to z artystycznego punktu widzenia.

– To znaczy?

– Palenie można traktować dwojako.

– Dla niektórych bywa zasłoną dymną. – Pani domu się uśmiechnęła.

Radczyni głośno się roześmiała.

– I dlatego mężczyźni tak dużo palą. Prawda, panie Schramm?

– Oczywiście. Dla mężczyzny palenie jest potrzebą, u kobiet to kokieteria!

– Uważa pan, że papieros nam nie smakuje? Nie daje żadnej przyjemności?

– Otóż to. Nie ma przecież rzeczy, do której kobieta by się nie zmusiła albo której by się nie wyrzekła, jeśli tylko uwierzy, że jej z tym do twarzy.

– A ja? Czy dobrze wyglądam z papierosem? – spytała radczyni kpiąco.

– Powiedziałem: jeśli uwierzy! A to jeszcze nie znaczy, że tak jest w istocie.

– Mistrzu, jest pan okrutny.

– Łaskawa pani, moje rozważania pani nie dotyczą. Motywy, którymi ludzie się kierują, sięgając po papierosa, wyraźnie wskazują, dlaczego kobiety palą. Robią to z czystej kokieterii.

– I bardzo dobrze. – Radczyni uśmiechnęła się, zaciągnąwszy się głęboko.

– Kobieta o subtelnej urodzie Madonny wygląda z papierosem nieestetycznie. Typ demoniczny, wypuszczając obłoczki dymu, staje się uwodzicielski. Ogólnie rzecz biorąc, kobiety ciemnookie i czarnowłose wyglądają z papierosem znacznie lepiej niż blondynki. Instynktownie to zresztą wyczuwają. Dlatego na południu spotyka się tak wiele nałogowych palaczek.

– Mnie się to nie podoba – rzekła Elisabeth.

Rozmowa zesłała na sprawy codzienne. Fritz rozsiadł się wygodnie w fotelu i zamyślony wpatrywał się w obłoki dymu. Myślał o nie dokończonym obrazie, który zostawił na sztalugach w pracowni. Zatytułował go Wybawienie; obraz przedstawiał załamanego mężczyznę oraz dziewczynę delikatnie głaszczącą go po głowie.

Modela już znalazł. Teraz rozglądał się za inspiracją do postaci kobiecej. Musiałaby to być osoba promieniejąca dobrocią, na tyle jeszcze młoda, by jej twarz nie wyrażała niczego określonego. W dłoniach powinna nieść światło, dobroć i radość. Uważnie przyglądał się Elisabeth. Właśnie w niej dostrzegał światło i spokój. Delikatny profil dziewczyny rysował się wyraźnie na tle ciemnego gobelinu, był jak przepojony liryzmem wiersz Eichendorffa. Elisabeth pochyliła głowę.

Nagle Fritza olśniło. Oto coś, czego szukał od dawna: dziewczyna do jego obrazu. Wyprostował się w fotelu. Spojrzenie, wyraz twarzy... To jest to. Postanowił jeszcze dziś pomówić o tym z panią Heindorf.

Pograżony w marzeniach zupełnie nie słuchał, czego dotyczy rozmowa. Za to młody poeta, który dotychczas milczał, mówił teraz bez ustanku, wymachując z przejęciem rękami. Goethego nazwał filistrem, a jego mądrość życiową określił jako nieustanne poszukiwanie przytulnego ciepła.

Fritz się uśmiechnął. Mocne słowa... W gruncie rzeczy błazenada... Na szczęście życie spokojnie toczy się dalej.

Młodzieniec uczeplił się teraz Eichendorffa.

– Eichendorff to prostoduszny romantyk, jego poezja przypomina cienki wiejski kapuśniak i dziś jest już nieaktualna...

Elisabeth uniosła się w fotelu.

– A ja uwielbiam Eichendorffa.

Zupełnie zbity z tropu poeta zamilkł.

– Popieram panią – włączył się Fritz. – Też za nim przepadam. Jego nowele i wiersze są naprawdę piękne. Jest taki niemiecki! A przy tym ani śladu natrętnego nacjonalizmu. Coś takiego należy dziś u nas do rzadkości. Ile razy przed podróżą do Włoch po nocach przypominałem sobie:

*Złociste dziś błyszczą gwiazdy,  
Przy oknie samotny trwam,  
Głos trąbki pocztowej jazdy  
W oddali wśród ciszy drga.  
Serce się w piersi rozpala  
Na myśl, jak pięknie by móc  
Jechać z kimś wespół do rana  
W tę letnią cudowną noc.*

– Italia... – rozmarzyła się Elisabeth.

– Tęsknota za nią leży w niemieckiej naturze – rzekł Fritz. – Wszyscy to przeżywaliliśmy. W niemieckiej duszy tkwi jakaś dwoistość: jej część stale wyrывa się



do włoskiego słońca, tak jak do marmurowych świątyń Akropolu. Za swą miłość do Italii dynastia Hohenstaufów, od Barbarossy poczynając, po młodzieńckiego Konradyna, który zginął z ręki włoskiego kata, płaciła utratą tronu i życia. Idźmy dalej: nasi malarze, poeci – Eichendorff, Schwind, Heine, Muller, Goethe...Mignon...

– Czy znasz ten kraj – zanuciła radczyni.

– Zaśpiewaj, Elisabeth – nalegała pani Heindorf.

Elisabeth nie dała się długo prosić; podeszła do fortepianu.

Fritz rozsiadł się wygodnie i wsłuchał w śpiew, nie spuszczać oczu ze ślicznej głowy otoczonej burzą ciężkich złocistych włosów, połyskujących w drżącym świetle świec.

Czy znasz ten kraj, gdzie się cytryna złoci...

Zrobiło się cicho. Powoli wybrzmiewał ostatni akord. Elisabeth wstała i wyszła na taras.

– Jakie... to... piękne! – wyszeptał ochrypłym głosem poeta.

W końcu radczyni zaczęła się żegnać. Fritza jednak pani Heindorf nie chciała wypuścić; tłumaczyła, że przyszedł przecież tak późno. Malarz został więc, a gospodyni wyszła odprowadzić gości.

Elisabeth wróciła do pokoju. Fritz chciał jej podziękować za wykonanie pieśni, ale spostrzegł, że dziewczyna płacze. Zdumiony chwycił ją za rękę.

– To nic – powiedziała – zupełnie nic, tak jakoś mnie naszło. Gdy wyszłam na taras, przepełniała mnie jeszcze muzyka. Nagle usłyszałam dolatujący z dołu chichot jakiejś dziewczyny i stłumiony męski głos. Wtedy nie wytrzymałam... proszę nic nie mówić cioci... już mi chyba przeszło...

– Może mi pani ufać – zapewnił Fritz.

– Tak, wiem. Choć prawie się nie znamy, przy panu jestem dziwnie spokojna. Mam wrażenie, że gdybym potrzebowała pomocy, zawsze mogłabym na pana liczyć.

– I nie myli się pani – odparł malarz. – Dzięki temu, co usłyszałem, łatwiej mi wyrazić moją prośbę. Maluję teraz obraz, dwie osoby: zrozpaczonego mężczyznę, osłaniającego ramieniem głowę przed razami, jakich nie szczędzi mu życie, oraz dziewczynę o promiennych oczach, która niosąc w dłoniach światło, delikatnie dotyka jego włosów. Mężczyznę już mam. Dziś w pani znalazłem model dziewczyny. Czy pozwoli się pani sportretować?

– Bardzo jest pan przywiązany do tego obrazu? – zapytała Elisabeth.

– Bardzo. Chodzi tu bowiem o pewną dodatkową ideę. Chcę przedstawić moment, w którym człowiek przechodzi od myślenia wyłącznie o sobie do myślenia o drugim, tę chwilę, kiedy pęka skorupa egoizmu, człowiek wyrzeka się siebie i oddaje swą pracę ogółowi. Młodości. Albo ludzkości. Świetlista dziewczyna powinna uzmysławiać ukojenie, jakiego doznajemy, wyrzekając się własnego szczęścia. Tragizm tworzenia...

– Słyszałam, że artysta kocha swoje dzieło, ponieważ zostawia w nim część samego siebie.

– Myślę, że to prawda.

Do pokoju weszła pani Heindorf.

– Zrobiło się ciemno. Może zapalimy światło?

– Nie – prosiła Elisabeth. – Tak jest o wiele przyjemniej.

– Chcę pani coś wyznać – zwrócił się do gospodyni Fritz. – Pamięta pani, jak się namęczyłem, zanim znalazłem modela do mojego obrazu? Za to nadspodziewanie prędko znalazła się modelka... pani siostrzenica. Czy zgodzi się pani, bym ją namalował?

– Ależ, drogi przyjacielu, z całego serca – rzekła pani Heindorf. – Bardzo się cieszę, że tak od razu mogę spełnić pańskie życzenie.

– I nie będzie pani miała nic przeciwko, jeśli zaraz weźmiemy się do dzieła?

– Oczywiście, że nie. Zaczynajcie już jutro...

– Tylko gdzie? Mogę przychodzić tutaj, ale w pracowni mam pod ręką wszystko, co potrzebne. Światło też tam jest lepsze.

Pani Heindorf spojrzała na niego, potem na Elisabeth.

– Co ty na to, Elisabeth?

Oczy dziewczyny błyszczały.

– Teraz już wiem czego tak naprawdę chcesz – rzekła pani Heindorf, uśmiechając się dobrodusznie do Fritza. – To mała marzycielka. – A po chwili, z poważnym wyrazem twarzy, patrząc przenikliwie na malarza, dodała: – Panie Schramm, znamy się dobrze i to powinno wystarczyć. Nie będziemy sobie zawracać głowy niemodnymi konwenansami. O której Elisabeth ma jutro przyjść do pana?

– Bardzo pani dziękuję. – Fritz z szacunkiem pocałował dłoń starszej pani. – Jeśli to możliwe, o trzeciej.

– Odpowiada ci, Elisabeth?

– Tak... Oczywiście, że tak...

– Nie miałam cienia wątpliwości. – Gospodyni się uśmiechnęła. – Cóż, wieczór jest taki piękny. Przenieśmy się jeszcze na chwilę na taras. A na okoliczność, że znalazł pan modelkę, wypijmy po kieliszku białego wina.

Zadzwoiła na służącego i poprosiła, by wyniósł na taras plecione fotele i poduszki oraz zapalił barwne lampiony.

Na dworze zrobiło się całkiem ciemno. Pośród rozkwitających wiśni pojawił się księżyc w pełni. Jego srebrzysty blask rozjaśniał czerniejącą w oddali ścianę lasu. Na niebie błyszczały gwiazdy. W kieliszkach perliło się wino.

Pani Heindorf wzniosła toast:

– Za dzisiejsze pańskie odkrycie, za obraz i sztukę!

Kieliszki stuknęły o siebie, zadźwięczało lekko szkło.

– Za odkrycie – powtórzył cicho Fritz i jednym haustem opróżnił swój.

Zapadła cisza. Każdy myślał o własnych sprawach.

– Lu... – wyrwało się nagle pogrążonemu we wspomnieniach malarzowi.

– Czyżby ta rana jeszcze się nie zagoiła? – zapytała nieśmiało gospodyni.

– Nigdy się nie zagoi – mruknął Fritz. Zaraz się jednak ożywił: – Bynajmniej się nie skarzę. Swoje od życia dostałem, nie żyłem samymi marzeniami jak mój biedny przyjaciel Hörmeier, który już dawno spoczywa w ziemi.

– Proszę opowiedzieć.

– Był malarzem dekoratorem. Oszczędzał i każdy zarobiony grosz przeznaczał na książki. Czytał po całych nocach. Połowę Goethego znał na pamięć. W końcu i w nim obudził się poeta. Zaczął pisać, także po nocach, wiersze i dramaty. Głęboko wierzył w sukces. Z przekonaniem twierdził, że dzięki honorarium za sztukę teatralną, która z pewnością zrobi furorę, wyjedzie do Włoch. Nauczył się nawet włoskiego. Niczego nie dożył – ciągnął Fritz po krótkiej pauzie – ani sukcesu swej sztuki, ani podróży do Italii. Dość szybko zmarł na zadawnioną chorobę płuc. – Nieobecny wzrokiem patrzył przed siebie. – Powie ktoś: jeszcze jeden mało praktyczny niemiecki głupiec. I trudno się nie zgodzić. Mnie to jednak bardziej przekonuje niż chęć podboju świata.

– Fritz umilkł i wpatrywał się w ciemność. W zupełnej ciszy było słycać szum ogrodowej fontanny.

– Jaki spokój... – odezwała się Elisabeth.

– Jakby już było lato... prawdziwe niemieckie lato – dodała pani Heindorf.

– Letnia noc w Niemczech ma jakiś specjalny urok – mówił Fritz zamyślony – ta właśnie noc, którą spędzamy pod ojczystym niebem. Chyba żaden naród nie zachwyca się obcymi krajami tak jak my, nie przejawia takiej fascynacji tym, co odległe; czasem nawet posuwamy się za daleko i nasze małpowanie innych zasługuje na wzgardę. Przyjrzyjmy się jednak, jak nasz rodak Schmidt zamienia się w amerykańskiego Smitha: mówi wyłącznie po angielsku, nadaje dzieciom obce imiona, Mac i Maud, słowem gwizdże na Niemcy i trudno nazwać go inaczej niż bezmyślnym odszczepieńcem! Ale niech tylko pan Smith usłyszy świąteczne dzwony, poczuje zapach bożonarodzeniowego ciasta z rodzynekami, ujrzy oświetloną choinkę; wtedy pomimo całej angielszczyzny, mimo Maca i Maud, staje się na powrót poczciwym Schmidtem, zapomina o swych interesach, o pogoni za dolarem. Znów jak każdy Niemiec uwierzy w baśnie i cuda. Jeśli nawet w bezgwiazdne noce po tysiakkroć desperacko zaciskał zęby i wyłamywał palce, nie wyrwie z siebie tej wiary! Czy wieczna młodość naszego narodu, ta tylekroć wykpiwana naiwność i dziecinna niezaradność, czy to nie jest cudowne? Nie jestem politykiem, gwizdżę na polityczne orientacje. Jestem człowiekiem i to cała moja polityka! Jestem jeszcze prócz tego

artystą. Dlatego nieporadnego prostaczka w koronie swojskości, wierzącego w gusła i czary stawiam znacznie wyżej od chytrego kupczyka, tak często spotykanego w krajach naszych pobratymców, traktującego życie jak rachunkową kalkulację. Świat w ogóle jest piękny, jednak najpiękniej jest u nas – mówił dalej malarz. – To subiektywne. Wiem, że Anglik, Francuz, Hiszpan powie to samo i oczywiście będzie miał rację. Tym bardziej Włoch. Mimo to obstaję przy swoim. I też mam rację! Kiedy pod błękitnym rzymskim niebem podziwiałem pentelikońskie i kararyjskie marmury, przypomniałem sobie nagle nasze letnie wieczory i ogarnęła mnie taka tęsknota za ojczystym krajem, że musiałem natychmiast wracać. Na widok pierwszej napotkanej brzozy wzruszyłem się do łez.

Fritz wstał i podniósł kieliszek.

– Ostatni toast wzniesmy za naszą ojczyznę!

Zadźwięczało szkło.

– Za nasz ukochany kraj! – odezwała się zdecydowanym głosem Elisabeth.

Opróżniono kieliszki do dna.

## II

Fritz Schramm porządkował pokój obok pracowni. Ubrany w jasnożółtą lnianą bluzę krzątał się z zapalem, przesuając to i owo; na koniec do starego cynowego dzbana wstawił trzy lilie i zadowolony przez chwilę podziwiał swoje dzieło. Potem starannie nabił zakrzywioną ciemnobrązową fajkę i zapalił, wydmuchując obłoczki błękitnego dymu w rozmigotane od słońca powietrze.

Rozległo się ciche pukanie. Fritz wstał.

– Proszę...

Weszła Elisabeth. Onieśmielona, mimo woli zatrzymała się na widok tego, co ujrziała.

Na poddaszu dominował kolor brązowy. Pod ścianami obrazy bardzo wiele obrazów. Z jednej strony ciemny drewniany regał z książkami, których kolorowe grzbiety jaśniały w słońcu. Na okrywającej regał niemal czarnej materii opalizowały muszle, barwne kamienie i kawałki bursztynu. Między nimi stał tancerz wyrzeźbiony w bejcowanym na brąz drewnie. Pod maską pośmiertną Beethovena, wiszącą na ścianie na podkładce z purpurowego sukna, pyszniły się pąsowe róże.

Do skośnej ściany gospodarz przytwierdził kilka rycin i obraz przykryty czarną zasłoną.

– Witam panią w domu mych marzeń – powiedział Fritz i widząc pytanie w oczach Elisabeth, dodał: – To mój kącik beethovenowski, obok tego magicznego okna. Wszystkie przedmioty to pamiątki, wspomnienia miłych chwil. Przed Beethovenem, którego uwielbiam, zawsze stawiam róże. Kwiaty mają w sobie coś czystego... i są zawsze piękne.

Urok tego niewielkiego, przytulnego atelier wywarł na Elisabeth ogromne wrażenie. Zapach kwiatów był tak odurzający, że w oczach dziewczyny pojawiły się łzy.

To dziwne: od jakiegoś czasu dość często bez powodu płakała. Częściej także się śmiała – również bez widocznej przyczyny. Czuła, że temu mężczyźnie mogłaby to wszystko opowiedzieć. Ogarniał ją przy nim niezwykły spokój.

– Jeszcze przez dwie godziny wystarczy światła i da się malować – rzekł Fritz. – Proszę się nie przerażać, nie będzie pani musiała tak długo stać. Pomęcę panią najwyżej pół godziny. Ale chcę się dobrze pani przyjrzeć, a dwie godziny to wcale nie tak dużo. O której musi pani wracać?

– Wolno mi zostać tak długo, jak tylko zechcę!

– Świetnie. Wobec tego najpierw trochę porysujemy, a potem porozmawiamy, dobrze? Chodźmy do pracowni.

Przeszli do sąsiedniego pomieszczenia, o szerokich i wysokich oknach z jasnymi zasłonami; wszędzie wisiały lub stały oparte o ściany szkice albo nie dokończone obrazy.

Fritz sięgnął po jakąś teczkę i przestawił jeden z obrazów tak, by był widoczny.

– Wszystko o idei mojego obrazu słyszała już pani wczoraj. Oto szkice. To jest studium męskiego modelu, na sztaludze również olejny szkic. Te znów rysunki pokazują, jak próbowałem wyobrazić sobie dziewczynę. Sama postać wszędzie wygląda podobnie, rysy jej twarzy, spojrzenie są niejasne: to wciąż obraz, którego szukam. A kto szuka, ten znajduje. Spróbuję teraz panią ustawić. Proszę stanąć na tle tej błękitnej zasłony i wyobrazić sobie zrozpaczonego wędrowca na pustyni, któremu pani, jak boski posłaniec, podaje wodę życia... Właśnie tak... ręce trochę niżej, twarz bardziej zwrócona w stronę zasłony... i proszę już tak zostać.

Fritz chwycił ołówek i szybkimi, zamaszystymi pociągnięciami zaczął kreślić na arkuszu papieru czarne linie.

– Tak... – odezwał się po chwili z westchnieniem ulgi. – Ruch już mamy. Teraz trzeba prędko utrwalić ustawienie. Dzięki temu jutro bez kłopotów je odtworzymy. – Przyniósł aparat fotograficzny, nastawił go, rozległ się trzask. – Dzięki! Jest pani wolna.

– Mogę zobaczyć?

– Oczywiście, bardzo proszę.

– Nic nie rozumiem...

– Nie tak prędko. – Fritz się roześmiał. – Tutaj widać ramię. Chodzi o to, by jeszcze uchwycić ruch. Chciałbym teraz naszkicować pani profil. Chyba że jest pani zmęczona? Proszę się przyznać. Kiedy malarz zabiera się do pracy, przestaje na cokolwiek zważać... Nie? Zatem do dzieła...

Podsunał dziewczynie fotel.

Na tle błękitnej zasłony głowa Elisabeth wyglądała prześlicznie. Zanim Fritz przystąpił do pracy, przez chwilę z zachwytem przyglądał się subtelnym rysom dziewczyny. Potem dość długo rysował, nie przerywając.

Na koniec zmrużył oczy i próbował nanieść na papier światło i cienie.

– Nudzi się pani? – zapytał. – Kiedy rzucam się w wir pracy, zapominam o powinnościach gospodarza...

– Bynajmniej – odparła Elisabeth. – Zapatrzyłam się na tę wyrazistą twarz. Tyle w niej młodzieńczej siły, zuchwałości, ale też refleksji, a w zarysie ust nawet pewnej goryczy... naprawdę piękny obraz...

– Taki też jest oryginał.

– Czy to ktoś stąd?

– Z tego pokoju.

– Ktoś jeszcze z panem mieszka?

– Tak, pewien młody człowiek, przyjaciel. Nazywa się Ernst Winter i jest teraz w Berlinie. Studiuje muzykę.

– Musi pana bardzo lubić...

– Nie kryję, że z wzajemnością.

– Jest przecież od pana dużo młodszy.

– Na tym właśnie opiera się nasza przyjaźń. On jest młody, żywiołowy, porywczy; bywa też sentymentalny, a nawet zgorzkniały, co zresztą sama pani odgadła. Moje życie się skończyło; teraz próbuję tylko niektóre sprawy zgłębić, nadać im harmonijny bieg. To dojrzałość połączona z doświadczeniem. Ja i Ernst się uzupełniamy. W mojej przyjaźni dla niego tkwi coś z uczuć ojcowskich, dlatego potrzebuje mnie bardziej niż ja jego. W miłości lub przyjaźni nie należy się spodziewać, że ktoś nam odplaci tą samą monetą. On zresztą nie jest jedyny. Bywa u mnie jeszcze kilku młodych ludzi, też są moimi przyjaciółmi. Lubię młodych, cieszy mnie, kiedy mogę im coś z siebie dać.

– Czy pańskie życie naprawdę się skończyło?

– Brzmi to trochę gorzko, choć nie powinno. Kocham życie. I niczego się nie wyrzekam. Inaczej: mam życie za sobą, dostałem wszystko, czego tylko mogłem się spodziewać. Moje życie spełniło się trochę za wcześnie i dlatego tak szybko przeminęło. Dlatego teraz, wcześniej niż inni, znalazłem się poza nawiasem. Z aktora stałem się widzem... to też ma swój urok.

– Czyżby życie było teatrem?

– I tak, i nie. Obiektywne poznanie nie istnieje, choć usilnie do niego dążymy. Czy można zatem ostatecznie rozstrzygnąć, co jest prawdą, co zaś teatrem, co rzeczywistością, a co złudzeniem? Mój przyjaciel – Fritz wskazał portret – też wciąż poszukuje. Jest człowiekiem czynu, więc łatwiej go oceniać niż ludzi karmiących się wyłącznie mętными rojeniami – ciągnął. – Myśli nie widać, a co niewidoczne, zgodnie z naszym prawem, uchodzi za dozwolone. Czynom zaś biada! Na szczęście Ernst nie dba o to, co o nim mówią. A nasze prawo! Gdy ktoś zabije, karze się go za morderstwo. Jeśli jednak otworzę fabrykę i zburzę w ten sposób egzystencję setki drobnych wytwórców, społeczeństwo uszanuje we mnie człowieka interesu... Tymczasem udało mi się naszkicować pani głowę. Robi się ciemno, musimy kończyć.

Fritz pokazał rysunek Elisabeth. Odsunął sztalugę i odwrócił się do dziewczyny.

Elisabeth stała przed portretem Ernsta Wintera. Uważnie mu się przyglądała.

– Wkrótce przyjedzie – rzekł Fritz. – Będzie miał kilka tygodni wolnego. Właśnie ze względu na Ernsta w pracowni stoi fortepian. Często improwizuje, ale najbardziej lubię słuchać, kiedy gra Beethovena lub Chopina. Chodźmy, teraz, o zachodzie, zakątek marzeń robi największe wrażenie.

Elisabeth przez chwilę się nad czymś zastanawiała; naraz szybko podeszła do Fritza i chwyciła go za rękę.

– Pan jest dobrym człowiekiem... I wszystko tu jest takie piękne... takie inne... niemal odświętne. Jak letni wieczór... Proszę, niech pan zostanie moim przyjacielem.

Fritza ogarnęło wzruszenie. Ile wody w rzece musiało upłynąć, jak wiele miernot spotkał, nim w końcu trafił na tę dziewczynę o duszy czystej jak krystaliczne wody włoskich jezior. Bez słowa wziął Elisabeth pod ramię i poprowadził do sąsiedniego pokoju.

Brązowe, pachnące różami poddasze pogrążało się w mroku. Chłonąc nastrój, oboje zatrzymali się w progu. Ostatnie promienie słońca wyłączały surowe oblicze Beethovena, czarownymi ognikami igrały na lśniących muszlach i kamieniach.

Na starej rzeźbionej półce, obok garnków i cynowych talerzy pamiętających poprzednie stulecie, stały kolorowe filiżanki. Spomiędzy nich Fritz ostrożnie wyjął trzy niezwyklej urody kieliszki z zielonego szkła i omszałą butelkę, ustawił na stole i w milczeniu napełnił winem. Obok jednego z kieliszków położył różę, którą wyjął z wazonu, spojrzał na zamyśloną Elisabeth i podał jej wino, sam wziął trzeci kieliszek.

– Wypijmy za naszą przyjaźń – powiedział – za urodę życia... i za osobę, której nie ma już wśród żywych.

Kieliszki z brzękiem uderzyły o siebie.

Przez chwilę Elisabeth stała bez ruchu. Naraz, drżąc na całym ciele, jednym haustem wypić do dna. Fritz oderwał kwiat, umoczył go w stojącym na stole kieliszku i podał jej, wino zaś wlał do wazonu z różami, który przesunął pod ukwiecony portret. W staroświeckim lichtarzu zapalił wszystkie świece.

– Ach, Lu... – westchnął, patrząc na obraz; wyraźnie stracił panowanie nad sobą. Oświetlony migotliwymi płomykami świec obraz ożył, wydawało się, że wyraziste oczy kobiety się uśmiechają, że poruszyły się jej usta. – Proszę wybaczyć – rzekł Fritz – to się zdarza. Najczęściej, kiedy wznoszę toast. Piję wino za te znieruchomiłe usta, kwiatami ozdabiam białe czoło... przeminęło...

Umilkł i patrzył na Elisabeth. Stała z odchyloną w tył głową, do jej szeroko otwartych oczu napłynęły łzy.

– Niech pani tylko nie płacze – prosił.

Przez okno wleciała ćma, okrążyła świecznik i opaliwszy sobie skrzydła, spadła na podłogę.

– Ćmy... Tak jak one spalamy się w ogniu naszego przeznaczenia.

– Proszę opowiedzieć o sobie – nalegała Elisabeth.

Fritz wpatrywał się w świece.

– Na imię miała Luiza, ale wszyscy mówili na nią Lu... Nad świecznikiem wisi portret, tak wyglądała. Pierwszy raz zobaczyłem ją którejś wiosny podczas



wieczornego spaceru. Była piękna. Marzyłem o niej, blask jej oczu rozjaśniał moje życie, jej osobowość wywierała na mnie dobroczynny wpływ. Razem przeżyliśmy cudowną, szaloną wiosnę, żar lata docierał do nas jedynie poprzez szum burzącej się krwi. Nadeszła jesień, a wraz z nią otrzeźwienie: zstąpiliśmy na ziemię. Chorowałem na płuca i byłem biedny jak mysz kościelna. Tymczasem Lu poślubiła szanowanego człowieka. Serce omal nie pękło mi z bólu. Sądziłem wtedy, że zostało mi najwyżej kilka lat życia; uważałem też, że ze swoją słabością i chorobą nie mam prawa do jej urody i młodości... Wkrótce udało mi się sprzedać kilka obrazów i zacząłem podróżować. Po kilku tygodniach, kiedy szczególnie mocno gryzła mnie tęsknota, dowiedziałem się, że ona też nie wytrzymała. Porzuciła męża i nie bacząc na chorobę, biedę, rodzinną klątwę, postanowiła do mnie przyjechać. Nie znalazła mnie, wróciła do domu. Wkrótce zachorowała. Dowiedziałem się później od matki, że ostatnim jej słowem było moje imię. Nie zobaczyłem jej już nigdy. Po moim powrocie na mogile Lu kwitły pąsowe róże. Nie potrafię zapomnieć – ciągnął Fritz. – Życie bez niej jest jak koszmarne sen. Pozostały mi jedynie te godziny o zmierzchu, kiedy przed portretem, który namalowałem w chwilach naszego szczęścia, płoną świece. Wtedy znów lśnią jej oczy, na kształtnych ustach, jak kiedyś, pojawia się uśmiech, zdaje mi się, że słyszę najdroższy głos... Drzę z tęsknoty... W duszy odżywa ból wspomnień, stale powracają słowa pieśni...

Zrobiło się już całkiem ciemno. Elisabeth patrzyła na przybrany kwiatami portret zmarłej kobiety. Czuła, że ociera się o wielką zagadkę życia, dotarła do niej prawda o przemijaniu. Bywa, że szczęście nas porywa i unosi ku słońcu, ku gwiazdom, poczynamy sobie coraz zuchwalej. Naraz wszystko się kończy i zawsze zostaje to samo: strata i żal.

– Miała piękny, choć niezbyt mocny głos – mówił wolno Fritz. – Uwielbiała pieśń, którą pani śpiewała tego wieczoru, kiedy zobaczyłem panią pierwszy raz: „Z najmłodszych lat...” Pieśń stała się symbolem – ciągnął. – Kiedy się otrząsałem, nie pragnąłem już niczego. Ale nie chciałem wyłącznie wegetować. By robić coś pożytecznego, zacząłem skupiać wokół siebie młodych; pojawił się Ernst, potem inni. I tak pomagam młodym, znam ich problemy... Nie potrafiłbym teraz żyć bez tych przyjaciół. W ten sposób, dzień po dniu, toczy się moje życie. Tak będzie do chwili, kiedy Atropos przetnie nić i znów otoczy mnie mrok nieświadomości.

Nieznane dotychczas struny odezwały się w duszy dziewczyny. Elisabeth czuła, że musi coś zrobić dla tego mężczyzny, chciała mu o wszystkim opowiedzieć, zrozumieć go i dzięki temu dotrzeć do istoty człowieczeństwa.

Wstała i chwyciła dłoń malarza. Powstrzymując łzy, prosiła:

– Jeśli pan pozwoli, ja też będę z panem... Chcę panu pomagać... pan mi również pomoże... Życie tak często nas zaskakuje... musi się kogoś mieć...

Fritz patrzył na dziewczynę.

– Elisabeth – zaczął cicho. – Tak bardzo przypominasz Lu. Kiedy cię usłyszałem, poczułem, że serce mi topnieje. Moja droga, młoda przyjaciółko...

– Dziękuję panu, bardzo dziękuję! – wykrzyknęła Elisabeth uradowana.

– Nie tak – rzekł Fritz. – Przyjaciele zwracają się do mnie inaczej. Chyba że chcesz być wyjątkiem...? Nazywają mnie wujkiem Fritzem.

– Wujek... Fritz... – powtórzyła z namaszczaniem Elisabeth.

Malarz pocałował ją w czoło.

Blask świec padał na obraz. I znów ożyły lśniące oczy kobiety z portretu, a jej usta rozjaśnił uśmiech.

### III

– Gdzie też może być wujek Fritz? – zastanawiała się Paula, potrząsając niecierpliwie główką i starannie ustawiając w wazonie gałązki bzu.

– Powinien się niebawem zjawić – śmiał się Fried. – Nie gorączkuj się tak, dopiero przyszedł. Ja czekam już ponad godzinę.

– Czyżby drzwi były otwarte?

– Były zamknięte, ale klucz tkwił w zamku.

– Przecież wie, że przychodzimy w piątki. Ale, ale – triumfalnie pomachała kartką wydartą z notesu – coś tu napisał...

– Doprawdy?

– Oczywiście! Fried, siedzisz tu od godziny i niczego nie zauważyłeś! Trzeba było do tego dziewczyny. I ktoś taki śmie twierdzić, że jest panem stworzenia. A więc: najpierw mamy jakiś rozpoczęty wiersz... dalej... drogie dzieci – aha – musiałem wyjść do miasta po cukier do herbaty, kobalt i cynober do malowania i czekoladki dla tego małego łakomczucha, Pauli. Masło i biszkopty stoją na stole, gdzie są filiżanki i cukier, wiece. Gdzie herbata, również. Czujcie się jak w domu, Fritz.

– Ten mały łasuch to ty – cieszył się Fried.

– Ja!?! Och, ten wujek Fritz! Wcale nie jestem łakoma – zarzekała się Paula, sięgając z obrażoną minką po kolejnego biszkopta.

– Bynajmniej – zapewnił ją Fried i podsunął jej całe pudełko ciastek.

– Fried jesteś wstrętny! – Paula tupnęła z pasją. – To wszystko przez Ernsta, on nie przepuści żadnej okazji do drwin. Mam już osiemnaście lat, uważaj! Dawno przestałam być dzieckiem!

– Nikt w to nie wątpi.

– A właśnie, że tak! Ty! Traktujesz mnie jak dzieciaka! Cały czas to okazujesz!

– Kajam się i proszę o wybaczenie i tak: wybacz, Paulinko, przecież jesteś już kobietą.

– Rzeczywiście?

– Z całą pewnością!

W oczach dziewczyny pojawił się szelmowski błysk.

– Świetnie! Fried, nie bądź głupcem, wcale nie chcę być młodą damą. – Paula śmiała się jak szalona.

Fried osłupiał. I zrozum tu kobietę, myślał w duchu.

– Fried...

– Co takiego?

– Jutro pójdziemy się opalać, zgoda.

– Chcesz też popływać w jeziorze?

– Pewnie! Jeśli tylko się da. Uwielbiam zrzucić ubranie i czuć słońce, wodę i wiatr. Niedawno rozmawiałam o tym z przyjaciółką i, wyobraź sobie uznała to za niestosowne. Aż dziwne, że jeszcze spotyka się ludzi o takich poglądach!

– Tak, niektórzy wciąż uważają ciało za coś grzesznego. Grzech... też coś. Przecież ciało jest piękne!

– Wujek Fritz też to często powtarza. Zamiast się wstydzić, powinniśmy się ciałem cieszyć. Wujek Fritz wie co piękne. Jak cudownie potrafi namalować zwyczajny akt! Jeśli w przyszłości kogoś poślubię, mój mąż będzie taki jak wujek Fritz. Niestety, drugiego takiego nie ma!

– Wiesz, że pracuje teraz nad tym obrazem? Znalazł modelkę.

– Wiem. To moja szkolna koleżanka, Elisabeth Heindorf.

– Musi być wyjątkowa...

– Ma się rozumieć.

– Nic dziwnego. Skoro jest twoją koleżanką...

– Zmieńmy temat, dobrze? Czy woda się zagotowała?

– Zaczyna szumieć.

– Podaj mi imbryk i herbatę. Tu są talerzyki i filiżanki. Nie pozwólmy, by wujek Fritz wytykał nam lenistwo.

Fried ochocho porozstawiał spodki i filiżanki. Paula z wprawą parzyła herbatę.

– Fried, wszystko nie tak! Przetaw kwiaty. Jeśli nawet w tym, co dotyczy sztuki, miewasz rację, w sprawach codziennych jesteś do niczego. Jacy wy, mężczyźni, jesteście głupi, co byście bez nas poczęli!

– Masz rację, Paulinko, życie bez was nie byłoby nic warte! – wołał ktoś od drzwi, śmiejąc się.

– Wujek Fritz, nareszcie. Pokaż, co kupiłeś. Pewnie znów dałeś się oszukać. Och, wy, mężczyźni.

Ciężko wzdychając, Paula przeglądała zakupy. Fried przywitał się z malarzem.

– Masz coś nowego, Fried?

– Nic godnego uwagi. Dziś po południu zatrzymałem się przez chwilę na wałach i naszkicowałem naszą majestatyczną katedrę. Tym razem od strony rzeki. Potem w Schölerbergu położyłem się na słońcu i medytowałem.

– To znaczy, że też pracowałeś. Praca nie zabiera artyście najwięcej czasu, przeciwnie, najmniej. Pomysł jednak dojrzewa długo i ten okres jest równie ważny. Praca twórcza dzieli się na aktywną i pasywną.

– Patrzyłem na chmury: stale w drodze, coraz to inne. Takie jak życie... barwne, niespokojne i piękne...

– Nie mów tego w obecności Ernsta. Jeśli będzie miał zły dzień, usłyszysz coś o rojeniach niedorosłych pańienek.

– Ależ, Fritz – zaproponowała Paula – kiedy Ernst ma dobry dzień, też pozwala sobie na marzenia. Świat, według niego, jest piękny. A najpiękniejszy byłby bez ludzi.

– W ostatnim liście tak pisał: Ludzie są najwspanialsii. Tylko to, co żyje, budzi mój zachwyty. I właśnie życie podziwiam w ludziach. Oboje macie rację, zgadzam się z Paulą i z tobą, Fried.

– Dosyć już tego gadania, chodźcie na herbatę – odezwała się z przekąsem Paula.  
– Wszystko od dawna gotowe, a was to nic a nic nie obchodzi.

– Paulinko, jesteś niezrównana!

– Naprawdę? Wujku, jak zwykle przesadzasz.

– Naprawdę. Moje uznanie!

– Jesteś, wujaszku, najlepszym z ludzi. Ten Fried oczywiście się nie odzywa, rozmyśla o chmurach i ptaszkach.

– Uważasz, że żartowałem?

– Paulinko, to ty przyniosłaś kwiaty?

– Oczywiście. Wszystkie kradzione. W parku rośnie tyle bzu, że postanowiłam coś z tego uszczknąć. Miejskim zieleńcom nie zaszkodzi, kiedy się je nieco przeredzi, dla nas tych parę gałązek to majątek. Więc ze spokojnym sumieniem narwałam tych kwiatów.

– Moralność nastolatki – śmiał się Fried.

– Dzięki, Paulinko. Ale lepiej nie popadaj w konflikt z prawem. Nie lubię składać wizyt w więzieniu.

– Bez obaw, wujaszku. Jeśli policjant mnie przyłapie, zajrzę mu czule w oczy, dam gałązkę bzu i powiem, że zrywałam te kwiaty dla niego. Na pewno pozwoli mi spokojnie odejść.

– Za próbę przekupstwa karze się jeszcze surowiej.

– Gdzie tam, nas puszcza się wolno. Wobec dziewcząt obowiązują inne prawa.

– Traktuje się was jak ograniczone umysłowo smarkule – szydził Fried.

– Tobie za to przydałoby się parę razy zdrowo wlepić. Co na to wujek Fritz?

– Spokój... Spokój... – Fritz próbował zażegnać kłótnię.

– To przez tego wstrętnego Ernsta zrobił się taki przykry. Przedtem był całkiem inny.

– Jeszcze gorszy?

– Znacznie miłszy!

– Uchodzić za miłego w oczach pewnej panienki... taki miałby być cel mojego życia?

– Nieokrzesany gbur!

– Młoda dama...

– Jestem też...

- Wciąż jeszcze, niestety, w przykrótkiej spódniczce, z mysimi warkoczykami.
- Wujku, pomocy! Wyrzuć go stąd!
- Ależ, Paulinko, on mówi prawdę.
- Jesteś po jego stronie?
- Nie, choć mówi ci komplementy. Tylko uważnie posłuchaj. Czy młoda dama z potarganą czupryną i niesfornymi warkoczykami nie jest doprawdy czarująca?
- Tak... z pewnością... ale... – Paula intensywnie nad czymś myślała, palec wskazujący bezwiednie włożyła do ust. – Naprawdę tak myślisz, Fried?
- Oczywiście.
- Zatem zgoda. Wujku, wkrótce dostanę nową suknię. Mama twierdzi, że muszę sama wyszukać materiał. Doradzisz mi, co kupić?
- Chętnie. Co sądzisz o kolorze chabrowym?
- Już taką mam...
- Biały jedwab...
- Biały...?
- No, to może delikatny batik na czarnym jedwabiu i jakiś oryginalny krój. Powiewne rękawy... coś w tym stylu. Narysuję ci.
- O, tak... Bardzo proszę.
- Vanitas vanitatum – westchnął Fried. – Czym byłaby kobieta bez sukni?
- Zastanawiam się, czy wystarczająco często bywamy na plaży...
- Chcecie tam iść teraz?
- Tak, wujku. Jest taka cudowna pogoda...
- Racja! Słoneczna kąpiel to balsam dla ciała i dla ducha.
- Do widzenia, wujaszku.
- Dzieci, zostańcie jeszcze chwilę.
- Nie, nie. Ty też powinienesz popracować. Do widzenia, do zobaczenia. – Paula tanecznym krokiem wybiegła z pokoju.
- Uroczy pędziwiatr – rzekł Fritz. – Towarzystwo Miłośników Sztuki urządza dziś wieczór tradycyjnych niemieckich tańców korowodowych. Musicie tam iść.
- Świetny pomysł! Do widzenia, Fritz. – Fried próbował dogonić Paulę, przeskakując po kilka stopni.

Nagle zrobiło się cicho.

Promienie słońca wpadające przez niewielkie okienko w dachu igrały na podłodze. Fritz nabił fajkę, postawił na stole pięknie cyzelowaną popielniczkę z połączanego brązu, przypominającą wyglądem grecką czarę, zapalił fajkę i otoczony obłokiem niebieskiego dymu pogrążył się w rozmyślaniach.

W tamten pożegnalny wieczór przed ślubem pili z Lu z lśniącej czary czerwone wino; Fritz nie miał innych naczyń i oboje niczego już nie pragnęli owego dnia...

W uniesieniu wzniesli czarę; raz jeszcze chcieli wykrzyknąć swą miłość i ból. Jednak odeszła – musiała odejść.

Fritz odłożył fajkę. Przeszedł do pracowni. Ustawił płótno na sztaludze i zabrał się do malowania. Odłożył pędzel dopiero z nadejściem zmierzchu. Przetarł czoło i przyglądał się swemu dziełu. Zadowolony odsunął sztalugę. Cicho pogwizdując, włożył kapelusz, chwycił laskę i wyszedł na wieczorny spacer. Jednostajny szum kasztanów działał uspokajająco.

Po godzinie Fritz wrócił do domu. Zapalił światło, zdjął z półki kilka numerów „Schönheit”. Zachwyciło go kilka fotografii wspaniałych aktów reprodukowanych na łamach czasopisma.

Rozległo się pukanie do drzwi. To pewnie ktoś z młodych przyjaciół, pomyślał.

– Proszę...

W drzwiach stała wysoka elegancka kobieta.

– Dobry wieczór, panie Schramm – odezwała się dźwięcznym głosem.

Malarz zerwał się na równe nogi.

– Co za niespodzianka, tak się cieszę, witam panią...

– Nie przeszkadzam?

– Jeśli zaraz zamierza pani wyjść, to tak.

– Zatem nie. Byłam ciekawa, tyle pan opowiadał o swoim zakątku marzeń...

Rozglądając się wokół, podała Fritzowi lekki jedwabny płaszcz. Z jej smukłych ramion niemal do ziemi opadał miękki jedwab. W głębokim wycięciu sukni jaśniały białe jak marmur plecy; dumnie, ale swobodnie uniesioną głowę okalały bujne czarne włosy. Szyję zdobił sznur matowych pereł.

– Pańskie informacje były dość skąpe, a przecież to wyjątkowo urokliwy pokój. Miły i przytulny. Źle się czuję w salach rześście oświetlonych, nie znoszę jasnych pomieszczeń; tym bardziej mi się tu podoba.

Usiadła swobodnie w przysuniętym przez Fritza fotelu.

– Poczęstuję panią herbatą i angielskimi biszkoptami... proszę nie protestować... a potem żadnych czekoladek, lecz, proszę sobie wyobrazić – wiśnie: w maju raczej niecodzienne. Przysłał je mój przyjaciel z Włoch, dziś rano przyszła paczka. A potem możemy zapalić. Zgoda?

Kobieta skwapliwie skinęła głową na znak, że nie mógł tego lepiej wymyślić.

– Taki tu spokój... coś, co się dziś rzadko spotyka. Wszyscy uganiają się w poszukiwaniu szczęścia i bogactwa... To nie zawsze to samo... No, jednak najczęściej tak. A pan, panie Schramm, czy znalazł pan szczęście?

– Nie udało mi się zaznać szczęścia, przynajmniej tego drobnomieszczańskiego: „Prawdziwe szczęście to zadowolonym być...” I nawet nieźle to brzmi... z grubsza biorąc. Ale co do nas, ludzi pełnych rozterek, powiedziałbym raczej tak: prawdziwe

szczęście to wewnętrzny spokój! Prawie to samo, jednak nie do końca. Zadowolenie można osiągnąć bez walki, bez wysiłków. Tak nawet zazwyczaj bywa. Spokój wewnętrzny jest rezultatem walki, zmagania, popełnionych błędów. Wydestylowane, w pełni uświadomione ego...

– I pan do tego doszedł?

– Od biedy mógłbym potwierdzić, choć nie jest to spokój promienny. Raczej bezbarwny, może ciemnofioletowy, przesycony melancholią... Jednak spokój.

– Jak go osiągnąć?

– Trzeba odnaleźć samego siebie.

– Czy to trudne?

– Najtrudniejsze!

Kobieta skinęła głową.

– By do tego dojść, trzeba być wiernym sobie.

– Panie Schramm, przecież to niewykonalne.

– Nieprawda, najzupełniej możliwe, pod warunkiem że uda nam się poskromić siebie.

– Zaleca więc pan odosobnienie, żywot pustelnika. A co będzie, jeśli nie wyrzekniemy się świata?

– To można osiągnąć, jeśli nawet początkowo wydaje się niemożliwe. Trzeba szukać własnej melodii, wsłuchiwać się w jej ton. Wtedy okaże się, że to proste.

– Przecież takich ludzi nie ma. Żeby byli jednocześnie uduchowieni, wyrafinowani, dobrze wychowani. Ludzie nie są tacy.

– Doprawdy jest aż tak źle? Trzeba tylko zadać sobie trochę trudu. Nie zawsze chodzi o tych najbardziej rzucających się w oczy i interesujących...

Kobieta przez chwilę się nad czymś zastanawiała.

– Pan jest inny – odezwała się, patrząc malarzowi w oczy.

– Od kiedy to damy prawią mężczyznom komplementy?

– To żaden komplement. Szkoda, że w młodości nie spotkałam takiego przyjaciela jak pan. Możliwe, że wiele spraw ułożyłoby się inaczej.

– Kocham... To wszystko.

– Miłość...?

– Oczywiście nie taka, o jakiej zwykle się mówi. Kocham wszystko: przyrodę, ludzi, drzewa, chmury... cierpienie... śmierć... jednym słowem: życie! Jestem optymistą i nie uznaję ograniczeń w miłości.

– Przeżył pan chyba niewiele rozczarowań.

– Co niemiara!

– i mimo to?

– Właśnie!



– Dziwne...

Lampa zaskwierzała. Fritz przyniósł srebrny koszyk pełen ciemnoczerwonych wiśni i postawił go na stole.

– Dziś wieczór pani nie występuje?

– Dopiero jutro. Niech pan popatrzy: oto powód, dla którego musiałam przypomnieć sobie pana i, koniec końców, złożyć panu wizytę.

Wyjęła z torebki kartkę i podała ją Fritzowi.

– Cyganeria – opera Pucciniego, Mimi – Lanna Reiner – przeczytał półgłosem.

– Tak. Śpiewam partię biednej małej Mimi. Dziś, podczas próby generalnej, cały czas myślałam o pańskiej pracowni i o panu. Teraz nasi artyści nie mają nic wspólnego z cyganerią. Są dobrze wychowani, poprawni, zdyscyplinowani. Jeszcze tylko u pana można odnaleźć coś z tej atmosfery...

– Jutro śpiewa pani w Cyganerii. – Fritz się rozmarzył. – Długi czas nie mogłem oglądać tej opery, byłoby to zbyt bolesne. Moja historia jest bardzo podobna. – Malarz pochylił się w kierunku wiszącego na ścianie portretu. – Jutro jednak chętnie ją zobaczę.

– Cieszę się. Czy zechciałby mi pan później jeszcze coś o tym opowiedzieć?

– Kiedy będę miał po temu okazję?

– Najlepiej po spektaklu.

– Na pewno już ktoś panią zaprosił.

– Istotnie, kwiat naszej męskiej socjety.

– Zatem...

– A właśnie, że nie! Ci bezbarwni ludzie napawają mnie wstrętem. Tym razem naprawdę chcę z kimś porozmawiać. Schlebiać każdy potrafi. Łatwo przejrzeć cel tych pochlebstw wygłaszanych w imię czystego egoizmu. Po prostu sobie tego nie życzę! – Lanna Reiner wstała wzburzona. – A więc koło dziesiątej przy bocznym wyjściu.

Fritz pocałował ją w rękę.

– Dziękuję pani.

Spojrzała nań dziwnie i wyszła.

Fritz podszedł z lampą do drzwi i oświetlił schody. W słabym świetle na ścianach ponad schodami i poręczą wykwitły migotliwe, groteskowe cienie.

Jeszcze przez godzinę Fritz siedział obok palącej się lampy. Nie miał już ochoty na lekturę; zamiast tego zaczął roztrząsać dziwne koleje ludzkich przeznaczeń.

Kiedy nad tym myślał, uderzyła go niezwykła ulotność i przypadkowość istnienia. Odrobina mgły we wszechświecie... podmuch wieczornego wiatru, o którym nie wiadomo, skąd się wziął i dokąd odleci... Czy życie ludzkie nie przypomina płytkiego snu, który śnimy tuż przed świtaniem...?

Łagodnie światło lampy padało na portret. Kobieta znów się uśmiechała.

## IV

Wiosenne słońce igrało w zieleni porastającej skwer naprzeciwko dworca. Jaskółki, szczebiocząc, uwijały się wokół masywnych drzwi wejściowych i za nic mając ruch i zgiełk, budowały nad gzymsem gniazdo.

Elisabeth powoli szła przez plac. Właśnie przyjechał pociąg i z hali dworcowej wylewała się rzeka ludzi.

Dziewczyna przystanęła, czując na sobie czyjś wzrok. Dwoje zuchwałych niebieskich oczu, zdecydowanie odbijających od opalonej twarzy, przyglądało się jej uważnie. Zmieszana opuściła głowę. Po chwili raz jeszcze zerknęła na szczupłą postać w szarym garniturze podróżnym. Twarz wydała się jej znajoma, nie mogła sobie jednak przypomnieć skąd.

Fritz był w swym pokoju, szukał farb. W pewnej chwili na schodach zadudniły sprężyste kroki i ktoś otworzył drzwi.

– Fritz... stary Fritz! – wołał ktoś od progu radosnym głosem, po czym dwoje krzepkich ramion otoczyło malarza.

– Ernst... to ty, chłopcze? Czy mnie wzrok nie myli? Skąd się tak nagle wzięłeś?

– Po prostu zwałem. Osiem dni wcześniej. Miałem już dosyć tego szacownego zakładu dla panienek... Fritz, stary przyjacielu, przecież jest wiosna, komu teraz w głowie kontrapunkt i fuga. Nie mogłem wytrzymać... i oto jestem. Gdzie się podziały tutejsze dziewczyny? Dawajcie je wszystkie! Będę potrzebował całej armii!

– Tylko spokojnie, mój chłopcze, życie małego miasta toczy się wolniutko. Co byś powiedział na filiżankę orzeźwiającej kawy?

– Świetny pomysł! Ja nigdy nie myślę o tym, co praktyczne. Z twoim błogosławieństwem nasza miejscina będzie niczym strumień ożywczej wody, pod który podstawię głowę, by zmyć z siebie grzeszny nalot stolicy. Jeśli już, to prosiłbym o herbatę! Właśnie! Prawdziwą, czyli taką, jaką parzy się tylko w tym domu, dobrze?

Po chwili obok dał się słyszeć plusk wody i towarzyszące mu pełne werwy odgłosy mycia, podczas gdy Fritz przygotowywał herbatę.

– A teraz, Ernst, opowiadaj.

– Ploteczki... zajęcie dla starszych kobiet. Ale teraz? Najważniejsze, że znów tu jestem! Tak się cieszę! Kiedy zramoleję, posiwieję i stracę zęby, zajmę się plotkami. Napiszę nawet pamiętnik.

– Spokojna głowa, doczekasz się – zauważył dobrodusznie Fritz.

– Ale ty, Fritz, musisz opowiedzieć, jak ci się wiedzie, dobrze? Co z twoimi obrazami? Skończyłeś coś?

– Znalazłem modelkę do tego wielkiego obrazu. To zarazem moja nowa młoda przyjaciółka od serca.

– Ładna?

– Wyjątkowo.

Ernst aż gwizdnał z uciechy.

– I czysta, Ernst!

– Czysta? – Ernst spowaźniał. – To wiele znaczy... może nawet wszystko... Lubisz ją, Fritz?

– Tak jak ciebie.

– Będzie więc dla mnie siostrą.

– Wiedziałem, że mogę na ciebie liczyć. Dziękuję ci.

– Fritz, przecież to oczywiste. Na długo przyjechałeś?

– Już zostanę. Mam dosyć ciągłych rozjazdów. Jeszcze tylko chciałbym się wybrać do Lipska, byłby to ostateczny szlif. Co porabia Fried? Jest w mieście?

– Tak, od kilku tygodni. Skończył już w Dusseldorfie i teraz pracuje tutaj. Ma zamówienie na dwa większe obrazy, a poza tym projektuje tapety dla jakiejś fabryki. Prócz tego sprzedał sporo ekslibrisów, monotypu, również trochę rysunków piórkiem, stalorytów, ilustracji książkowych i ma się nieźle.

– Cieszę się. A Paula?

– Żywe srebro, jak zawsze. Zadziorna, bardzo chce już być dorosła, co zresztą wkrótce stanie się faktem.

– Fritz, pójdziesz ze mną na stację? Chciałbym odebrać bagaż.

Poszli spacerem na dworzec. Naraz w ich rozmowę wdarł się radosny szczebiot.

– Paula...!

– Ernst, to ty czy twój duch?

– Jedno i drugie. Mężczyźnie duch zawsze towarzyszy, nie lata w przestworzach jak u roztrzepanego podlotka.

– No, no – odezwał się Fritz.

– Popatrz wujku, znów zaczyna! Ernst, jesteś wstrętny!

– Dokąd się wybierasz, Paula, w tej zachwycającej garsonce lilaróż?

– Na spacer, wujaszku.

– Na spacer! – wykrzyknęli równocześnie obaj. – Nie do wiary!

– Zamierzam się przechadzać, jeśli wam to coś mówi, od pół do szóstej do pół do siódmej wzdłuż Grosestrase.

– Teraz rozumiem – rzekł Ernst. – Kiedyś nazywało się to cielętnikiem.

– Przymknij się, szkarado... Do widzenia, wujaszku. – Paula pobiegła kilka kroków, ale zawróciła. – Do zobaczenia, Ernst.

– Baw się dobrze!

Na dworcu Ernst pokazał kwit bagażowy i podał adres. Następnie oświadczył, że pójdą do kawiarni.

– Ale do której? – zapytał zrezygnowanym głosem Fritz.

– Do Wettekinda. Chodź, stary, nie rób takiej zmartwionej miny. Muszę sobie przypomnieć, jak wyglądają tutejsze dziewczyny.

– Czyżby w Berlinie nie było kobiet?

– Bóg mi świadkiem, że nie ma. Wszystkie są „wykształcone”, po studiach lub w trakcie nauki. Najświeższe znaki rozpoznawcze: pokrzywione obcasy, binokle w czarnych oprawkach, postrzępione brzegi sukni... albo: gładko przylizane włosy, bluzka przypominająca koszulę ze sztywnym kołnierzykiem i długimi rękawami. Najmniej ciekawe: studentki muzyki. Coś wyjątkowego: artystka z powołania – głęboki dekolt, szyja jak u gęsi, kanciaste ramiona, piersi jak jajka sadzone. Tyle co do wyglądu. Poza tym – „intelektualistki”. Nowy typ kobiety: koneserka herbaty malująca pejzaże alpejskie, grająca na fortepianie walczyki styryjskie, Modlitwę dziewicy i Cierpienia miłosne, czytająca Nieprzemijającą miłość, Złamane serca itd. Kilku takim paniom dałem do przejrzenia parę egzemplarzy „Schönheit”. Doszło do eksplozji! Te wyzute z kobiecości mole książkowe nie miały pojęcia o słońcu, przestrzeni, o urodzie świata! Mówię ci, Fritz, sawantka to coś przerażającego. Co tylko się dało, ujęliśmy w reguły praw, ale o jednym zapomnieliśmy: kiedy kobieta się nudzi, zabiera się do polityki, zaczyna pisać książki i przychodzą jej do głowy inne, równie niedorzeczne pomysły, należy ją bez zwłoki posłać do ołtarza. Po tych estetyzujących, pozbawionych kolorów twarzach tęskni się za jakąś zwyczajną, czułą i serdeczną dziewczyną, która potrafi całować i kochać jak Pan Bóg przykazał... Wniosek: ruszamy do boju!

W prawie pełnej kawiarni szukali wolnego miejsca.

Przy jednym ze stolików pośrodku sali siedziała jakaś niezwykle elegancka młoda kobieta. Ernst nonszalancko się jej uklonił. Spojrzała na niego, jakby z trudem sobie przypominała.

– Pan Winter?

Wyciągnął do niej rękę z uśmiechem.

– Dzień dobry, panno Bergen. Rozglądam się za jakimiś miejscami, widzę, że obok pani jest wolne.

– Bardzo proszę.

Ernst przedstawił Fritza, po czym obaj usiedli. Przez cały czas młody człowiek przyglądał się uważnie Trix Bergen.

Dziewczyna poczerwieniała.

– Dawno pana nie widziałam, panie Winter.

– Nie było mnie w mieście. Dopiero dziś przyjechałem.

– Ja trzy dni temu. Gdzie się pan podziewał?

– W Berlinie.

– Ach, Berlin! Cudowne miasto! Tyle rozrywek, tyle wspaniałych atrakcji przyprawiających o zawrót głowy.

– I ponurych czynszowych kamienic – dorzucił z ironią Ernst.

– Nie musimy tam zaglądać. Trzeba się starać, by życie było możliwie przyjemne.

– I co dalej? – zapytał Fritz.

– Nieważne, co będzie. Cieszymy się dniem dzisiejszym! – Panna Bergen zanuciła jakąś melodię i wzruszyła ramionami. – Tak bardzo chciałabym potańczyć, niestety w tej zapadłej dziurze to niemożliwe. Berlin jest jednym wielkim parkietem tanecznym. Boston... fokstrot... maczicze... orkiestra Meschuggego... ho, ho... tam dopiero się żyje. A tutaj... – Zrezygnowana strzeliła palcami.

– Wkrótce znowu wyjadę – powiedział Ernst.

– Do Berlina?

– Właśnie... Taki mój los...

– Nie każdy potrzebuje wielkiego miasta, by być szczęśliwym – odezwał się Fritz.

– Można znaleźć szczęście w jakimś cichym zakątku. Tu się z panem zgadzam.

– Zależy, jak je sobie wyobrażamy – rzekł Ernst. – Jedna z moich dobrych znajomych właśnie pisze, że czuje się bardzo szczęśliwa. Powód: ma dziecko.

– A to pech! – Trix zaśmiała się perliście.

Ernst przyglądał się jej.

– Jest zamężna i z ogromną radością oczekiwała dziecka.

– Jeśli ją to bawi... Ja sobie tę przyjemność daruję... Chcę pożyć!

– Można żyć na zewnątrz lub do wewnątrz – powiedział Fritz. – Problem sprowadza się do tego, co bardziej cenimy. Szampan, stroje, wielbiciele, rozrywki... na dłuższą metę to chyba nudne i prowadzi do przesytu. I czym ta bajka się skończy? Co pozostanie na starość? O wiele głębsze jest coś, co znajduje się po drugiej stronie. Powołaniem kobiety jest macierzyństwo. Proszę tylko pomyśleć, że oznacza ono dalsze życie we własnym potomstwie, a co za tym idzie, nieśmiertelność.

Trix przerwała, niemal wybuchając:

– Kim pan jest? Czego pan ode mnie chce?

– Kobieta, która nie będzie matką – ciągnął Fritz – traci najwspanialszy dar natury. Ile szczęścia przeżywa matka w pierwszych latach życia dziecka – od chwili, gdy niemowlę próbuje coś powiedzieć, po dzień, w którym zaczyna stawiać niepewne kroki. Stale odkrywa samą siebie, patrząc na maleństwo, ogląda swe dzieciństwo w coraz to innym świetle. Kobieta może robić wiele różnych rzeczy, wobec macierzyństwa nic jednak się nie liczy... Może matka coś już pani na ten temat mówiła.

Panna Bergen jak odrętwiała patrzyła na Fritza. Po chwili raptownie wstała i wybiegła z kawiarni.

Ernst uśmiechał się zamyślony. Ale zaraz wstał i też wyszedł.

Kiedy wrócił do stolika, nie krył wzburzenia.

– Stała bezradnie koło szatni i spazmatycznie szlochała – opowiadał. – Pocieszałem ją, dałem jej twój adres. Wciąż pytała: Kim jest ten człowiek...? Co się ze mną dzieje...? Pewnie cię niebawem odwiedzi.

– Miałem w tym swój cel – rzekł Fritz. – Zależało mi na poruszeniu strun, o których istnieniu dawno zapomniała. Kiedy się w niej odezwą, w połączeniu z tymi, które dźwięczą w jej dotychczasowym życiu, zabrzmiały dysonansem. Pozostaje teraz pytanie, które struny zagrają głośniej.

Ernst pokiwał głową.

– To naprawdę miła dziewczyna. Żywiołowa i lekkomyślna. Resztę możesz sobie dośpiewać. Wystawiłeś ją na ciężką próbę. Obawiam się, Fritz, że gromadka twoich dzieci znów się powiększy.

– Cała przyjemność po mojej stronie.

Kiedy wyszli, na miasto powoli opadał zmierzch. Zielonkawa wieża katedry majestatycznie wyrastała ponad tętniące uliczki, przeciwstawiając im dostojne milczenie wiekowego trwania. Pod mostem szumiała rzeka. O czym opowiadała? O ludziach... O ludzkich sprawach...

Na plantach panowała cisza. Bzy już przekwitwały i pośród zielonych liści pojawiły się nabrzmiałe pączki róż.

Ernst rozglądał się za dziewczętami.

– Każda z nich wygląda teraz, jakby nosiła niewidzialną koronę... Cóż, wiosna...

– Jest w tym zarówno duma, jak i pokora. Czują, że budzi się w nich kobiecość. A to oznacza oddanie i potrzebę służenia.

– Czy nie sądzisz, Fritz, że kobiety są od nas dużo lepsze?

– Skąd ci to przyszło do głowy?

– Sam nie wiem. Przekonywającym dowodem jest miłość. U mężczyzny bardziej wiąże się z pożądaniem, u kobiety z ofiarą. Mężczyzna w miłości szuka samopotwierdzenia, kobieta oparcia.

– Kiedy byłem młody – Fritz się uśmiechnął – sądziłem, że mężczyzna w ogóle nie potrafi kochać. Musiałem to wszystko odwołać. Trzeba przejść ciernistą drogę od miłości cielesnej do miłości duchowej. Wielu ludzi nazywa miłością szaleństwo zmysłów. To jednak przede wszystkim rzecz ducha, co nie znaczy, że ma być wyłącznie platoniczna. Fizyczna harmonia powinna jedynie wzmacniać, a gdy tego zechcemy, rozluźniać duchowe więzi. Miłość jest rodzajem szaleństwa. Szaleństwa dusz. Nie należę do świętoszków, gardzę jednak miłością wyłącznie cielesną. Najściślejsze zespolenie, niezależne od kontaktów fizycznych – oto najprawdziwsza miłość... No proszę, znów widzimy Paulinkę. Dla niej miłość jest jeszcze czymś w rodzaju nie

odpieczętowanego listu. Ale kokieteria nie nastęcza jej już żadnych problemów. Jest też Fried.

Wyraźnie uradowany Fried podszedł do Ernsta i wylewnie się przywitał.

– Co, Fried – odezwał się Ernst – od kiedy to kręcisz się w kółko po Grosse strasse, zaliczając tę rewię podfruwajek i uczennic?

– Czyż to nie uroczy obrazek? Jasne, radosne kolory dziewczęcych sukienek... najcudowniejsze wcielenie maja i wiosny. Różnorodność barw, kształtów, gestów, tak harmonijnie łączących się w ten ciepły wieczór, działa niczym subtelna pieśczoć, koi duszę po ciężkim dniu.

– Pięknie to ująłeś – zaśmiał się Ernst. – Ja gwizdzę na subtelne pieśczoćy. Wolę burze. Ale czy za twoim doszukiwaniem się pieśczoć w widoku majowej ulicy nie kryje się coś bardziej osobistego, czy to nie tęsknota za dotykiem dziewczęcej dłoni? Niektórzy dla zaspokojenia swych pragnień skłaniają się ku dziwnym rozwiązaniom. Rozwiązaniem twojego wiosennego akordu byłaby bez wątpienia dziewczyna, tak jak akord septymowy C-dur powinien dążyć do F-dur; w przeciwnym razie mamy rozwiązanie zwodnicze. Maj domaga się dziewcząt! Albo zastosujesz rozwiązanie zwodnicze.

– W dzieciństwie grałem na harmonijce ustnej. Znam trochę zasady harmonii, wiem to i owo o rozwiązywaniu akordów.

– A więc...

– Chyba... muszę już iść – odparł Fried, patrząc na drugą stronę ulicy, skąd jakaś rezolutna pannica obrzuciła go wymownym ognistym spojrzeniem, od którego spurpurowiał.

– Ho, ho, Fried – odezwał się malarz, który uważnie obserwował całą scenkę – teraz pora na modulację, ale tylko do F-dur.

Fried się roześmiał, uściskał na pożegnanie dłoń przyjaciół, po czym bezzwłocznie ruszył śladem zalotnej właścicielki długich warkoczy.

– Fritz, kiedy tak chodzę i rezonuję, czuję się stary jak Matuzalem. A to kto, u licha?

Malarz właśnie się kłaniał jakiejś młodej kobiecie.

– Primadonna letniego sezonu operowego.

– Elegancka!

– Łakoma...

– Na co?

– Ciekawa świata, ludzi.

– Jest rasowa.

– Matka była Rosjanką.

– A... tak sprawa wygląda! Przyznaj się, stary rozpustniku, skąd ją znasz?

– Przypadek. Stałem kiedyś w bramie nad rzeką i skupiony malowałem. Nagle poczułem, że ktoś mi się przygląda, przeniknął mnie jakiś fluid. Obejrzałem się i zobaczyłem parę dużych ciemnych oczu. Uśmiechała się... nie umiem nawet powiedzieć jak... był to uśmiech trudny do opisania. Chciała kupić obraz, który właśnie malowałem. Odparłem, że mi przykro, ale obraz jest już sprzedany i zaprosiłem ją na wystawę moich prac przy Möserstrasse.

– Ach... tak... Wiesz, Fritz, w taki wieczór jak dziś chciałbym mieć obok siebie jakąś kobietę, choćby tylko po to, by porozmawiać.

– Wieczorem odwiedzi mnie moja nowa przyjaciółka, Elisabeth. Będziesz miał okazję ją poznać. Chodź, trzeba uczcić twój przyjazd; zapraszam na butelkę wina, musimy to przecież oblać.

– Doskonale. I myślę, że na jednej butelce się nie skończy – ucieszył się Ernst.

Wziął Fritza pod ramię i różnym krokiem pomaszzerowali do domu.

– Mój chłopcze – zaczął Fritz, kiedy rozgościli się w pokoju obok pracowni – co zapalisz? Fajkę, cygaro czy papierosa? Możesz wybierać. Ja pozostanę przy mojej ulubionej fajce.

– Wobec tego poproszę o papierosa. Jest bardziej stylowy.

– Od kiedy przywiązujesz wagę do stylu?

– Od zawsze. Hołduję formom ekskluzywnym.

– Nie do wiary! Ostatnio okazywałeś im wzdgardliwe lekceważenie.

– Powtórzę za Nietzschem: moim bratem jest tylko ten, kto się zmienia. Przeskakuję z jednego stopnia rozwoju na następny. Inni robią to płynnie, ja przemierzam się gwałtownie, skokami. Mniejsza z tym. Twój pokój jest jak zawsze uroczy. Widzę, że wciąż uwielbiasz kwiaty.

– Zawsze tak było. Kiedy klepałem biedę, wolałem głodować, niż wyrzec się kwiatów. Często kupowałem je za ostatni grosz zamiast chleba. Tak, tak... z powodu kwiatów miałem nawet pewien romans, który przysporzył mi korzyści. W kwaciarni pracowała jakaś ładna dziewczyna – opowiadał malarz. – Za ostatnią markę kupiłem trzy róże, poprosiłem, żeby je zapakowała, podszedłem do drzwi, ale zawróciłem, wyjąłem z zawiniątka jedną różę i podałem zdumionej sprzedawczyni. Żeby nie psuć efektu, wyszedłem ze sklepu. Widzisz, wtedy mnie również było stać na styl. Tego samego wieczoru spotkałem ją przypadkiem. Okazało się, co wyznaję ze wstydem, że znacznie lepiej przyjrzałem się kwiatom niż kwaciarce. To była w moim życiu jedyna miłość z rozsądku. Wkrótce jednak naprawdę tę małą polubiłem. Dzięki niej, pomimo finansowej mizerności, obfitość kwiatów w moim domu miała wtedy w sobie coś z rozpasania... Dziewczyna od dawna jest żoną porządnego człowieka... mała Margit... możliwe, że czasem wspomina Freda, który tak kochał jej kwiaty... Oj, muszę



natychmiast biec na dół do stolarza. Znalazł gdzieś piękną starą skrzynię i jeszcze dziś musi wiedzieć, czy ją kupię. Omal nie zapomniałem. Poczekaj chwilę, zaraz wracam...

Ernst powoli dopalał papierosa i z zadumą patrzył na koliste obłoczki błękitnego dymu.

Ktoś zapukał do drzwi.

– Proszę! – zawołał całkowicie jeszcze pogrążony w myślach.

Weszła Elisabeth.

– Dobry wieczór, wujaszku...

Na dźwięk melodyjnie brzmiącego głosu Ernst wstał.

– O... – uśmiechnął się – piękna nieznajoma z dworca. Co za spotkanie! Wujek Fritz wyszedł na chwilę i dopóki nie wróci, moje towarzystwo musi pani wystarczyć. Nazywam się Ernst Winter, przed sobą mam zapewne pannę Heindorf, prawda?

– Tak – potwierdziła zakłopotana i trochę wystraszona Elisabeth. A więc to jest Ernst Winter, o którym malarz tyle opowiadał. Na chwilę przymknęła oczy; nie miała pojęcia, czemu to robi. Czuła przypływ jakiejś mrocznej fali, która osiągnąwszy kulminację, opadła.

Pozostało jednak uczucie lekkiej niepewności.

– Proszę się rozgościć. Przynosi nam pani wiosnę, której zawsze wyczekujemy z utęsknieniem. Niech pani usiądzie na fotelu, zresztą i tak nie ma innego miejsca. Tamto krzesło tradycyjnie zajmuje Fritz. Dostojne siedzisko na kufrze malowniczo okrytym ciężką jedwabną tkaniną – ciągnął Ernst – sprawia wrażenie czegoś na kształt tronu. To z kolei moje włości. Był czas, że sadzaliśmy gości na naszych zapasach węgla: proszę spojrzeć, to ta drewniana skrzynia, której wieko Fritz wyścielił eleganckim materiałem. Wystarczy unieść pokrywę i zajrzeć do środka, by zobaczyć bryły czarnego złota. Dobrobyt nie wpłynął na wystrój wnętrza, jakakolwiek poważniejsza zmiana byłaby pogwałceniem uświęconych praw. W trosce o naszych gości wprowadziliśmy tylko jedno ulepszenie: wyplatany fotel. Wszystko tutaj ma swoje miejsce, wszystko coś znaczy... każdy obraz na ścianie... a jest ich wiele. Nowe jest też okno w dachu, nasze magiczne okienko; mamy je od roku. Niech pani przez nie popatrzy... wieczorami widać w nim gwiazdy. To naprawdę bajkowe okienko. Wokół wymalowane jest niebo, a na nim złote gwiazdy i czerwone serca. Na każdym jest wypisane imię, każde przypomina kogoś miłego, drogiego. A tutaj z boku, najbliżej księżycy, znajduje się serce, blade, odbarwione, otoczone wieńcem czerwonych róż. Można przeczytać imię: Lu... Tam – Ernst wskazał obraz na ścianie – wisi jej portret... Bardzo ją kochał...

– Opowiadał mi – odezwała się cicho Elisabeth.

– Widać zdobyła pani jego zaufanie. Co pani powiedział?

– Wszystko.

– To coś znaczy. Dotychczas jedynie ja o wszystkim wiedziałem. Inni najwyżej wiedzą, że ją kochał i że ona nie żyje. Wiele wyjaśnia wiersz, który wtedy napisał. Zacytować?

Elisabeth kiwnęła głową.

*Tyś moja wiosna, cały świat –*

*Tyś wszystko, co posiadam.*

*Tyś moja gwiazda, wieczny blask*

*Na życiu mym osiada.*

*Tyś moje niebo, cisza cisz –*

*Mój raj na łez padole.*

*O, przymknij oczy moje, niż,*

*Ogarnij twym pokojem.*

– Kiedyś, w przyływie dobrego nastroju, skomponowałem do tego muzykę.

– Pokaże mi pan?

– Chętnie. Fritz ma nuty. Powiem mu. Ale... oto i on.

– Dobry wieczór, droga Elisabeth – odezwał się malarz od drzwi. – I co, moje dzieci, zdołaliście się choć trochę zaprzyjaźnić?

– Chciałbym, żeby tak było – rzekł z uśmiechem Ernst.

– Wiosną znacznie łatwiej się zaprzyjaźnić – mówiła Elisabeth. – Ludzie stają się bardziej ufni, bliżsi sobie... Nieprawda, wujku?

– Oczywiście, drogie dziecko. To samo dotyczy wiosny życia, o wiele bardziej niż jesieni... Więc tak, dla Elisabeth będą wiśnie, Ernst dostanie egipskie papierosy. Częstujcie się.

Elisabeth rozsiadła się wygodnie w fotelu i zaczęła pałaszować ciemnoczerwone owoce.

– Powiedz nam, Elisabeth, co miłego dziś przeżyłaś.

Każdego dnia, nawet jeśli jest szary i posepny, powinniśmy znaleźć coś przyjemnego, jakiś piękny moment.

Wiezorami nieraz się zastanawiam, czy kończący się dzień dał mi choć chwilę szczęścia. I muszę przyznać, że nawet podczas smutnego dnia na okamgnienie wyjrzy słońce. Zacznę od siebie: dzisiejszy dzień przyniósł mi wielką radość: przyjechał Ernst!

– Kochany, dobry Fritz – rzekł Ernst wzruszony i uściskał jego dłoń.

– Teraz kolej na ciebie, Elisabeth.

– Było różnie. Ale najpiękniej wieczorem, na wałach, kiedy zachodzące słońce miękko igrało w koronach starych lip. Panowała całkowita cisza. Poczzerwieniałe niebo

przeglądało się w rzece, drzewa tajemniczo szumiały. Wieczór był tak piękny, że z zachwytu łzy napłynęły mi do oczu. I jeszcze coś! Przystanęłam na samym końcu wałów, by jeszcze przez chwilę popatrzeć na ścianę majowej zieleni. I wtedy na najbliższej gałęzi zauważyłam prześlicznego ptaszka, patrzył na mnie czarnymi oczkami lśnącymi jak perełki; kręcił się, przekrzywiał łepkę i ćwierkał... O, jeszcze coś! Obok zatrzymała się jakaś starsza spracowana kobieta, z bladym dzieckiem na ręku. Trzymało w rączce kilka kwiatów. Nagle maluch zawołał: „Mamo, jakie piękne kwiaty!” i podał jej bukiet. Twarz kobiety w zachodzącym słońcu rozjaśnił uśmiech... I jaki uśmiech... Był wszystkim... O ile więcej wiem teraz o życiu... Jaki piękny potrafi być świat! – Elisabeth złożyła dłonie w geście zachwytu.

Ernst słuchał jak urzeczony. Miał wrażenie, że ogląda jakąś leśną boginkę – dziecię natury, które nie wie, co to zwątpienie.

– Teraz ty, Ernst – rzekł Fritz.

– To było w przepelnionym pociągu. Do naszego przedziału wsiedli podróżni z biletami niższej klasy. Ten przedział też był zajęty i kilka osób musiało stać. Wyglądali na artystów jakiegoś varietes. Były to cztery osoby, wśród nich dwie młode dziewczyny. Młodsza była jeszcze urodziwa, ale twarz miała mocno zniszczoną. Z nikim nie rozmawiała. Pozostała trójka zajmowała się sobą, choć trzeba przyznać, że cały czas mieli oko na swą towarzyszkę. W tym zawodzie ludzie są wobec siebie koleżeńscy. Dziewczyna sprawiała wrażenie zmęczonej. Obok mnie siedziała dama, która na sąsiednim miejscu ulokowała swego pieska. Ilekroć stojąca dziewczyna spoglądała na zwierzaka, gorzki uśmiech unosił kąciki jej ust. Było widać, że sytuacja budzi jej sprzeciw. Zrobiło mi się nieprzyjemnie i dałbym wiele, by ów gorzki uśmiech zniknął z jej twarzy. Wstałem i wskazałem jej swoje miejsce, prosząc, by zechciała usiąść. Spojrzała zdumiona na mnie. Dwie piegowate współpasażerki, typowe gęsi, zachichotały... Życzyłbym im, by miały choć odrobinę wdzięku tamtej. Jeszcze raz z całą powagą zaproponowałem jej swoje miejsce. Westchnęła z ulgą, wykrztusiła „dziękuję” i usiadła. Wziąłem od niej torbę i postawiłem na półce. Widząc bagaż w moim ręku, szeleszcząca jedwabiem miłośniczka psów zasłoniła się w obawie, że torba może się o nią otrzeć. Zezłościło mnie to do reszty. „Łaskawa pani, zechce pani zwolnić to miejsce”, powiedziałem i wskazałem na psa. Spojrzała na mnie rozwścieczona i nic nie odpowiedziała. Spokojnie mówiłem dalej: „W wagonach osobowych psy nie mają prawa zajmować miejsc. Do przewozu zwierząt są specjalne przedziały, konduktor to z pewnością potwierdzi”. Konduktor właśnie się pojawił i przyznał mi rację. Damula zacisnęła zęby i wzięła swego Azorka na kolana. Tymczasem ja, nadal stojąc, zaproponowałem miejsce drugiej z dziewcząt i z uciechą patrzyłem na wściekle babsko, które siedząc pomiędzy dwiema młodymi aktoreczkami, obciągało spódnice. Jeden z mężczyzn towarzyszących dziewczętom

nawiązał ze mną rozmowę i – pewnie z wdzięczności – poczęstował mnie cygarem. Miałem zamiar odmówić. Zapaliłem jednak, chociaż zrobiło mi się niedobrze. Potem dałem mu jedno z moich cygar hawańskich, które dostałem od przyjaciela z konserwatorium. Był szalenie sympatyczny. Wcześniej studiował w Lipsku i tyle mi o tym naopowiadał, że zapragnąłem wybrać się tam na studia. Na następnej stacji młodzi ludzie wysiedli. Na pożegnanie ta mała obdarzyła mnie spojrzeniem... Było cudowne... jedwabiste, w kolorze lila... naprawdę piękne...

Zrobiło się cicho. Zmierzch napełniał pokój szarością, cienie się wydłużyły.

– Wujku – odezwała się Elisabeth – jest ciemno...

Fritz zapalił świecę przed portretem Lu i przesunął pod obraz flakon z kwiatami. W łagodnym, migotliwym świetle w pięknych oczach kobiety pojawił się blask, ożyła jej twarz, usta rozjaśnił uśmiech.

Malarz w milczeniu sięgnął po cienki tomik w twardej oprawie, którego kartki wypełnione były drobnym ręcznym pismem, i zaczął czytać:

Godzino zmierzchu – przedziwny świecie!

Godzino błogiej miłości.

Zstąp jak niebiańska panna, zstąp przecie,

Pokój niech w duszy zagości.

Drogi pomroczne... zamarłe fale...

Żar pragnień – popiół i nicość.

Przyszłe – przeszłością, okryte szalem,

Zasłoną róż, krzewu, ciszą.

Godzino zmierzchu – przedziwny świecie!

Kraino marzeń, śnie lipca.

Godzino godzin, co cicho przedziesz Melodię na starych skrzypcach.

– Stare, odwieczne skrzypce – powtórzył rozmarzony Ernst. – Rzeczywiście, można i tak określić tę nieuchwytną melodię, przez całe życie dźwięcząca gdzieś w oddali, to coś utkane z nadziei na spełnienie, z błogich chwil kojącego szczęścia, z tajemnicy... Jakbyśmy słyszeli zapomnianą pieśń naszego dzieciństwa... Innym razem zdaje się nam, że to odgłosy przyszłości... Czasem słyhać je dziwnie blisko; zwykle wtedy, gdy wyrzekłszy się Boga, podnosimy wzrok ku odległym horyzontom i próbujemy osiągnąć nowych krain... Kiedy indziej znów melodia jest jak słodki powiew przynoszący zapach bzu wśród groźnych ciemności. Niekiedy bywa lodowym piętnem na rozpalonej twarzy... Gwiazdami srebrzącymi się ponad płomieniem kraterów naszej tęsknoty... To coś nie ma imienia... jest czymś w rodzaju wagi... odwieczną potrzebą harmonii... „Wielkie coś”, któremu zawdzięczamy wewnętrzny spokój.

Oczy Elisabeth błyszczały, dziewczyna patrzyła przed siebie nieobecny wzrokiem.

– „Wielkie ty”... Tak to kiedyś nazwałem – mówił Fritz, ważąc każde słowo. – Ale to nie tylko to. To „coś” uwalnia nas od nierozwiązywalnych problemów życiowych i daje poczucie spokoju. Uwalnia, choć ich nie rozwiązuje. Uwalnia i przez to ocala! Sprowadza spokój zamiast gonitwy natarczywych myśli, koi udreżoną duszę. „Wielkie coś”... tak... nie wiemy o nim nic... czym jest, jakie jest... „Coś” – i tylko tyle... Nieme i niewidoczne, obdarzające spokojem... niosące ulgę.

– Świątynia marzeń... – odezwał się Ernst.

W oddali na wieży zaczął bić zegar. Elisabeth ocknęła się i wstała.

– Chciałabym zostać z wami na zawsze... Niestety, wujku, muszę już iść...

Ernst ją odprowadził. Gwarne ulice tętniły życiem. Podał dziewczynie ramię. Poczul, że ręka Elisabeth drży. Szli, prawie się nie odzywając. Elisabeth zatrzymała się przed metalową kratą bramy.

– Tu mieszkam... Dobranoc...

Szukając jej dłoni, Ernst nisko się pochylił i stał bez ruchu, aż krucha postać znikła w ciężkich odrzwiach.

Odwrócił się szybko i zdecydowanym krokiem ruszył przed siebie.

Z pracowni Fritza Schramma do Elisabeth i Pauli powędrowały liściki w kolorowych kopertach. W ciepły letni wieczór Fritz z Ernstem zapraszali dziewczęta do siebie.

Niczym tiulowa zasłona wczesny zmierzch z wolna opadał na ziemię, niebo zmatowiało. Pokój obok pracowni wyglądał odświętnie. Wszędzie w najrozmaitszych flakonach stały kwiaty. Pod portretem Lu płonęły dwie ciemnoczerwone świece.

Zdawało się, że piękne oczy znów ożyły, a na ustach kobiety pojawił się uśmiech.

Elisabeth przyszła w białej haftowanej sukni; włosy nad czołem ozdobiła cienką złotą przepaską.

Ile w niej wdzięku, wygląda jak królowa, myślał Ernst, próbując dojść do ładu z czajnikiem. Po chwili czajnik zaczął rozkosznie szumieć. Na ukwieconym stole Fritz porozstawiał nakrycia. Tymczasem Ernst wcielił się w rolę muzealnego kustosa i cicerone.

– Najpierw herbata – perorował – nasza herbata, taka, jaką parzy się tylko w tym niezwykłym mieszkaniu. Kto gustuje w modnych dziś delikatesowych specjach – homarach, sardynkach, kawiorze i podobnych przysmakach – będzie mógł ich skosztować. My, starsi panowie, a już na pewno ja, będziemy – tu posłużyć się słowami przysięgi bractw kurkowych – „wiernie trwać” przy daniu firmowym tego domu, daniu, które ktoś mógłby uznać za coś całkiem zwykłego, jako że świat nie poznał się

jeszcze na naszym geniuszu kulinarnym, szczególnie na talentach Fritza. Przyrządza się je w następujący sposób: kromkę razowego chleba smarujemy grubo masłem. Należy dodać, że masło jest późniejszym dodatkiem, który pojawił się wraz ze wzrostem zamożności, aby poprawić walory smakowe potrawy... A więc masło, a na nim coś, co cieknie i smakuje jak miód, mimo że niektórzy mylnie nazywają to syropem buraczanym. Robi się to tak: w lepkiej czarnej masie zanurzamy łyżkę, wprowadzamy ją w szybki ruch obrotowy, jednym szarpnięciem wyrywamy ją z gęstej zawiesiny, przenosimy nad kromkę i pozwalamy, by syrop spływał, przy czym możemy się bawić, wypisując na powierzchni chleba drogie nam imię. Następnie ostrzem noża wyrównujemy te niepowtarzalne, pokręcone linie, nadając całości prozaiczny wygląd prawidłowo posmarowanej kanapki. Na wierzch kładziemy świeże jabłko pocięte w plasterki. Konsumpcja takiej kompozycji dostarcza niewypowiedzianych rozkoszy. Trzeba tylko uważać, by syrop nie spływał na boki. Jest więc dodatkowe zajęcie, polegające na utrzymywaniu kanapki w pozycji poziomej, co pozwala ćwiczyć cnotę cierpliwości, wytrwałości, umiaru – słowem, doskonalić się duchowo. Zamierzam nawet napisać artykuł o wychowawczych przymiotach syropu buraczanego...

– Przestań! – Paula trzęsła się ze śmiechu. – Jest upał, słońce padło ci chyba na mózg...

Ernst nie dał się zbić z tropu. Niewzruszony ciągnął dalej:

– Przyjrzyjcie się prześlicznym, brązowym i niebieskim filiżankom oraz dzbankom Fritza... każda sztuka to osobny poemat. Musicie wiedzieć, że nawet w czasach najdotkliwszej biedy Fritz nie chciał się ich pozbyć... Pijcie więc z należytą atencją. Ale... Co to? Majowy bóg wiosny, a po części chyba i Paula sprawili, że i ja poczułem głód... A więc, drogie dzieci, częstujcie się...

Towarzystwo ochoczo zabrało się do jedzenia. Powoli zrobiło się całkiem ciemno.

Fritz wyszedł z pokoju i po chwili wrócił. Otworzył drzwi do pracowni.

– Proponuję przeprowadzkę.

– Wujaszku... Jak tu pięknie...

Pracownię spowijał mrok. Lekkie błękitne zasłony miękkim woalem osłaniały okna. Pośrodku pokoju lśniło skrzydło fortepianu; w ustawionych na nim połączonych lichtarzach płonęły dwie świece, których nikły blask w niewielkim tylko stopniu rozpraszał ciemność. Na fortepianie stał również wazon z ogromnym bukietem róż o odurzającym zapachu. Pod ścianami znajdowały się puffy, otomana i wygodne fotele.

– To światło powinno nam wystarczyć – mówił z powagą Fritz. – Miejsca do siedzenia poodsuwaliśmy, tak aby każdy mógł się skryć w ciemnościach. My, mężczyźni, jesteśmy zadziwiającym gatunkiem. Nawet gdy się dobrze znamy,

wstydzimy się swych uczuć, ba, wstydzimy się ich również wobec siebie. Dlatego teraz każdy pozostanie sam, nikt nie będzie widział innych twarzy.

Ernst pierwszy rozsiadł się w głębokim fotelu, pozostali zrobili to samo.

– A teraz chwila ciszy – poprosił Fritz. – Róże... świece... letni zmierzch... to wszystko jest milczeniem...

Elisabeth szeroko otwartymi oczyma chłonęła urodę kwiatów oświetlonych migotliwym blaskiem świec.

W pracowni panowała absolutna cisza.

W końcu Ernst wstał i nalał czerwonego wina do kieliszków stojących przed każdym z gości. Na fortepianie obok róż postawił jeszcze jeden kieliszek i napełnił go po brzegi. Nie mógł przy tym powstrzymać drżenia ręki.

– Moje dzieci – zaczął Fritz, podnosząc kieliszek, ale słowa uwięzły mu w gardle.

W milczeniu spełniono toast.

Ernst podszedł do fortepianu i z pasją uderzył w klawisze. Akordy ułożyły się w dziką, rozpasaną frazę, która naraz opadła i wybrzmiała... Znów jednak urosła i powoli dur przeszło w moll, ustępując miejsca delikatnym współbrzmieniom. Naraz perliste dźwięki urwały się pod naporem burzliwej kaskady akordów... W końcu jednak wszystko się uspokoiło, a kiedy ostatni klarowny akord zajaśniał jak perła, subtelną bielą odbijająca od ciemnego aksamitnego tła, Ernst wstał i wrócił na swój fotel.

Elisabeth słuchała oczarowana. Melodia ją urzekła, przemawiała wprost do serca i, nie wiedzieć czemu, budziła niepokój.

– Udało mi się odnaleźć kilka wierszy, które pisałem w chwilach szczęścia. Chciałbym je wam przeczytać – rzekł Fritz, pochylając się nad rękopisem.

*W ciszy wieczoru Myślę znów,  
Wciąż myślę o tobie, kochana.  
Twój zwiewny krok, miłości,  
Rozpoznam w każdym  
Najcichszym szmerze.  
A ty przybywasz!  
Przybywasz zawsze!  
Choć przecież cię tu nie ma;  
Czekanie jest świętem mej duszy.  
Bezmierna za tobą tęsknota, miłości,  
Krucza jest jak poblask kwiatu  
Twych błękitnych oczu,  
i jak mieniący się klejnot, gubiący się*

*W nocnym płaszczu marzeń.  
Przybywasz! Przybywasz zawsze!  
I wznosisz się nade mną  
Swym cudownie lekkim krokiem.  
Kaźde tchnienie  
Pełne jest twego daru szczęścia.  
Wszystko składam na twojej piersi  
I spijam nieba i ziemi  
Najświętszą ze świętych błogość.*

– Elisabeth, musisz zaśpiewać – odezwał się Fried.

Ernst zrobił się czujny. Coś już od Fritza na ten temat słyszał... Ale śpiew! Bądź co bądź był muzykiem.

Z obawą patrzył na dziewczynę. Czy Elisabeth wytrzyma próbę...?

– Ernst, mógłbyś jej akompaniować?

– Oczywiście.

W mroku poprowadził Elisabeth do fortepianu.

Podnosząc wzrok znad klawiatury, niepewnie zapytał:

– No, więc...?

– Mignon – domagał się Fried.

Ernst uśmiechnął się z nieco drwiącą wyrozumiałością.

– Niech będzie Mignon...

Podał dziewczynie nuty. Potrząsnęła głową:

– Wolę z pamięci, dobrze...?

Ernst zaczął grać. Po kilku taktach Elisabeth weszła swym pełnym słodczy, jasnym sopranem:

Czy znasz ten kraj, gdzie się cytryna złoci,

Cienisty gaj, w nim pomarańcza migoce,

Łagodny wiatr tam z wyżyn nieba schodzi,

Szeleści mirt i wawrzyn skronie chłodzi?

Czy znasz go? Znasz?

O tam! Tak, tam,

Kochany mój, o gdybyś wiódł mnie sam.

Ernst był pod wrażeniem ruchliwości i lekkości jej głosu. Elisabeth śpiewała bez wysiłku, swobodnie, jej głos osiągał pełnię brzmienia w ostatnich słowach, a wcześniej wyrażał przejmującą tęsknotę.

Czy znasz ten gmach?

Na lesie kolumn wsparty,



Błyszczących sal, słonecznych komnat warty,

Posągów rząd kamiennym patrzy okiem:

A z tobą co, co z tobą, dziecko, zrobię?”

Czy znasz go? Znasz? o tam!

Tak, tam,

Opoko ma, o gdybyś wiódł mnie sam.

Pianista patrzył na Elisabeth, zapominając niemal o akompaniamencie; wyglądała uroczo. Blask świec tworzył tajemnicze refleksy na jej czole i zdawało się, że obok fortepianu stoi Mignon we własnej osobie – tyle tęsknoty wyrażała twarz dziewczyny, kiedy Elisabeth śpiewała:

*Czy znasz ten brzeg?*

*Pomostem w nim obłoki,*

*Tam muł we mgle mozolnie szuka drogi;*

*W jaskiniach śni odwieczny pomiot smoczy;*

*i skała drży, i potok wody toczy.*

*Czy znasz go?*

*Znasz?*

*O tam!*

*Tak, tam*

*Wiedzie nasz szlak!*

*O, ojczy, prowadź sam!*

Biała suknia dopełniała obrazu całości. Ernst miał wrażenie, że ogląda królową, jakąś nieznaną księżniczkę i nie mógł pojąć, jak to się stało, że tyle razy przechodził obok niej obojętnie. Teraz, kiedy Elisabeth obrzuciła go niemal nieobecny, poważnym spojrzeniem, czuł, że coś go chwyta za serce. Tylko co...?

Opuścił wzrok na klawiaturę i starał się srebrzystą dźwiękową poświatą otoczyć głos, w który, mimo że pieśń się skończyła, wciąż jeszcze wszyscy wsłuchiwali się jak urzeczeni. Tak jakby przestało istnieć prawo ciężenia... wszystko się unosiło wraz z muzyką. Ernst był pewien, że ten śpiew nie będzie miał końca.

Mignon...

– Od dziś będziemy cię nazywali Mignon – powiedział Fritz. – Mignon... ucieleśnienie bezgranicznej tęsknoty.

Kiedy Ernst w milczeniu całował dłoń Elisabeth, oczy dziewczyny pociemniały.

Dalsza rozmowa dotyczyła już tylko jednego tematu – obejmującego życie i świat, niebo i piekło: miłości.

– Miłość to najwyższa forma wzajemnego zbliżenia... Zarazem szczyt egoizmu; miłość domaga się, by bez reszty podporządkować jej siebie i swoje sprawy – mówił Fritz.

– Miłość jest walką – oponował Ernst – a niebezpieczna jest w tym chęć oddania się. Która ze stron zrobi to pierwsza, przegra. Chcę przez to powiedzieć, że należy zacisnąć zęby i być bezlitosnym... Wtedy się wygrywa...

– Ależ, Ernst – mitygował go Fried. – Przecież miłość jest skończonym pięknem...

– Miłość jest ofiarą, uległością, która uszczęśliwia – rzekła Elisabeth.

Zapadła cisza.

– A ty, Paulinko – zapytał Fritz – czemu nic nie mówisz? Jakie jest twoje zdanie?

– Ach – odezwał się dziewczęcy głos z ciemności – po co to całe gadanie... Miłość to po prostu miłość... I tyle!

Wszyscy się roześmiali.

– Paula ma bez wątpienia rację – zawołał Ernst. – Po co się spierać. Miłość to miłość! Przeżycie! Wobec czegoś takiego gładkie słówka są po prostu niczym. – Błyskawicznie przesiadł się do fortepianu. – Chopin! – wykrzyknął.

Jak błyski spadających gwiazd posypały się przez otwarte okna roziskrzone dźwięki, w tanecznym rytmie okrążyły świece i wpadły pomiędzy kwiaty. Maleńkie elfy w zwiewnym korowodzie srebrzystymi głosikami, lekko i radośnie śpiewały leśną piosenkę. Jeszcze jeden taneczny splot, ostatni, jasny dźwięk wibrujący w długo wytrzymanej fermacie... ostatnie pas... i po całej wrzawie.

Zanim ktokolwiek zdołał się otrząsnąć z wrażenia wywołanego tą pajęczą tkaniną dźwięków, Ernst zapowiedział następny utwór:

– Grieg! Do wiosny.

Ciche, złociste akordy. Nizej, wygrywany lewą ręką, motyw o niewysłowionej słodczy. Wznosi się, narasta... Przejście w piano i znów niewinne wczesnowiosenne chmury ponad szumiącymi koronami drzew. Daleki odgłos dzwonu... zgiełk... jakiś ruch... wybuch radości... potoki wina... wieńce wokół skroni. Na końcu ogłuszający krzyk... pochód młodości! Wszystko jaśnieje, unosi się, huczy, rozkwita: to wiosna i młodość... wreszcie koniec i cisza...!

– A teraz ty! – odezwał się Fritz.

– Dobrze. – Ernst odrzucił głowę do tyłu, odgarnął z czoła włosy, po czym znów pochylił się nad klawiaturą.

Rozległ się potężny akord. Po nim następny, a potem cała kaskada gęstych współbrzmień. Na jej tle, jak diabelski chichot, odezwały się przenikliwe dźwięki trylu, które z jękiem opadły nagle w dolny rejestr; za nimi postępował demoniczny, szyderczy motyw. Krok za krokiem bezustanne narastanie, praca od podstaw: konstrukcja... kulminacja... jeszcze wyżej... rozpad... odbudowa... syzyfowy trud, istna

beczka Danaid... szatańskie parcie w przód. Raptem przejmujący śpiew. Po nim radosny świergot skowronka... lekkie taneczne pas... rozkołysanie... uśmiech... i naraz poprzez całą skalę instrumentu diabelski chichot, świdrujący w uszach gwałtownie urwanym dysonansem.

Ernst poderwał się i runął na fotel.

– Ernst... – wykrztusił Fritz wstrząśnięty.

Elisabeth cicho wstała, podeszła do fortepianu i uderzyła akord rozwiązujący dysonans przez cały czas wibrujący w powietrzu, zamieniając go na miękkie konsonujące współbrzmienie.

Ernst zerwał się; oczy mu płonęły, twarz zastygła... Nie mógł oderwać wzroku od dziewczyny.

Elisabeth podeszła do Fritza. Malarz dotknął dłonią jej włosów. W oczach dziewczyny lśniły łzy.

– Mignon – powiedział – już dobrze... Zaśpiewaj mi na pożegnanie tę starą pieśń... tę, którą uwielbiam, przy której cierpię, której nie potrafię wymazać z pamięci... Jej pieśń...

Elisabeth siadła do fortepianu, zagrała kilka taktów wstępu i zaczęła śpiewać:

*Z najmłodszych lat, z najmłodszych lat*

*Brzmi pieśń ma bezustannie -*

*Tak dawny czas, odległy świat,*

*Co moim był, był dla mnie!*

*Jaskółki śpiew, jaskółki śpiew*

*Nióśł niegdyś wiosnę, jesień –*

*Czy przez mą wieś, czy przez mą wieś*

*Dzisiaj się jeszcze niesie”?*

Fritz wcisnął się głęboko w fotel. Ernst, wzruszony, błędnym wzrokiem patrzył na Elisabeth.

*Ojczystych niw, ojczystych niw*

*Trzeba mi, ziemi matki;*

*Ach, jeszcze raz, złocistych żniw,*

*W sen uciec, w sen tak rzadki.*

*W rozstania czas, w odejścia czas*

*Świat był jak gniazdo kruche.*

*Gdym wrócił, patrz, gdym wrócił, patrz,*

*Wszystko się jawi puste.*

Z miejsca, gdzie siedział Fritz, dobiegło westchnienie przypominające tłumiony szloch. Ernst bezgłośnie poruszał wargami.

– Mignon... Mignon... – powtarzał, machinalnie splatając i rozplatając palce.

*Jaskółka znów, jaskółka znów*

*Gniazdo kleci pod dachem.*

*I z serc i słów, i z serc i słów*

*Pustką wieje i strachem.*

*Jaskółko nie, jaskółko nie,*

*Nie wróci, po czym płaczę.*

*Jaskółki śpiew, jaskółki śpiew*

*Po wsi się znów kołacze.*

Fritz siedział nieporuszony. Ernst podszedł do Elisabeth i bez słowa wyprowadził ją z pracowni. Fried z Paulą wyszli za nimi. Malarz został sam w ciemnym pomieszczeniu, pośród zapachu róż i migoczących świec, których płomyki tworzyły w kieliszkach z winem rubinowe refleksy.

– Trzeba go zostawić w spokoju – rzekł Ernst, kiedy już wyszli. – Chyba się więc pożegnamy.

Ernst prowadził Elisabeth ciemnymi uliczkami starego miasta.

Jesteś jak wielostrunna harfa, myślał Ernst, przez którą przepływa strumień muzyki.

Światło latarni padało na ich twarze. W pobliskich ogrodach upojnie pachniały drzewa i kwiaty. Skręcili w lipową aleję na wałach. Z dołu dobiegał szmer uśpionej rzeki.

Elisabeth przystanąła poruszona pięknem wieczoru.

Dla Ernsta wszystko było niesamowite, nowe: gwiazdy, rzeka, drzewa, jakby widział to po raz pierwszy. Wstrząsnął nim gwałtowny dreszcz i naraz młody człowiek poczuł, że serce mu ciąży, że się dokądś wrywa...

Zatrzymał się.

– Elisabeth...

Dziewczyna patrzyła na niego w milczeniu.

– Elisabeth... – Ernst osunął się na kolana. Zdawało mu się, że porywa go jakaś ciemna fala bezbrzeżnej tęsknoty. Nagle poczuł na czole łzy dziewczyny. – Elisabeth! – krzyknął i chwycił ją za rękę. – Ukój moją tęsknotę!

Elisabeth, wciąż płacząc, przytuliła głowę do piersi Ernsta.

To było, jakby ktoś złożył mu królestwo u stóp, a skronie zwińczył koroną. Miał uczucie, że nareszcie znalazł się u siebie, w domu, którego strzeże rozgwieżdżone niebo. Stał tak pod sklepieniem z lipowych konarów i wsłuchiwał się w siebie. I nagle olśnienie: ulegając fali rozpierającego go uczucia, z okrzykiem radości porwał Elisabeth na ręce i pobiegł przed siebie w ciemność.

– Jesteś moim światłem... moim marzeniem... moim cudem... wybawieniem... – Ostrożnie postawił dziewczynę na ziemi i patrzył na nią jak urzeczony.

Wielkie jak groch łzy płynęły z oczu Elisabeth, gdy w końcu się odezwała:

– Kocham cię...

## V

W pokoju Fritza pod portretem Lu paliły się ciemnoczerwone świece. I wydawało się, że w ich blasku oczy kobiety ożywają, a jej kształtne usta się poruszają. Malarz czytał stare, pożółkłe listy. W jego twarzy odbijało się głębokie wzruszenie. Podparł dłonią głowę i zastygł.

Ktoś delikatnie zastukał do drzwi. Wszedł Ernst. Natychmiast się zorientował, czemu przyjaciel milczy. Dotknął jego ramienia.

– Fritz...

Malarz drgnął, smutny uśmiech pojawił się na jego twarzy.

– Drogi chłopcze. Świat jest obłąkany i zadziwiający... Jeszcze bardziej szalone i zdumiewające bywa ludzkie serce.

Ernst chwycił Fritza za ramiona i zmusił go, by wstał.

– Fritz, z twoich rozterek często czerpałem odwagę... Czyżbyś teraz zwątpił w siebie? Spójrz, przez okienko w dachu widać gwiazdy... nasze magiczne okienko i nasze gwiazdy...

– Gdyby tak pozbyć się serca, wyrwać je z piersi i zastąpić którąś z tych chłodnych gwiazd – Fritz uśmiechnął się gorzko – byłoby z pewnością piękniej i niejednokrotnie łatwiej...

– Czy nie ty mawiałeś, że dopiero dzięki cierpieniu dowiadujemy się, co warte jest życie? Że nie wyobrażasz sobie życia, w którym się nie cierpi?

Fritz patrzył w mrok. Po chwili otrząsnął się z zamyślenia.

– Masz rację, mój drogi. Chyba pójde się przejść. Wybacz. Weź papierosa i jeszcze przez chwilę pobądź ze mną... Odprowadziłeś do domu Elisabeth?

– Tak... Ona mnie również...

– Tak myślałem.

– Do mojego domu!

– Ta dziewczyna należy do ciebie. Nie jestem mieszczańską swatką, nie o to chodzi. W tym jednak, co zasadnicze, głębsze, należy do ciebie.

– Jest wyjątkowa...

– Nie wolno ci o niej zapomnieć! Wiesz doskonale, że wierność potwierdzona i wymuszona ślubną obrączką nie jest cnotą. Jesteś młody, burza namiętności cię nie ominie. Pojęcie wierności jest względne, nie można traktować jej jak filister, w którego żyłach zamiast krwi płyną popłuczyny. Dochowasz wierności Elisabeth, jeśli kiedyś do niej wrócisz, ponieważ ona należy do ciebie! Pomyśl o tym! Możliwe, że przypomnisz sobie tę rozmowę, gdy na moim grobie będzie się już krzewić ziele...

– Fritz, ciężko mi na sercu...

– Wierzę.

– Jest taka czysta...

– Lubi cię. Wiem o tym od dawna. To się czuje. Wkrótce znów wyjedziesz. Zostawiasz tu jednak prawdziwy skarb: miejsce w sercu kobiety...

– Moje miejsce jest tutaj, w tym domu...

– To nie to samo. Młodość zawsze szuka miejsca w sercu kobiety... Czerpie z niego siły i oddaje siebie. – Osiąga pełnię człowieczeństwa.

– Jest wielu ludzi, ale prawdziwy człowiek to rzadkość.

– Jesteśmy niewolnikami swej natury. Egoizm to niemiłe słowo. Nikt nie chce uchodzić za egoistę, choć każdy nim jest.

– Nasze "ja"! Poszukujemy własnego brzmienia. Próbuje różnych dróg; zanim jednak znajdziemy tę właściwą, będziemy musieli się otrzeć o wielu ludzi. Nie ma trudniejszej drogi od tej, która prowadzi nas do siebie. Musimy się wyzbyć zarozumiałstwa. A to bywa bolesne... Przejście od ego do drugiego człowieka to droga ku człowieczeństwu. Nigdy tak naprawdę jej nie przebedziemy. Ale musimy próbować. Najpierw "Ja", potem „ty”. A dalej „wszyscy"! Cała ludzkość... Wielkie „coś"! Czym w końcu są imiona...? Pustym dźwiękiem... Za to odczuwanie jest wszystkim! Odczuwanie bez słów i obrazów... Bezgraniczny spokój...

– Śmierć – powiedział Ernst, czując przenikający go dreszcz.

– Odwieczna zagadka...

– Nie potrafię jej sobie wyobrazić – stwierdził Ernst. – Nie wiem... Ogarnia mnie lęk, kiedy o niej myślę. Mam wrażenie, że nigdy nie umrę.

– Młodym zawsze tak się zdaje. Wszystko w tobie rwie się do życia. Jeszcze wciąż pniesz się w górę. Dopiero kiedy wejdiesz na szczyt i zaczniesz schodzić, gdy ujrzysz, jak wieczorem w dolinach snują się cienie, wtedy myśl o nadchodzącym końcu stanie ci się bliższa. Śmierć swą zmiennością przypomina kameleona; za każdym razem widzimy ją inaczej. A może to raczej my jesteśmy jak kameleon, stale się przecież zmieniamy. Raz uważamy śmierć za przyjaciela, kiedy indziej za wroga. W moim dzienniku zanotowałem: jedynie Bóg i śmierć nigdy nas nie zawiodą; są zresztą tym samym. Tak jak życie! Bo śmierć to negatyw życia. Wszystko się harmonijnie splata... Jest wielką jednością. I tak w końcu godzimy się ze sobą... i ze wszystkim.

– Ach, wszystko... – odezwał się po chwili Ernst – jakie to dziwnie niepodzielne. A może tylko ja patrzę w ten sposób? Absolut jest nieosiągalny; przesłania go nędzna, barwna złuda, którą nazywamy życiem. Krzątamy się jak pracowite mrówki, kręcimy się jednak w kółko. Czy naprawdę mamy przed sobą jakiś cel? Gdybyśmy przynajmniej mogli zdać się na ciemne siły popędów... na instynkt... Niestety, już dawno go utraciliśmy. Przyjrzyjmy się naszym poplątanym, rozproszonym instynktom. Uważamy, że to rozum; porównajmy go z cudownie jednolitym instynktem zwierzęcia. Fritz, dziwny jest świat.

– Nie – dało się słyszeć w ciemności – wszystko jest prawidłowe! Sama myśl o tym – oto najlepszy dowód. Wszystko ma jakieś znaczenie... zapewnia równowagę... mimo wszelkich nieprawości jest dobre. Dobro, zło... Coś jest dobre dla ciebie, ja mogę utrzymywać, że to samo jest złe. Coś, na co spoglądamy z dołu, wydaje się wysokie. Gdy wyjedziemy na górę, okaże się, że jest niskie. Z wyżyn naszego ducha oceniamy coś jako złe; zmieniamy punkt widzenia – jest dobre, patrzymy z oddalenia – znów jest złe i w końcu, z bardzo daleka, także złe. Bezustanna względność ocen. Zbyt mocno trwamy przy naszych wartościach. One zaś łatwo tracą wyrazistość. Wszechświat jest jak olbrzymi las. W porównaniu z nim rozmiary ludzkiego rozumu nie przekraczają centymetra. Czy więc możemy to wszystko mierzyć, wartościować? Nonsens... Cieszymy się, kiedy świeże technienie wielkiego „czegoś” wspomóż intuicję; wszystko jest jak należy! Człowiek, życie, świat! A dobry znaczy również piękny. Często, malując akt, myślałem: jaki piękny i niewinny jest nagi człowiek! Wszelki ubiór to w gruncie rzeczy profanacja. Kiedy wkładamy ubranie, ożywają pierwotne żądze. Niewinna nagość je rozprasza.

– Nie da się jednak zmienić poglądów ani duszy jak ubrania – oponował Ernst – i uwierzyć w to, co się wcześniej potępiało.

– Znamy takie przypadki – odparł Fritz. – Przypomnij sobie: Szaweł-Paweł. Trzeba chcieć! Możemy w niejedno uwierzyć, mimo wcześniejszego założenia, że nigdy w to nie uwierzemy. Pesymizm zaś jest przywilejem młodości, chociaż właśnie w tym okresie życia najtrudniej dlań znaleźć uzasadnienie. Tak igra z nami tragizm życia... I jest to przekonująca gra.

– Wbrew temu, co mówisz, Fritz, chodzi chyba o zabarwiony pesymizmem optymizm. Współczucie najłatwiej przychodzi komuś, kto sam jest szczęśliwy. Ale są ludzie, którzy bez nieszczęścia nie potrafiliby żyć.

– Przez całe życie – perorował malarz – człowiek jest aktorem lubującym się w rolach, w których może obficie przelewać łzy. Są tacy, którzy za nic nie zdjeliby z głowy korony męczennika. Odpychają szczęście od siebie. Czemu tego nie odwrócić! Nie podkreślać tego, co dobre! Kto bezustannie opowiada, że ma pecha, sam w końcu w to uwierzy. Jak często ludzie, całkiem bez powodu, obrzydzają sobie życie... Precz z narzekaniem... Przekonajmy się o wspaniałości życia! Tylko tak, mój chłopcze! – mówił po krótkiej przerwie Fritz. – Ciesz się twoją niespożyta energia. Śmiejąc się, bierz się z życiem za bary! To prawo młodości! Aż nadejdzie godzina, w której życie rzuci cię na kolana, gdy twoje „Ja” zbuntuje się przeciw tobie... Godzina poznania. A wtedy, być może, słodka twarz i delikatna dłoń okaże się pomocna...

– Elisabeth... – rzekł Ernst cicho, w zamyśleniu. – Tak, Fritz – mówił dalej już swoim głosem – wszystko jest dobre, masz rację... A teraz chodźmy spać.



Fritz wraz z Ernstem kilkakrotnie odwiedzali panią Heindorf. Sporo muzykowano; wyśmienita gra Ernsta, jego mistrzowski akompaniament i artystyczne porozumienie ze śpiewającą Elisabeth nieodmiennie budziły podziw. I niemal każdy domyślał się prawdy. Pani Heindorf też coś podejrzewała; uśmiechała się jednak ze zrozumieniem i mówiła do Fritza:

– Nasze dzieci dobrze się rozumieją. Zostawmy je w spokoju, młodość zawsze domaga się wiosny. Ufam panu i pańskiemu przyjacielowi, który, jeśli mam być szczerą, bardzo mi się podoba, podobnie zresztą jak Fried. Fried jednak jest spokojny, łagodny, a pański przyjaciel Ernst ma w sobie coś faustowskiego, niejednoznacznego i pociągającego, coś, co na dodatek łączy się z uprzejmością i skłonnością do marzeń.

Także radczyni uważała, że Ernst ma w sobie coś ekscytującego. Na gwałt chciała go lansować i zapraszała do siebie, pragnąc przedstawić ludziom ze świata sztuki: artystom i wpływowym krytykom.

Ernst grzecznie odmawiał. Musi przecież jeszcze na rok jechać do Lipska po ostateczny szlif... Dopiero potem rzuci się w wir zawodowego przeznaczenia. Niemal się krył ze swą sympatią dla Elisabeth; jak nigdy dotychczas, sentymentalny marzyciel wziął w nim górę.

Często razem muzykowali. Elisabeth przestudiowała pieśni, które skomponował do tekstów Fritza i, koniec końców, zaśpiewała je pewnego wieczoru pod portretem Lu, kiedy w blasku świec wydawało się, że oczy zmarłej żyją, a jej usta zdobi uśmiech...

Nadeszła długo wyczekiwana wiadomość z Lipska i pora wyjazdu. Z Elisabeth Ernst pożegnał się poprzedniego dnia:

– Żegnaj, Mignon. Nie zapominaj.

– Nigdy...

Ostatnie godziny dzielące go od odjazdu spędził z Fritzem. Rozmawiali jak zwykle w pokoju obok pracowni.

– Znów budzi się we mnie żądza przygód – mówił Ernst. – Młodość dopomina się o swoje. Wiesz, że wszystko, co dla mnie ważne, jest tutaj. A jednak jakaś przemożna siła ciągnie mnie do Lipska.

– Blask nowości bywa zazwyczaj pociechą podczas rozstania.

– Mówiłem Elisabeth, że powinna tu zaglądać.

– Myślę, że będzie.

– Strzeż jej. Dla mnie.

– Jasne – No cóż, mój stary. Sentymentalne gesty to nie moja specjalność. Żegnaj!

Trzymaj się! Do zobaczenia!

Uścisnęli sobie dłonie.

– Żegnaj, Ernst! Wracaj zdrów i cały!

Idąc na dworzec, Ernst poczuł nagle dojmujący ból: to był smutek rozstania. Zaraz jednak, unosząc głowę, wyrzucił z siebie jedno słowo: Lipsk. Kiedy jednak wąż szarych wagonów przesunął się wzdłuż peronu, serce młodego mężczyzny ogarnęła tęsknota. Ale natychmiast wziął się w garść.

– Lipsk – powtarzał zdecydowanym głosem.

– Drogi mistrzu, co za okropny upał. Słowa z trudem przechodzą przez gardło. – Radczyni stękała z wysiłku, sadowiąc swoje sto kilogramów żywej wagi na fotelu dla gości w pokoju Fritza. – Ależ wysoko pan mieszka!

Z pewnością to bardzo romantyczne – lustrującym spojrzeniem obrzuciła ściany – bardzo poetyczne. Tylko czy poezja musi być aż tak niewygodna?

– Łaskawa pani, jest przecież także poezja salonowa. Tę pani miała na myśli?

– Drogi przyjacielu... quelle idee... Zachwycająco się pan urządził. Czy domyśla się pan, z czym przychodzę? – Nawet nie próbowałem. Po prostu się cieszę, że panią widzę.

– Zatem do rzeczy, drogi przyjacielu. Ogromnie mi się spodobał portret Elisabeth Heindorf. Postanowiłam więc, że teraz namaluje pan mnie. W ten sam sposób... en profil, dobrze...?

Pod Fritzem ugięły się nogi. Z przerażeniem patrzył na mięsisty nos i tłusty podbródek otyłej damy. W dodatku profil! Straszne!

– Łaskawa pani, może lepsza byłaby fotografia? Zajmuje mniej czasu. Portretowanie jest nudne. Proszę pomyśleć o pozowaniu, będzie pani musiała siedzieć nieruchomo przez wiele godzin.

– To cudownie! – szczebiotała radczyni. – Te sesje będą wspaniałym przeżyciem. Opowie mi pan o Italii.

Fritz wpadł w rozpacz. Miał serdecznie dość tych historyjek na temat Italii. Jego fantazja nie mogła sprostać nie kończącym się żądaniom radczyni. Aż tyle we Włoszech nie przeżył, nie o wszystkim też chciałby opowiadać. Nie ma co: ładna perspektywa...Radczyni przyglądała mu się z widoczną sympatią.

Spróbował jeszcze jednego wybiegu.

– Proszę pani, właściwie nie jestem portrecistą.

– Nic nie szkodzi. Portret Elisabeth dowodzi, że świetnie pan sobie radzi.

– Droga pani, swym okiem znawcy – anielski uśmiech wykwitł na ustach korpulentnej niewiasty – z pewnością pani dostrzegła, że portret nie jest podobny – kręcił Fritz. – To daleko idąca stylizacja.

– Tak, to prawda – potwierdziła.

We Fritza wstąpiła nadzieja. Miał wrażenie, że lody pękają.

– Nie każdemu to się podoba. Zmarszczki, bruzdy wychodzą mi lepiej od gładkich, młodych twarzy. Maluję przede wszystkim ludzi starych, pomarszczonych, młodych

prawie wcale. Młodych twarzy, często to podkreślam, właściwie nie rozumiem. Dlatego odradzałbym pani... – Z powagą spojrział na nalane, pozbawione wyraźnych rysów oblicze. – Subtelne linie, kształty nie są moją mocną stroną... Mam przyjaciela, młodego malarza, bardzo utalentowanego, po studiach w Dusseldorfie. Ma teraz tutaj sporo zamówień. Portretuje głównie młode twarze. Co pani o tym sądzi?

Radczyni pokiwała głową. Niewybredne pochlebstwa sprawiły jej widoczną przyjemność. Okazuje się, że kobieta kupi każdy komplement. Okropność!

– Pańskie towarzystwo jednak cenię sobie nade wszystko.

– Z wzajemnością.

– Kiedy będę miała przyjemność poznać pańskiego młodego przyjaciela?

– Kiedy tylko pani sobie życzy.

– Niech przyjdzie na herbatę we wtorek o piątej. Z panem.

– Będzie to dla niego z pewnością wielki zaszczyt. Przyjdziemy punktualnie.

– Cieszę się. A teraz, mistrzu – radczyni spojrziała przymilnie na Fritza – proszę pokazać, co nowego pan namalował.

Malarz przeszedł z nią do pracowni. Po chwili starsza pani zaczęła się żegnać:

– Zatem do wtorku; musi mi pan znów opowiedzieć coś o Italii.

Kiedy wyszła, Fritz odetchnął z ulgą. Miał powody do radości. Przy jednym ogniu upiekł dwie pieczenie. Fried będzie miał nowe zlecenie, on sam pozbył się uciążliwej damy. Zadowolony popijał herbatę z miodem.

Z okna w dachu dolatywało monotonne brzęczenie.

O, nosicielka miodu, pomyślał. Od kilku dni miewał popołudniami regularne wizyty. Gościem była pszczoła. Przylatywała wraz ze słońcem pojawiającym się o tej porze w magicznym okienku. Z cichym buczeniem polatywała wokół kwiatów. Fritz ostrożnie wysypał obok trochę cukru i postawił spodeczek miodu. Pszczoła wkrótce dostrzegła łup, usiadła i zaczęła zbierać słodycz. Po chwili się poderwała, jakby chciała podziękować, okrążyła Fritza i odfrunęła.

Pewnego ranka Fritz obudził się wcześniej. Zza drzwi dobiegały jakieś szmery. Ktoś szarpnął struny lutni. Cisza. Wreszcie trzy młode głosy, którym towarzyszył delikatny akompaniament, zgodnie zainonowały:

*Przybył raz Hans, z Frankonu grajek,*

*Śmierć za czuprynę go wlecze, łaje –*

*i gdy tak stanął u raju bram,*

*Rygle zawarte, przy nich Piotr sam.*

*Pyta Bóg Ojciec nabożnych panien:*

*„Co zrobić z tym tu Hansem draniem?”*

*Co z ciałem począć – różnąc do piasku?”*

*„Do piekła z nim, posłać do diaska!”*

*Róże w oddali, Panienki w sali,*

*O, piękna Rosemarie.*

*Głos wnet zabrali pobożni męże:*

*„W dobrem to on się nie nadwerężył.*

*Kościół nie znał, na mszę nie chadzał,*

*I Paternoster z nami nie gadał!”*

*Grajek im zrazu na to odpowie:*

*„Skrzypeczki moje zbożną, panowie,*

*Choć na swój sposób, melodię grały,*

*I Kyrie eleis dzień w dzień śpiewały!”*

*Róże w oddali,*

*Panienki w sali,*

*O, piękna Rosemarie.*

*A na to rzekły dziewczęta:*

*„Chryste, Miłości nie znał ten łotr i chłystek –*

*Całować tak, mgliste snuć szansę,*

*Ale iść z sobą, o, nie, nie z Hansem!”*

*Grajek skruszony, we łzach i z łkaniem:*

*„Tak, najpiękniejsze poznałem z panien.*

*Żywiły mnie, lecz serce głuche,*

*Kochać nie chciało – w nich miłość bucha”.*

*Róże w oddali.*

*Panienki w sali,*

*O, piękna Rosemarie.*

*Aż przyszło dzieci koło tysiąca:*

*„Ach, Piotrze, wpuść go, wpuść tego dzwońca!*

*Z nami on błdził przez kraj daleki,*

*I grając, wiódł nas w różane brzegi!”*

*Huknął więc Pan: „Wybaczam szelmie!*

*Dziociom tak bliski, niech siędzie w bielmie.*

*Roztwieraj, Piotrze, żwawo nieb wrota,*

*Niech dzieciom zagra i tu niecnota!”*

*Róże w oddali, Panienki w sali,*

*O, piękna Rosemarie.*

A potem drobne zamieszanie za drzwiami i tupot nóg zbiegających pośpiesznie po schodach.

Fritza ogarnęło wzruszenie. Zerwał się z łóżka i włożył ubranie. Przed drzwiami zastał barwnie przystrojony kosz pełen kwiatów i słodkich wypieków. Obok leżał ręcznie wykonany woreczek na tytoń, kilka książek i teczka z rysunkami. Fritz ostrożnie zaniósł wszystko do mieszkania, po czym wyszedł do miasta po niezbędne zakupy: masło, rodzynki, migdały, jajka. Pełen wiary we własne siły zabrał się do dzieła: zaczął zagniatą ciasto. Kiedy było gotowe, zaniósł je do sąsiadki, która kiedyś w zaufaniu mu obiecała, że je upiecze jak należy.

– Czemu nie kupi pan czegoś u cukiernika?

– Ciasto z cukierni już mam. To jednak jest wyjątkowe. Przepis dostałem od nieżyjącej już przyjaciółki.

Po południu przyszli goście. Fritz odświętnie przystroił pokój. Paula rzuciła się malarzowi w ramiona:

– Sto lat, wujaszku, obyśmy jak najdłużej mogli się tobą cieszyć i... daj się pocałować! – Śmiała się i mówiła na przemian. – Wujku, skąd masz takie wspaniałe ciasto? Sam piekęś? – I po chwili znów paplała: – Co za aromat, chyba kawa? Jakie cudowne te urodziny.

Towarzystwo rozsiadło się wokół pięknie udekorowanego stolika do kawy i zabrało się do jedzenia.

– Teraz podam ciasto Luizy – rzekł Fritz. – Spróbujcie. Sam je upiekłem według przepisu, który znam od Lu.

– Wujaszku, ty chyba wszystko potrafisz.

– Wiesz, co zrobiła Paula? – zaczął Fried. – Umówiła się teraz na czwartą z dwoma studentami w amarantowych czapkach, z jednym na wałach, z drugim obok Hegetor; w tej chwili pewnie na nią czekają.

– Paula – śmiał się Fritz – widzę, że potrafisz być okrutna.

– Och, wujaszku, to przecież nie złego! Ci dwaj są jak pawiany. Jeden to patentowany osioł, drugi myśli, że jest donżuanem, któremu żadna się nie oprze. Zimny prysznic dobrze im zrobi.

Rozmawiano w najlepsze do wieczora. Naraz ktoś zapukał do drzwi. Był to listonosz, który przyniósł zwiniełą w rulon przesyłkę od Ernsta.

– Wujaszku, musisz to zaraz otworzyć!

W paczce było sześć pieśni Ernsta do wierszy Fritza oraz list.

– Przeczytaj, umieram z ciekawości! – nalegała Paula.

– Zgoda. Oto, co pisze: „Fritz, mój drogi. Należę do tych, którzy nie przepadają za urodzinami. Urodzić się to przyjemność poniekąd wątpliwa. Nie wiadomo: przeklinać czy się cieszyć. Tym razem oczywiście się cieszę. A więc serdeczny uścisk dłoni

i najlepsze życzenia. Doskonale wiesz, co się za tym kryje. Gdybym był z tobą, z pewnością osuszilibyśmy jakąś butelczynę i pogawędzili o przyszłości... Wykłady tu są znakomite, teatr na najwyższym poziomie. Po ukończeniu studiów mam szansę nawet na stanowisko kapelmistrza. Wiele na to wskazuje. Co poza tym? Są ludzie, których nic nie zadowoli. Kiedy osiągną cel, zamiast spocząć, traktują nową sytuację jako punkt wyjścia do dalszych wysiłków. Walka jest ich żywiołem, spokój oznacza śmierć. Mam wrażenie, że ja też jestem taki. I nie chciałbym być inny. Czuję wewnętrzny żar, wciąż wyrywam się naprzód, pragnę jak płomień wystrzelić pod samo niebo. Wiem, że siedzicie teraz razem na poddaszu obok pracowni. Pozdrawiam was wszystkich, ciebie, drogi przyjacielu, ściskam z całego serca, Ernst”.

– Musimy posłuchać tych pieśni!

Goście wstali i zgromadzili się wokół fortepianu.

Próbowano fragmenty kompozycji. Na dworze pociemniało. Na odchodnym Elisabeth poprosiła o rękopis pieśni.

Zapadł zmrok.

Fritz sprzątnął i przykrył stół białą serwetą. W starym lichtarzu zapalił świecę, przesunął je pod portret Lu i wyjął pakiet listów od ukochanej. Płomyki świec chwilami płonęły jasno, to znów przygasaly. I zdawało się, że oczy na obrazie ożyły, a usta się uśmiechają.

Malarz pochylił głowę i czytał. Wieczorny wiatr swawolił za oknem. Fritz na nic nie zważał. Był w innym świecie, słyszał umiłowany głos i słowa, które dawno przebrzmiały. Miał uczucie, że Lu na niego patrzy. Z pożółkłych kartek unosił się złudny czar minionego, każde słowo, każde zdanie przypominało o miłości. Tak jak wtedy, słodko pachniały zasuszone pomiędzy kartkami papieru kwiaty: fiołki, płatki róż, niezapominajki, żółty lak. List za listem, coraz bardziej przejmujące wyznania. Na jakiejś bladuróżowej kartce przeczytał: „Kochany, nie jestem już sobą... Jestem jak wietrzny powiew, jak kwiat pijący rosę, jak przedwieczne marzenie. Przylatują do mnie ptaki, są ufne jak nigdy. Siadają mi na ramionach, zbierają z ust okruszyny. Najdroższy, zmieniam się jak we śnie... nie... bo życie obok ciebie jest wszystkim... bez ciebie jedynie snem... Kochany, nie jestem już sobą... płacząc ze szczęścia, jestem tobą...”

Fritz westchnął:

– Lu... moje szaleństwo i ukojenie, gdzie jesteś...? – Nie mógł dalej czytać, skulił się w fotelu i patrzył na obraz.

Oczy na portrecie błyszczwały jak żywe, kobieta uśmiechała się doń.

– Jestem taki samotny i opuszczony – mówił Fritz głosem pełnym rozpacz – wróć, każda moja myśl należy do ciebie.

Błade światło księżycyca dołączyło do migotania świec.

W pokoju słycać było jedynie urywany szept mężczyzny.

– Chodź... Usiądź koło ognia... Oprzyj stopy o kominek... są czerwone z zimna... Otul się kocem... Na dworze jest noc... po oczach widzę, jak zmarzłaś... Napij się herbaty, gorącej i słodkiej, takiej, jaką lubisz... Przytrzymać ci filiżankę? O, tak... pij, kochanie. Widzisz, twoje policzki nabierają kolorów. Ułóż się wygodnie w fotelu, podaj mi rękę... Siądę u twych stóp. Porozmawiamy. Zawsze byłem pewien, że wrócisz – mówił dalej. – Popatrz, tutaj wszystko zostało jak dawniej. O zmroku, gdy za oknem śpiewa wiatr, w kominku pali się ogień... Pusto było bez ciebie. A wiesz, czego najbardziej mi brakowało? Kiedy po burzliwym dniu, po stoczonych bojach, sukcesach czy niepowodzeniach szukałem wieczorem spokoju, odzywał się w moim sercu głos... nie mój... to był głos żalącego się dziecka: nie mam już sił, najdroższa, chodź, przytul mnie... bez tego nie zasnę... Doprawdy niełatwo było zagłuszyć tę cichą skargę. Próbowałem go przekrzyzczeć, śpiewać... pić. Zawsze jednak, kiedy wrzawa cichła, natrętny głos zaczynał od nowa: jestem zmęczony, najdroższa... chodź... przytul mnie. Walilem pięścią w stół i krzyczałem: wina! Mocnego wina! Dostyc już! Dość tego! Znów dudniła muzyka, brzęczało szkło, twarze dookoła się śmiały, oczy błyszczały. Nic z tego, przeżerała mnie rozpacz, cały ten zgiełk nie mógł zagłuszyć cichego, zmęczonego głosu. Ciągłe słyszałem: nie mam już siły... chcę spać... W końcu dałem spokój i zwróciłem się ku beznamiętnej wiedzy i filozofii. Minęła wiosna, kwitły kwiaty, szumiały strumienie, jaśniało słońce. Niczego nie dostrzegałem... Wraz ze zmierzchem ożywały martwe litery; zagłębiałem się w książki i poza nimi nic mnie nie interesowało; otoczyła mnie ciemność i tylko gdzieś z oddali docierał delikatny głos: jestem taki zmęczony... najdroższa... przyjdź, przytul mnie, chcę spać... W końcu wyrzuciłem te zakurzone szpargały. Znów zacząłem widzieć nad sobą błękit nieba, wędrować wśród zieleni. Pracowałem dzień po dniu, tydzień za tygodniem.

Patrzyłem na świat jak kiedyś, byłem niemal szczęśliwy. Ale gdy zmierzchało, opuszczał mnie spokój, wciąż słyszałem ten cichy głos.

– Kochanie, może jeszcze herbaty? – ożywił się. – Chodź, będziemy patrzeć na ogień i marzyć. Jak dawniej. Spójrz tylko na te ciemne jodłowe polana. Liżą je niziutkie niebieskawe płomyki. A teraz te wystrzelające żółcią języki, które powoli ogarnia czerwony ogień, okrywa je jasną, uroczystą szatą, otacza wszystko, jak ty mnie, promienistą aureolą; co stałe, zamienia w lotne, ciemne – w jasne.

Powoli z kręgu światła wyłania się złocisty dom. Już wyrosły filary, pomiędzy nimi srebrzy się zmierzch. Zieleń łąk, ciemny las, błękit nieba podpartego w oddali sinymi łańcuchami gór. Dokoła róże, moc róż! Złocisty marmur ocieniony błękitem. Zaraz za ogrodem błyszczące w słońcu morze... Stawiajmy żagle, Lu, płynmy w świeżość błękitu... Nad nami biały wydęty żagiel, pod spodem niezgłębiona toń. Mkniemy, rozcinając spienione grzywy fal. Nie widzimy niczego prócz morza i błękitu, osłepia

nas blask! W oddali ciemna linia: nasza słoneczna wyspa. Leżymy na białym piasku, stajemy się jak samo słońce i fale. Rozkoszny letni wiatr uwalnia nasze dusze od jakichkolwiek myśli. Co za szczęście leżeć tak w piasku, sam na sam z Bogiem i Naturą! Nad nami krąży kilka motyli. Lu... najdroższa... spójrz – motyle...

Jest lato, środek dnia...

Lu...

Cisza.

– Od morza powiało chłodem. – ciągnął Fritz w rozmarzeniu. – Znow suniemy po ruchliwych falach, zmierzamy do domu! Naszego domu! My, bezdomni, znaleźliśmy wreszcie miejsce na ziemi. Po zielonych polach snują się przedwieczne cienie. Mocno trzymam cię za ramię. Idziemy powoli, krok za krokiem, rozkoszujemy się każdą chwilą samotności we dwoje. W progu przystajemy. Patrzę na ciebie. Opuszczam głowę, klękam. I mówię: jestem taki zmęczony... najdroższa... chodź, przytul mnie... chcę zasnąć... Pochylasz się nade mną jak Madonna, całujesz moje czoło i oczy.

Spełnienie...

*Zapada noc, mrok spowija okolicę.*

*W ciemności coś się żarzy.*

*Blask domowego ogniska.*

*Znow siedzimy przy kominku...*

*Nasz sen się skończył...*

*Dość marzeń, napij się herbaty i podaj mi rękę.*

*Na dworze gwizdże wiatr...*

*Wezmę lutnię, a ty zaśpiewasz.*

*Pieśń, którą śpiewałaś mi dawniej.*

A potem uklęknę przed tobą i powiem: jestem taki zmęczony... najdroższa... przytul mnie... odmów wieczorną modlitwę... chcę spać...

Czemu nie śpiewasz, Lu... moja jedyna...

– To był sen. – Samotny mężczyzna ocknął się i gorzko uśmiechnął. – Zostało mi jedynie kilka poślisków kartek i jakieś pamiątki...

Usiadł i zaczął pisać:

*Sarny i księżyc – o, kruchy raj,*

*Na który ziemia mnie zesłała –*

*Zwróć mi jej, świecie, twarzy skraj,*

*Zwróć mą sarenkę, którą dała.*



*Zwróć mi i serca sny, zwróć barwy,  
Które wśród płaczu z sobą wzięła.  
O, osłoń, okryj ten czas żalny,  
Księżycu mój, o, gdzież nadzieja.  
Ona umarła, śmierć nie próg,  
Cóż ma tęsknota, cóż ich żalność –  
Zwróć mi ją, ziemio, świecie, zwróć,  
Zwróćcie sarenkę moją małą.*

Przeszedł do pracowni. Podniósł klapę fortepianu i wydobył tylko jeden dźwięk, który – jasny i miękki – dość długo wybrzmiewał. Fritz odczekał do chwili, kiedy zrobiło się całkiem cicho.

– Takie jest ludzkie życie – mówił do siebie. – Jak dźwięk pośród nocy, który szybko przemija... wciąż noc... Łaknę spokoju... Lu... kiedy zabierzesz mnie do siebie, do domu...?

Podszedł do drzwi. Naraz na jego twarzy pojawił się tajemniczy, nieziemski uśmiech; malarz odwrócił się w stronę tarczy księżyca i zupełnie już innym głosem powiedział:

– A jednak... właśnie dlatego świat i życie są takie piękne.

## VI

Sezon operowy już się rozpoczął. Żadna wrażeń wytworna publiczność zbierała się u wejścia do teatru, przed które co chwila podjeżdżały terkoczące automobile i eleganckie powozy. Carmen od dawna nie schodziła z afisza. Ernst ze swym przyjacielem Eugenem Hilmerem również zdążali na przedstawienie.

– Dziś zobaczymy naszą nową Carmen – ekscytował się Eugen. – Bardzo jestem ciekaw. Ponoć fascynujące wcielenie kobiecości.

– Chcę posłuchać orkiestry, reszta mało mnie obchodzi – oświadczył Ernst.

Widok foyer oszałamiał: głęboko wycięte toalety wieczorowe odsłaniające nagie ramiona i plecy pań, szelest falbaniastych spódnic, połysk jedwabi, lśniące futra oraz mieniące się klejnoty.

Widownia była wypełniona do ostatniego miejsca. Zaczęła się uwertura. Kurtyna poszła w górę. Na oczach publiczności rozgrywał się ponadczasowy dramat namiętności z porywającą muzyką Bizeta. Pojawiła się Carmen. Ernst był olśniony. Jaka żarliwość i pasja! Gorejące oczy, kruczoczarne włosy! Obracając w ustach papierosa, nuciła uwodzicielsko:

Choć miłość to Cyganka płocha,

Jednak szczęście z rąk jej śmiało bierz!

Nie kochasz mnie, lecz ja cię kocham,

A więc miłości mej się strzeż! [Przekład Wiktora Bregy'ego i Kazimierza Czekotowskiego.]

Zerwała się burza oklasków. Śpiewaczka musiała kilka razy wychodzić na proscenium. Jak stwierdził Eugen, zrobiła furorę.

Po spektaklu przyjaciele udali się do pobliskiej przytulnej winiarni. Przy butelce burgunda rozmawiali o przedstawieniu, najwięcej o Carmen. Eugen był zafascynowany kreowaniem postaci, Ernst wychwalał śpiew.

– Cudownie nośny głos. Niech ją diabli, co za forte!

Powoli lokal się zapełniał. Schodzili się ci, którzy ostatni opuścili operę. Nagle Ernst się ożywił.

– To ona – szepnął gorączkowo – chyba tutaj idzie.

Do winiarni weszła elegancka dama w towarzystwie kilku wielbicieli. Usiadła przy jedynym wolnym stoliku obok stolika dwóch przyjaciół. Ernstowi wydawało się, że skądś ją zna. Nagle, kiedy odpowiedziała na ukłon jakiegoś mężczyzny, olśniło go. To samo dumne skinienie głowy zauważył już dawniej, na spacerze z Fritzem.

Carmen była znajomą malarza. Ernst patrzył na nią z zachwytem. Była piękna. Miała bujne ciemne włosy, urodę szczupłej twarzy o regularnych rysach podkreślały

duże czarne oczy. Towarzyszący jej młodzieńcy wyglądali na kwiat miejscowej socjety; usłużnie starali się dogodzić zachciankom primadonny.

Śpiewaczka rozglądała się po sali. Naraz dojrzała Ernsta. Przez chwilę, jakby coś sobie przypominając, uważnie mu się przyglądała. Młodzieniec poczerwieniał. Powoli nieznajoma odwróciła głowę. Ernst patrzył na zgrabne nogi obciążone jedwabnymi pończochami, podziwiał drobne stopy w eleganckich lakierkach.

Śpiewaczka zauważyła jego wzrok i dziwnie się zaśmiała; był to śmiech nienaturalny, pobrzmiwało w nim lekceważenie. Rozgniewała Ernsta, który poczuł się jak smarkacz. Jednym haustem opróżnił kieliszek i ze sztucznym ożywieniem zaczął coś mówić do przyjaciela.

Z kolei Eugen, lekkoduch o złotym sercu, opowiadał o swym najnowszym romansie:

– Mieszkamy w tym samym domu, ona na dole, ja piętro wyżej. Ja – muzyk, ona uprawia muzykę po amatorsku, grywa łatwe sonatiny i Maj wszystko odmienia, robiąc przy tym zaledwie kilka błędów. We wszystkim, co dotyczy naszej szlachetnej sztuki, jest niezwykle sumienna, toteż codziennie ćwiczy godzinę do dwóch.

Same wprawki, jedną po drugiej... wiesz, co to oznacza.

Z początku doprowadzało mnie to do szału, byłem w dodatku pewien, że to jakaś stara kwoka. Chciałem ją uczyć, stukalem miotłą w podłogę. Wtedy grała głośniejsze. Tłukłem mocniej, coraz bardziej rozszłoszczony.

W końcu, kiedy pewnego wieczoru znów zaczęła grać, podniosłem stół i z wściekłością trzasnąłem nim o podłogę, po czym, trzęsąc się ze złości, pobiegłem na dół poskarżyć się właścicielowi domu. I kogo spotykam na pierwszym piętrze? Moją sąsiadkę, która zamierza zrobić to samo! Myślałem, że to jakaś głupia gęś, tymczasem miałem przed sobą twarz pełną powabu; ona spodziewała się starego zreumatyzowanego zrzędy, a zobaczyła mnie. Zapewne się domyślasz, co było dalej... nastąpiło uroczyste pojednanie.

– A co z fortepianem? – dopytywał się Ernst.

– Gramy teraz na cztery ręce – śmiał się Eugen.

Przy sąsiednim stoliku toczyła się ożywiona rozmowa, w której piękna śpiewaczka prawie nie brała udziału.

Kiedy Eugen zamilkł na chwilę, Ernst słuchał, o czym mówiono. Młodzieńcy ze świty primadonny prześcigali się w tanich komplementach. Ernst podniósł głowę i utkwiał wzrok w ciemnych oczach śpiewaczki, po czym chłodnym spojrzeniem swych szaroniebieskich oczu obrzucił wielbicieli primadonny i lekko wydymając usta, pogardliwie się uśmiechnął. Jego wzrok ześliznął się w dół i mimowolnie zatrzymał na szczupłych nogach kobiety.

Śpiewaczka podążała za jego spojrzeniem; niby przypadkiem podciągnęła suknię, ukazując jedwab pończoch i kształtne łydki. Gdy znów usłyszał drwiący śmiech, krew uderzyła mu do głowy.

Po jakimś czasie piękna nieznajoma wstała. Widząc, że Ernst nie spuszcza z niej oczu, w przejściu obdarzyła go krótkim powłóczytym spojrzeniem. Następnie, w towarzystwie swych wielbicieli, opuściła lokal.

Ernst miał wrażenie, że krew w nim kipi. Przedstawienie przyprawiło go o przyspieszone bicie serca. Bliskość pięknej kobiety, porywającej Carmen dokonała reszty. Nie mógł skupić uwagi na tym, co mówi Eugen, i wkrótce pożegnał się z przyjacielem. W domu starał się zasnąć. Nic z tego, wciąż mu się zdawało, że widzi przygasające światła rampy i Carmen, która śpiewa: „A jeśli kocham, to się strzeż!” Próbował myśleć o Elisabeth. Czysty dotychczas obraz dziewczyny był jednak jakiś zamazany. W zupełnej rozterce ubrał się i w środku nocy wyszedł na miasto. Miał uczucie, że pracująca na najwyższych obrotach wyobraźnia nie należy do niego. Przypisywał to swej gorącej krwi, młodości, podniecającej muzyce; przy każdej jednak próbie tłumaczenia z obezwładniającą oczywistością powracało wciąż to samo: pragnął kobiety.

Kilka następnych wieczorów Ernst spędził w operze.

Po przedstawieniu szedł do tej samej małej winiarni. Jednak Lanna Reiner więcej się nie pojawiła w lokalu.

Po tygodniu podniecenie opadło; Ernst trzeźwiej oceniał sytuację i śmiał się z siebie. Z zapalem zabrał się do pracy, ostatnio bowiem trochę zaniedbał studia. Operę omijał z daleka, chodził na długie spacery. Szum drzew w leśnym ustroniu podsunął mu pomysł tematu, który wykorzystał w lirycznej serenadzie skomponowanej w stylu Haydna. Rozpisał ją na kwartet smyczkowy i zatytułował Elisabeth. Tego wieczoru, gdy zanotował ostatni takt partytury, ogarnęła go radość i zarazem niezwykle spokój. Zapakował nuty, dołączył do nich pełen czułości list. Potem rozsiadł się wygodnie i w błogim poczuciu duchowej równowagi chłonał nastrój zmierzchu. Spokój był dla niego czymś tak nowym, że nie potrafił się nim cieszyć; dociekał powodów, analizował każdy drobiazg. Niebawem też złe duchy ożyły, wypełzły skądś demony i spokój się ulotnił. Ernst znów musiał podjąć walkę z sobą. Zastanawiał się, co powinien zrobić, by być w porządku wobec siebie. Pozory, złudzenia... a mimo wszystko nie sposób nie wierzyć.

Przez chwilę patrzył na adres: panna Elisabeth Heindorf...

– Mignon – rozmarzył się; spokój powrócił. – Mignon... – Oczami wyobraźni widział dziewczynę przy fortepianie. Jej białą suknię, delikatne rysy, złociste włosy, błękit oczu. – Jesteś moim dobrym duchem. – Bez reszty pograżył się w marzeniach. Aż w końcu litościwa noc wzięła go w swe objęcia, zsyłając dobroczynny sen.

Podczas następnych dni intensywnie pracował.

Często odwiedzał go Eugen i opowiadał o swych przygodach. On też sporo myślał o Lannie Reiner, zbierał informacje o niej i dzielił się nimi z przyjacielem.

– Wyobraź sobie – mówił – że jakiś hrabia właśnie dostał od niej kosza. Ten nader porządny człowiek w dowód swych uczuć posyłał jej kosze kwiatów; pozwolił sobie też, w możliwie wyszukanej formie, zaprosić ją na kolację. Śmiejąc się, wyraziła zgodę, ale pod warunkiem że na kolację pójdzie z panią Muller, skromną statystką. Hrabia próbował najrozmaitszych wykrętów, Lanna Reiner postawiła jednak na swoim. Nie było wyjścia: poczciwa pani Muller miała okazję pokosztować wykwintnej kuchni i najeść się do syta. Ale hrabia się obraził, od pamiętnej kolacji więcej się nie pokazał.

Ernst się śmiał, ale nie do końca szczerze. Cenił poczucie własnej godności, dlatego też postępowanie śpiewaczki mu imponowało.

Któregoś wieczoru Eugen pochwalił się, że wie, gdzie można spotkać Lannę Reiner. Diwa, jak twierdził, często wyjeżdża do małej, znanej miejscowości wypoczynkowej.

– Jutro tam pojedziemy – zdecydował.

Ernst miał wątpliwości.

– Nie widzę przeszkód – uciał Eugen. – Jedziesz jutro ze mną.

W nocy Ernst nie mógł zasnąć. Jakiś przekorny głos szeptał mu do ucha: jedź... musisz jechać. Zaraz jednak górę brała duma. Postanowił, że nie pojedzie. I natychmiast zapadł w sen.

Nazajutrz rano starannie dobrał każdy szczegół swego ubioru.

– Przekonamy się, o co tutaj chodzi – mówił sam do siebie, dziarsko pogwizdując.

Gdy przyszedł Eugen, wyruszyli za miasto. Dzień spędzili na łonie natury i Ernst niemal zapomniał o Lannie Reiner. Zmęczeni wędrówką, pełni wrażeń wstąpili do niedużej leśnej gospody. Usiedli na przestronnym tarasie i podziwiali wspaniały widok. Ponad błękitnymi wzgórzami i zielenią lasów rozlewał się złotem delikatny blask zachodzącego słońca. Tylko same szczyty poczerwieniały, jakby chciały przypomnieć, że to już jesień. Jasne niebo nabrało jesiennej przejrzystości, powietrze było ciepłe i miękkie. By uczcić świąteczny dzień, a także chcąc zwabić wycieczkowiczów, gospodarz zaangażował dwóch muzyków – skrzypka i pianistę, którzy, nie szczędząc trudu, raczyli gości rzewnymi kawałkami. Ernst ze zgrozą zatykał uszy.

Z sąsiedniej sali obsługa wynosiła meble, przypuszczalnie przeznaczono ją do tańca. Przyjaciele byli w wyśmienitym nastroju. Ernst podziwiał swobodny styl bycia i otwartość tutejszych ludzi, niespotykaną na północy Niemiec. Tam w kawiarni każdy siedzi przy swoim stoliku sam nawet wtedy, gdy na sali jest dużo gości, tutaj zaś w podobnej sytuacji prawie zawsze ktoś podejdzie i z uprzejmym uśmiechem zapyta:

„Jest pan sam, może zechciałby pan choć na chwilę usiąść z nami? Będzie pan mógł porozmawiać”. A gdy ktoś ma ochotę na pogawędkę, bez skrępowania przysiada się do czyjegoś stolika.

Wkrótce prawie wszystkie miejsca na tarasie były zajęte. Ożywionym rozmowom wtórował radosny śmiech.

– Patrz, przyszła – szepnął naraz Eugen.

Lanna Reiner podeszła do stolika na drugim końcu tarasu. Ernst także ją zobaczył i poczerwieniał; nic nie mógł na to poradzić. Siedział nieco z tyłu, tak że go nie widziała, i patrzył na jej profil. Kiedy muzykanci, okropnie fałszując, zagrali jeden z walców Waldteufła, podszedł do nich jakiś starszy pan i przez chwilę coś mówił. Wzruszali ramionami, pogrzebali jednak w stercie leżących na fortepianie nut i zaczęli grać. To była uwertura do Carmen. Po kilku taktach całkiem się pogubili, jeden nie mógł złapać drugiego.

Słyszając tę kocią muzykę, Ernst zerwał się z krzesła i podszedł do fortepianu. Odsunął pianistę na bok i sam zaczął grać. Instrument był dobrej marki, w dodatku niedawno strojony.

Rozmowy ucichły. Lanna Reiner, dotychczas w milczeniu obserwująca okolicę, uniosła głowę.

Po uwerturze Ernst improwizował. Stopniowo spośród akordów i figuracji wyłonił się rytm habanery. Oplecione biegnikami narastało crescendo, a po nim zniecka rozległa się cicha melodia: „Choć miłość to Cyganka płocha...”

Przez cały czas Ernst czuł na sobie wzrok śpiewaczki; w pewnej chwili, pod wpływem impulsu, spojrzał jej głęboko w oczy. Na ustach Lanny Reiner pojawił się tajemniczy uśmiezek.

Ni z tego, ni z owego Ernst nagle przerwał grę, odrzucił głowę w tył i nie patrząc na śpiewaczkę, szybkim krokiem wrócił na miejsce. Był zły na siebie, rozdrażnił go ten dwuznaczny, drwiący uśmiech.

Nie chcę tego, myślał, zaciskając usta.

Widząc ten młodzieńczy bunt, Lanna Reiner tym bardziej się śmiała.

Do Ernsta podszedł starszy pan, przedstawił się i pogratulował mu. Był to dyrektor muzyczny z Monachium. Znalazłszy się przypadkiem w gospodzie, cieszył się, że raz jeszcze mógł posłuchać Bizeta. Zapewne, mówił, trochę z powodu tej Carmen, którą miał przyjemność oglądać na scenie i osobiście poznać.

Tymczasem jakiś zażywny jegomość, typowy Saksończyk, zażądał od muzyków sentymentalnego walca i wraz ze swą korpulentną połowicą ruszył w tany.

Wywołał tym poruszenie wśród zgromadzonej na tarasie młodzieży. W jednej chwili w przygotowanej do tańca sali zrobiło się tłoczno. Ernst z Eugenem też opuścili taras i przyglądali się parom na parkiecie.

Starszy pan podszedł do Lanny Reiner. Taneczna muzyka podziałała na niego ożywczo.

– Ernst, chyba też powinniśmy zatańczyć.

– Tak, właśnie się rozglądam. Chętnie wziąłbym w objęcia jakiegoś blond chrabąszcza czy śnieżnobiałą lilię...

Naraz poczuł na ramieniu czyjąś dłoń. Za nim stał przybysz z Monachium.

– Mam ogromną prośbę. Panna Reiner zgodziła się ze mną zatańczyć. Czy byłby pan tak miły i zagrał bostona? Będę ogromnie zobowiązany.

Ernst chciał stanowczo odmówić, ale po krótkim namyśle się zgodził.

– Uważaj, mam zamiar wykreścić teraz niezgorszy numer! – szepnął mu do ucha Eugen.

Ernst zaczął grać. Wsparta na ramieniu partnera Lanna Reiner odpłynęła w głąb sali. Rytmiczne kołysanie w takt walca podkreślało wspaniałość jej figury.

Ernst zobaczył, że Eugen sunie tanecznym krokiem z towarzyszką primadonny w objęciach. Odwracając się w stronę przyjaciela, wielce z siebie rad, szelmowsko zmrużył oko. Kiedy Lanna Reiner wracała z parkietu, spojrzała przelotnie na pianistę. Ernst wstał od fortepianu. Przechodząc, usłyszał słowa starszego pana:

– Nie przypuszczałem, że w moim wieku taniec może dostarczyć tyle radości.

Ledwo usiadł przy stoliku, pojawił się rozpromieniony Eugen.

– Ona też jest z opery. Ale z nas szczęściarze!

Ernst zagadkowo się uśmiechał. Kiedy muzycy zaczęli walca, nerwowo się zaśmiał i odrzucił głowę w tył.

– Najlepiej od razu chwycić byka za rogi! – oświadczył, podszedł do Lanny Reiner i się uklonił.

Chwilę mu się przyglądała, w końcu wzięła go pod ramię. Ernst miał wrażenie, że śni. Ale zaraz wezbrała w nim duma i wyprostowany kroczył u boku śpiewaczki.

Podczas tańca patrzyła mu prosto w twarz. Wielkie ciemne oczy osadzone w szczupłej, drobnej twarzy miały władczą moc. Diwa ani na chwilę nie spuszczała wzroku z Ernsta. Zapach perfum i bliskość pięknej kobiety go oszołamiały, szelest jedwabnej sukni przyspieszał bicie serca. Ernst czuł ciarki na plecach.

Nie padło ani jedno słowo. Na zastygłych w milczeniu pięknych ustach primadonny błąkał się ten sam ekscytujący uśmiezek. Ernst z całych sił zaciskał zęby i starał się patrzeć jej prosto w oczy. Mimowolnie ścisnął dłoń śpiewaczki. Spojrzała na niego tajemniczo... jakby o czymś wiedziała. Odprowadził ją na miejsce miotany sprzecznymi uczuciami. Kiedy usiadła, Ernst nagle się schylił i ucałował jej dłoń.

Eugen czekał na niego, był podniecony.

– Ty szczęściarzu! Opowiadaj! Co mówiła? Jaka jest? Mów!

– Chyba już pójdziemy – powiedział Ernst zamyślony. Wciąż miał wrażenie, że słyszy szelest jedwabnej sukni primadonny.

W nocy nie mógł spać. Bezustannie prześladował go kuszący obraz przedziwnie pięknych, ciemnych oczu. Gryzł poduszki, próbował się w nie zagrzebać.

– Nie, nie chcę! – krzyknął, po czym zwał się z łóżka, usiadł przy biurku i starał się myśleć o Elisabeth.

Chciał napisać do niej list, poszukał papieru.

„Mignon...” – zaczął i natychmiast podarł kartkę.

Znalazł zdjęcie dziewczyny, długo się w nie wpatrywał. Wydawało mu się, że odzyskał spokój. Po chwili jednak znów stanął mu przed oczami zagadkowy uśmiech śpiewaczki – mieszanina grzesznych tęsknot i marzeń; wszystkie wcześniejsze przemyślenia wzięły w łeb.

Ernst czuł, jak wzbiera w nim purpurowa fala, unosi się i zatapia dotychczasowe punkty oparcia.

Z łoskotem otworzył okno i wychylił się na ulicę.

W chłodnym nocnym powietrzu próbował ostudzić rozpaloną twarz. W ciemności zalegały cienie – gęste, nieprzeniknione, nieruchome; tu i ówdzie widać było światło. Rozłożył ręce, jakby chciał objąć horyzont, i westchnął:

– Łaknę spokoju... Kiedy wreszcie nadejdzie...?

Zaraz jednak w duchu drwił z siebie: W wieku dwudziestu trzech lat domagać się spokoju? Bzdura... Spokój... Jałowa gadanina wymoczków w grubych okularach, pustosłowie maminsynków. Chcę burzy! Pragnę jej! Niech rozszalała noc napełni me serce burzą, a potem niech wyrwie z niego cały ten miazdzący łomot i rozpasanie i położy na nim kojący lód! Niech gwiazdy, te rubinowe oczy samego Boga, ześlą mi złote naczynie pełne chłodnego światła! Samotne światło w oddali płonie... przygasa... Naturo! Daj mi światło, wskaż cel... Wtedy się uspokoję.

Drżącą ręką zaczął pisać w poprzek linii na papierze nutowym, słowa cisnęły mu się pod pióro:

*Porwane płótna, pomięte szmaty –*

*I krzyk: Tak bardzo jestem sam!*

*Kobiety, śpiew, i szum, wiwaty –*

*Chociaż nie moje – wszystkim miał!*

*Gwiazd sięgnąć myśl ma zwiędła zdoła?*

*Boga, wieczystych szukam niw*

*Jam jest! – z nicości, w trwodze wołam –*

*Lecz pustka szydzi ze mnie: Ty?*



Co się dzieje? – zastanawiał się. Trawi mnie ognisty żar. Boskie światło! Krzyk i cisza... Wznosi się niszcząca fala... Przewala z łoskotem... Zatapia... Chwila wytchnienia.

Ernst pochwyił powietrze obiema rękami. Udało się! Poruszyły się mroczne postacie, ożyły opar i mgła. Zajaśniało niebieskawe światło. Pojawiły się jakieś kształty. Zabrzmiały odległe dźwięki, rozdzwoniły się dzwony. Szum rozsadzał głowę. Z ołówkiem w ręku Ernst usiadł nad papierem nutowym i zaczął pisać.

Stracił poczucie czasu. Słyszał muzykę nocy... A spoza wszystkich doznań wylaniał się stale ten sam obraz: czarujące, pąsowe usta i zniewalający uśmiech – mieszanina grzesznych tęsknot i pragnień.

Ernst pokazał profesorowi rezultat nocnej pracy.

Określił utwór jako fantazję, zatytułował ją Czerwień i srebro. Profesor przejrzał kompozycję, po czym uściśnął dłoń ucznia.

– Proszę mi dać odpis, znajdę panu wydawcę.

Ernst wyszedł uradowany; z wdzięcznością myślał o Lannie Reiner, która, nie wiedząc o tym, tak bardzo mu pomogła. Eugen opowiadał o śpiewaczce codziennie coś nowego. Jej kaprysy stały się jego ulubionym tematem rozmów. Gorąco zazdrościł przyjacielowi tańca z primadonną i śmiał się z jego głupoty; zdaniem Eugena, taką okazję należało wykorzystać.

W końcu Ernst zaczął myśleć tak samo.

Pewnego ranka Eugen wpadł do przyjaciela z wiadomością, że Lanna Reiner odrzuciła oświadczyzny pewnego wyjątkowo zamożnego bankiera; powiedziała mu podobno, że dla niej jest zbyt bogaty.

Ernst był w przekornym nastroju. Na szyi zawiązał śmieszoną chabrową kokardę.

– Idę zaczerpnąć świeżego powietrza do parku. Położę się na trawie i będę rozmyślał, przede wszystkim o niebezpieczeństwie grożącym mi ze strony stróża porządku i karze, jaką na mnie nałoży. Pójdiesz ze mną?

– Boże wielki, Ernst, co za pomysł! Chodźmy do kawiarni, tam jest tyle uroczych dziewcząt.

– Okropność! Pomyśl tylko, położymy się na trawie i będziemy podziwiać chmury!

– Nuda. Chodź ze mną!

– Słodkie lenistwo.

– Wobec tego żegnam cię. Zobaczymy się wieczorem w operze.

Ernst przemierzał wolno parkowe alejki. Znalazł ustronne miejsce, położył się w trawie i pogrążył w marzeniach.

Co oni tam teraz robią w odległym Osnabruck? Fritz... Może znalazł nowych przyjaciół...? A Elisabeth... Mignon... Jego Mignon... Co u Frieda i Pauli...? Tak daleko do domu... Czuł, że oczy same mu się zamykają.

Z góry dolatywało pogwizdywanie zięby. Naraz Ernst się ocknął. Przypuszczalnie się zdrzemnął. Było wspaniale. Wszystko jedno czy będzie czuwał, czy znów pograży się w marzeniach... Ona nie przyjdzie... Bo to o nią chodzi, o Lannę Reiner. Sam...

Wstał i ruszył z powrotem. Ale ona go już dostrzegła.

Szedł zamyślony, wyraźnie nie mógł sobie znaleźć miejsca. Nie miał pojęcia, co dalej robić, chciał zawrócić. Prowadziła go jednak jakaś niewidzialna ręka. Całkowicie zawierzył intuicji i szedł dalej. I nagle ją ujrzał. Nogi się pod nim ugięły, ona zaś się śmiała! Krew uderzyła mu do głowy, szybko ruszył przed siebie, a kiedy znalazł się tuż obok Lanny Reiner, schylił się bez słowa i ucałował jej dłonie. Zaczerwienił się, podniósł głowę; śpiewaczka życzliwie mu się przyglądała.

– Jaki zamyślony... – odezwała się, zawieszając głos w sposób, który tak podziwiał w teatrze.

– Tak, myślałem o młodości... I o schyłku lata.

– Jaki poważny. O schyłku...

– Schyłek też bywa piękny.

– Jest bolesny...

– Ból również może być piękny.

Patrzyła na niego, zastanawiając się nad czymś.

– Mam wrażenie, że rozmawiam z kimś zupełnie innym...

Ernst wymienił swoje nazwisko.

– Więc lubi pan ból, panie Winter.

– Ależ nie... Szczęście! Cudowne, jasne szczęście! Chłonać je, wymuszać!

– Ładnie pan to ujął. – Spojrzała mu w oczy. – To coś zupełnie innego od akademickich pojękiwań dzisiejszej młodzieży. Jestem pewna, że już gdzieś pana spotkałam.

– Niedawno miałem przyjemność z panią tańczyć.

– Nie, to było wcześniej...

Ernst się uśmiechnął.

– Może w Osnabruck?

Przyjrzała mu się uważnie.

– Osnabruck...

– Widziałem tam panią. Mój przyjaciel się pani uklonił.

Patrzyła na niego pytająco.

– Fritz Schramm...

– Teraz sobie przypominam – stwierdziła z wyraźną ulgą. – Pański portret wisi w jego pracowni. Więc pan jest tym przyjacielem, o którym mi tyle naopowiadał.

Przyjaźni się pan ze szlachetnym człowiekiem. Jest pan do niego bardzo przywiązany?

– Oddałbym za niego życie.

Lanna Reiner patrzyła na ciemną twarz Ernsta: malowała się teraz na niej śmiertelna powaga. Wiedziała, że wierzy w to, co powiedział. Nagłe uświadomienie sobie, jaki Ernst jest młody, było wstrząsem.

– A on...? – zapytała.

– Zrobiłby dla mnie to samo.

Ernst milczał. Po chwili, siłąc się na swobodny ton, odezwał się:

– Wiele razy słyszałem panią w operze. Byłem zachwycony.

Śpiewaczka się roześmiała.

– Ogromnie pan łaskaw. Ale proszę dać spokój komplementom. Niech je pan zostawi starszym, wyfraczonym i wyłysiałym dżentelmenom. Fritz Schramm też nimi nie sypie. Dlatego tak lubię jego towarzystwo. Studiuje pan muzykę, prawda? A konkretnie?

– Kompozycję, dyrygowanie i fortepian.

– Rozumiem, myśli pan zapewne o posadzie dyrygenta – – Jeszcze nie wiem. Może się zdarzyć, że pójde tłuć kamienie albo zostanę pastuchem. Jest mi właściwie obojętne, kim będę. Najgorsze, że to wszystko średnio mnie bawi.

– Doprawdy?

– Zawsze mi czegoś brak.

– Zawsze...?

– Zawsze! Wciąż słyszę jakiś głos, który mnie popędza: dalej... więcej...

– Ale chyba jest jakiś cel, jakiś szczyt...

– Dotychczas go nie znalazłem. Chciałbym mieć cokolwiek!

– Pan jest jeszcze bardzo młody.

– Staralem się popróbować wszystkiego. I nie trafiłem na nic, co by mnie zadowoliło.

– Tak bywa, gdy zdajemy się wyłącznie na rozum. Ale nie do wszystkiego dochodzi się za pomocą myślenia.

– Uczucie?

– Tak... – Zaśmiała się.

– A szczytem odczuwania...

– Jest...

– Miłość.

– Otóż to.

– Miłość – powtórzył z przekąsem Ernst. – Jeden z moich przyjaciół twierdzi, że jest ona mieszaniną urojeń i wygórowanych ambicji.

– Z pewnością nie jest bezinteresowna – odparła Lanna Reiner, cierpko ściągając usta. – Ale jednak. Spójrzmy na dzisiejszy dzień. Ktoś zdrowy, pełen radości powie:

jaki piękny; człowiek cierpiący będzie narzekał: kolejny dzieńznaczony bólem... A to przecież ten sam dzień. Wszystko zależy od nas. I dobrze, że tak jest. Jestem ciekawa, co powiedziałby pański przyjaciel o uczuciach.

Ernst poczerwieniał.

– Proszę mi wybaczyć! Mówiłem wbrew temu, co czuję. A może inaczej: drzemią we mnie dwie istoty. Jedna na pokaz, frywolna, a druga... poważna; tę nazwałbym pierwotną. Ta druga wciąż mi podpowiada: miłość to szaleństwo i modlitwa! Światło i łaska! Niebiański! Złocisty Graal! Wszechpojednanie!

Słuchała z uśmiechem.

– Wolę pana takiego. Nie musi pan koniecznie grać kogoś takiego jak wszyscy. Zblazowanie jest obrzydliwe. A teraz, jeśli oczywiście pan chce, może mnie pan odprowadzić do domu.

– Czy chcę?!

Ernst był w swoim żywiole. Cała nieśmiałość znikła.

Inaczej wyobrażał sobie śpiewaczkę. Naraz się okazało, że rozmawia z nim jak ze starym znajomym. Lanna Reiner sama zresztą to zauważyła.

– Ze względu na przyjaźń z Fritzem Schrammem traktuję pana jak dobrego znajomego. Fritz należy do nielicznych, których naprawdę cenię... I szanuję. Proszę mi o nim opowiedzieć.

Ernst czuł się jak dzieciak. Rozanielony kroczył obok primadonny, a kiedy odpowiadała na niezliczone ukłony, rozpierała go duma. Opowiadał o Fritzu, o jego pracowni, kwiatach i świecach, o wiośnie i o młodości.

Śpiewaczka słuchała go, nie kryjąc sympatii.

– A co pan tutaj porabia? – zapytała.

– Studiuję, komponuję.

– Na przykład co?

– Niedawno napisałem sześć kolejnych pieśni do tekstów Fritza Schramma. Chciałbym, żeby ich pani posłuchała... Niestety, nasze panie śpiewają tak kiepsko, że wolę im tego nie dawać.

– Czyżby zawołowana propozycja?

– Szanowna pani, można i tak to rozumieć.

– No, no... Więc są to pieśni Fritza Schramma?

– Tak... Mam też wiele innych.

– Zostańmy przy tamtych. Wobec tego zapraszam jutro do siebie na herbatę. Będzie jeszcze kilka osób.

Ernst patrzył na nią rozpromieniony. Primadonna przyjaźnie wyciągnęła do niego dłoń.

Ernst nisko się uklonił, po czym zamysłony ruszył w swoją stronę.

– Więc to jest piękna Lanna Reiner – rzekł głośno do siebie.

Lanna Reiner miała eleganckie mieszkanie. Luksusowy wystrój wewnątrz świadczył, że apartament zajmuje wytworna dama. W salonie utrzymanym w brzoskwinowożłocistej tonacji bezszelestnie krzątała się pokojówka i nakrywała do stołu.

Ernst usiadł naprzeciw śpiewaczki. Była w kremowożółtej jedwabnej sukni bez rękawów, co podkreślało ciemny odcień jej karnacji.

– Poprosiłam pana wcześniej niż innych gości. Chciałam przez chwilę porozmawiać – zaczęła. – Przyniósł pan pieśni?

Ernst podał jej nuty. Przejrzała je, po czym zapytała:

– Kiedy chciałby pan spróbować?

– W każdej chwili.

– W takim razie spotkajmy się w piątek po południu, także o piątej. Popracujemy też nad innymi pieśniami i fragmentami operowymi, zgoda?

– Chętnie, jeśli oczywiście zaakceptuje mnie pani jako akompaniatora.

– To tylko propozycja. Nasz korepetytor jest okropny. Próby z panem byłyby wreszcie czymś normalnym. Boję się tylko, że zabierze to panu czas przeznaczony na studia.

– Przy pani przecież także się czegoś nauczę.

– A więc – śpiewaczka z czarującym uśmiechem uściśnęła dłoń Ernsta – cieszę się na dobrą, koleżeńską współpracę. Jeden warunek: absolutna uczciwość. Zawsze bez ogródek mówić prawdę.

– Kładę głowę pod topór. I mogę źle na tym wyjść. Ale się uczę. Niech więc będzie. Pokojówka przyniosła wizytówki.

– Poproś.

Do salonu weszło dwóch mężczyzn. Jeden długi i chudy, ze lśniącymi od pomady włosami i monoklem w oku; twarz drugiego, młodszego, znaczyły głębokie bruzdy wokół ust. Gospodyni przedstawiła ich:

– Hrabia Nieberg, porucznik Harm.

Panowie wypytali śpiewaczkę o zdrowie, po czym przeszli do komplementów. Służąca zaanonsowała kolejnych gości. Zjawiły się jeszcze dwie panie i dwóch panów.

– No, proszę – wykrzykiwała tęsza z dam – znów te idiotyczne umizgi!

– Niestety – westchnęła Lanna Reiner.

– Wszystko to zawracanie głowy... Teraz nadchodzi stulecie kobiet.

– Wspaniale – wykrztusił porucznik.

– Wspaniale? Też coś!

– Właśnie. Role się odwróciła i teraz wy będziecie zabiegać o nasze względy.

– Bez obaw... Kobiety dorastają.

– Co pani ma na myśli?

– Precz z mężczyznami! – zagrziała tubalnym głosem zażywna niewiasta.

Energicznym ruchem wsadziła sobie na nos binokle.

Hrabia trząśł się ze śmiechu:

– Państwo Amazonek...

– Koniec ze zniewoleniem kobiet.

– Dotychczas było im z nim całkiem nieźle.

– Pan hrabia pozwoli, że dokończę. Kobieta musi mieć te same prawa co mężczyzna.

– To nie przejdzie – odezwał się Ernst. – Kobieta różni się od mężczyzny. Reguły, które pasują do trójkąta, nie mają zastosowania w przypadku okręgu.

– Różnice są pozorne. Na czym tak naprawdę miałyby polegać?

– Kobieta kieruje się uczuciem, mężczyzna rozumem – wyjaśnił hrabia.

– Mężczyzna potrafi być obiektywny, kobieta nigdy – oświadczył porucznik.

– Równouprawnienie napawa mnie wstrętem – twierdził dyrektor towarzystwa śpiewaczego. – Każdy sądzi wedle siebie. Feministyczne agitatorki to coś przerażającego. O ileż miłsza jest zwykła kura domowa.

– Tu tkwi sedno sprawy. Chcielibyście zapędzić nas do garów! – zaperzyła się korpulentna dama. – Co za tyrania.

Lanna Reiner z uśmiechem przysłuchiwała się sprzecze.

– Panie Winter, co pan sądzi o tych niełatwych sprawach? – zapytała.

– Dużo słów, a najczęściej myślimy co innego. Kobieta musi pozostać kobietą.

– A pani, panno Schrant?

– Nie wiem... uważam, że mimo wad mężczyźni są naprawdę mili.

– Brawo, brawo! – cieszył się porucznik.

– A teraz, panowie, koniec wojny. Zajmijmy się czymś, co nie budzi aż takich emocji.

– Kto tu mówi o wojnie – śmiał się hrabia – to tylko żarty.

– Ależ, proszę państwa. Taki spór bardzo ożywia.

Goście poprosili Lannę, by zaśpiewała. Ernst miał akompaniować.

– I jak? – zapytała śpiewaczka, kiedy przechodzili do fortepianu.

– Słowa, słowa... – zdążył szepnąć Ernst.

Artystka się ukloniła i rozłożyła na pulpicie nuty. Ernsta przeszył elektryzujący dreszcz. Słodka melodia miała nieodparty urok.

Choć miłość to Cyganka płocha...

Ernst wracał ze spotkania zupełnie spokojny. W domu napisał długi list do Fritza, drugi do Elisabeth.

Odkładając pióro, czuł jeszcze większy spokój. Koleżeńska współpraca... Oczami wyobraźni wciąż jednak widział ów uśmiech – mieszaninę grzesznych pragnień i snów... Uśmiech ekscytował, kusił...

## VII

W wysokich oknach pracowni pojawiły się pierwsze, ledwo zauważalne cienie. Fritz odłożył pędzel i paletę; przez chwilę przyglądał się swemu dziełu, po czym przeszedł do sąsiedniego pokoju, zapalił fajkę i odszukał ostatni list od Ernsta – ten, w którym przyjaciel opowiadał o spotkaniu z Lanną Reiner. Czytając, malarz wpadł w zadumę. Czy Elisabeth będzie miała dość siły? Wiedział, że prędzej czy później Ernst do niej wróci. Wiedział również, że to szalona głowa i bujny temperament. Zastanawiał się, co można zrobić, jak pomóc.

Tymczasem z obawą przyglądał się w lustrze swej twarzy. Policzki wyraźnie się zapadły, cera poszarzała. Znow wróciły kłopoty z oddychaniem, nocą się pocił, coraz częściej miewał ataki kaszlu. Myślał o śmierci, nie bał się jej, przeciwnie – czekał na nią. Ale teraz nie chciał umierać. Nie... Musi przeżyć jeszcze tę jedną wiosnę. Może niekoniecznie dla siebie, chociaż boski cud odradzającej się przyrody zawsze duchowo go odmładzał; musi żyć dla swych dzieci, jak zwykł mawiać o Ernście i Elisabeth. Mógł się im jeszcze przydać. Czuł, że serce topnieje mu ze wzruszenia: dla świata nie jest kimś bezużytecznym, są ludzie, którzy go potrzebują.

Ktoś zapukał do drzwi.

Elisabeth, pomyślał malarz i krzyknął:

– Proszę!

Do pokoju weszła młoda osoba w czarnej jedwabnej sukni z szerokim dekoltem. Suknia odsłaniała także nogi poniżej kolan, wyjątkowo zgrabne w kostkach, oraz drobne, przyciągające wzrok stopy. Przez chwilę Fritz nie wiedział, kogo ma przed sobą. Po chwili sobie przypomniał: dzień przyjazdu Ernsta, kawiarnia...

– Dobry wieczór, panno Bergen.

– Dobry wieczór – odezwała się kobieta trochę spłoszona. – Pański przyjaciel dał mi adres...

– Wiem, wiem. Cieszę się, że pani przyszła. Mam wolny wieczór i właśnie się zastanawiałem, co robić. A tu proszę, co za niespodzianka. Proszę, niech pani usiądzie... tam, na fotelu.

– O, jak ładnie u pana.

– Ernst nazwał ten pokój zakątkiem marzeń.

– Tak, prawda. Stale pan tu mieszka?

Słyszając to naiwne pytanie, Fritz się uśmiechnął.

– Raczej tak, chyba że gdzieś wychodzę.

– Nigdy w hotelu czy czymś takim?

– Prawie nigdy.

– I jest pan wolnym człowiekiem, panem swego czasu?



– Tak.

– To znaczy, że jest panu dobrze.

– Każdemu może być równie dobrze.

Panna Bergen kokieteryjnie pokręciła główką.

– Mężczyznom – zgoda; ale my, biedne dziewczyny... – Wyjęła daktyla z podsuniętego przez Fritza koszyka i chrupała go białymi, ostrymi ząbkami.

– Im też.

– Ale nie kobietom samotnym... – rzekła panna Bergen, machając zgrabną nóżką, zalotnie popatrując przy tym z ukosa na Fritza.

– Czemuż to?

– Bo to przywilej mężczyzn – roześmiała się głośno.

– Wolność nie polega wyłącznie na niezależności materialnej. Najważniejsza jest wolność wewnętrzna.

– Nie, nie chodziło mi o kwestie materialne. Myślałam o korzystaniu z życia, o szczęściu.

– Czy to nie to samo?

– Tak, to samo.

– Jak pani rozumie korzystanie z życia?

– No... żeby coś się działo.

– Stale, możliwie często?

– Tak.

– Wobec tego powinienem być bardzo nieszczęśliwy...

– Pan...? – Pannę Berger z wrażenia zatkało.

– Tymczasem wcale tak nie jest!

– Ale przecież nie można zaśniedzieć.

– Efektowne słówka, za którymi nic nie stoi. Kto wie, czy nie należałoby tak raczej powiedzieć o wielu osobach, które pani zdaniem korzystają z życia. A o innych, że naprawdę żyją.

– Więc co się w życiu liczy?

– Życie jest wartością samą w sobie. Żyjąc, nie potrafimy tego ocenić, jesteśmy jedynie trybikami wielkiego mechanizmu. Życie jest Bogiem. Starajmy się żyć w zgodzie z sobą, tak jak ukształtowała nas natura. A tego, czy naprawdę żyjemy, czy jedynie wegetujemy, nikt nie wie... Bo nie może wiedzieć. Ernst zwykł mawiać: drzewa żyją, są jak tchnienie wszechświata; coś takiego człowiekowi przytrafia się niezwykle rzadko. Inni znów twierdzą, że tylko człowiek żyje naprawdę, ponieważ jest tego świadomy. Prawdziwą skalę wszelkich ocen wyznaczają wartości duchowe; dochodzimy do nich dzięki temu, co uda nam się przeżyć. Ale niepodobna je poznać poprzez światową ruchliwość. Owszem, taka aktywność może owocować

wyrafinowaniem, ogląda – krótko mówiąc tym, co składa się na warstwę zewnętrzną. I oczywiście trudno sobie bez niej wyobrazić życie. Ale jeśli ograniczymy się tylko do tego, nasze życie będzie puste. Konieczna jest głębsza refleksja. Niektórzy przeżywają niewiele więcej od polnego kwiatka czy komara, doznania innych można porównać z ogromem egipskich piramid.

– A więc najwspanialsze jest ciche szczęście w jakimś ustronnym zakątku.

– Racja, można to i tak określić. Zdarzają się jednak natury przebogie, które aby odnaleźć siebie, muszą mieć jedno i drugie, ciszę i zgiełk. Bo cały czas chodzi o to samo: odnaleźć siebie! U kobiet przebiega to niemal zawsze tak samo, u mężczyzn jest bardziej zindywidualizowane. Stając się sobą, kobieta odwraca się stopniowo od swego „Ja” – w stronę „ty”; bez reszty oddaje się umiłowanemu mężczyźnie i odnajduje sens życia w macierzyństwie.

– Każda kobieta?

– Prawie każda!

– A inne sprawy? Towarzystwo, wielki świat?

– Złudzenia i blichtr! Fałszywy blask płatnej miłości musi u prawdziwej kobiety budzić politowanie pomieszane z obrzydzeniem. Dla szampana i tanich świecidełek kupczą swym ciałem – ciągnął Fritz – i gdyby tylko nim; rzucają na szalę to, co najważniejsze: swoje szczęście! Proszę mnie dobrze zrozumieć. Jestem człowiekiem i rozpatruję wszystko z czysto ludzkiego punktu widzenia! A szczęście kobiety jest właśnie czymś jak najbardziej ludzkim: jest miłością! Czy powinno się więc to, co najwznioślejsze, zohydzić, sprzedając oblesnym, starym capom dla zaspokojenia ich lubieżnych żądz? Przepraszam za dosadny język. Ale mówię to w dobrej wierze. Doskonale rozumiem dziewczynę, która oddaje się z miłości. Potrafię też zrozumieć, kiedy robi to dla pieniędzy lub pary jedwabnych pończoch... Podkreślam: zrozumieć! Bo pochwalić tego nie mogę! Ale kiedy miłość staje się towarem, moja tolerancja się kończy. Tym nędznym kobietom należy współczuć. One, prędzej czy później, oprzytomnieją. I proszę mi wierzyć – nic bardziej przerażającego od wyznania: zmarnowałam życie!

Fritz mówił to wszystko podniesionym głosem, głęboko przekonany o słuszności swych racji. Słuchając go, Trix Bergen zbladła.

– A jeśli wszystkiemu winna jest lekkomyślność, jeśli to ona sprowadziła kobietę na złą drogę? – wtrąciła.

– Wtedy też można mówić o zmarnowanym życiu. Jedyne różnica polega na tym, że taka kobieta nigdy się nie ocknie, nie zastanowi nad sobą...

Trix nerwowo westchnęła.

– A jeśli... jeśli jednak... się zastanowi?

Fritz nieruchomo patrzył przed siebie.

– To będzie okropne... Rozpacz...

Panna Bergen zerwała się z miejsca.

– A śmierć! Śmierć! Skoczyć do wody! – krzyczała histerycznie, po czym rzuciła się do drzwi.

– Stój! Stój! – zawołał Fritz i mocno chwycił jej przegub.

– Niech mnie pan zostawi... Wszystko stracone... Wszystko...

– Nie – odparł twardo Fritz. Jego oczy błyszczały. – Jeszcze wszystko da się naprawić! Nic nie jest stracone! Właśnie pojawia się droga!

Panna Bergen skuliła się w fotelu i płakała. Zapadał zmierzch.

– Niech pani patrzy – mówił Fritz cicho i dobitnie – to jest w nas najcudowniejsze. Nigdy żadnej chwili nie da się przeżyć powtórnie. Wciąż przeżywamy coś nowego. Trawę można skosić. Ale dopóki nie uszkodzimy korzeni, będzie odrastać. Jeśli serce kobiety nie straciło zdolności odczuwania, wszystko jest możliwe. Trzeba z serca strząsnąć szkaradny nalot i wszystko się ułoży. Czy widzi pani tę maksymę na ścianie? Wszystko jest dobre.

– Nie u mnie – jęknęła Trix.

– Również u pani. Niech pani na mnie popatrzy.

Oczy panny Bergen były wilgotne.

– Bardzo pani tęskni do tego, co minęło?

Po twarzy młodej kobiety popłynęły łzy. Trix Bergen opuściła głowę, szlochając.

– A więc to jeszcze w pani tkwi. Oto tajemnica, istny cud kobiecej natury: kobieta może przejść przez bagno i niemal utonąć w lepkiej mazi... i mimo to pozostawić za sobą nieskazitelną biel. Może grzeszyć i zachować przy tym niewinność. Jest jak Feniks, który sam się spala i odrodzony powstaje z popiołów.

– Czy naprawdę można jeszcze wszystko zmienić? – pytała panna Bergen zupełnie załamana.

– Jeśli taka będzie pani wola... – rzekł ciepło Fritz.

– Tak – powiedziała zdecydowanie.

– A więc już wszystko dobrze! Nastąpił wewnętrzny przełom. To najważniejsze! Teraz jedynie pozostaje załatwić kilka drobnych spraw, to i owo wyprostować. Proszę mi opowiedzieć o sobie; dzięki temu będę mógł służyć radą i pomocą.

Trix Bergen skinęła głową i na przemian mówiąc lub płacząc, opowiedziała jedną z historii starych jak świat.

Pochodzi z dobrej rodziny. Jej ognisty temperament i żądza przygód nie znajdowały zrozumienia w rodzinnym domu; stale powodowały napięcia. Przypadkiem w pewnym uzdrowisku poznała zamożnego hulakę, który naopowiadał jej o światowym życiu. Uciekła z nim, a do rodziców napisała, żeby jej nie szukali. Tak to się zaczęło. Ten, któremu zaufała, myśląc, że ją poślubi, szybko się nią znudził. Była

zrozpaczona... Wkrótce jednak spostrzegła, że na świecie jest wielu innych. I tak minęły dwa lata.

– Często w myślach wracałam do dziewczęcych marzeń – mówiła dalej – serce ścisnęło mi się w piersi, czułam nieznośny ból. Ale potem się śmiałam, piłam, szłam tańczyć. Żyłabym tak dalej, gdybym nie spotkała pana i Ernsta. Byłam pewna, że nie ma dla mnie odwrotu. Pańskie słowa nagle rozbiły matowe szkło, przez które niczego nie widziałam. Musiałam tu przyjść.

– A pani rodzice?

Usta panny Bergen znów wykrzywił grymas.

– Proszę mi dać ich adres.

– Pan chce...

-Tak.

– Już piszę. – Szybko nagryzmoła kilka słów na karteczce z notesu.

– A teraz pomówmy o czymś innym.

– Jaki spokój u pana. Całkiem inaczej niż gdzie indziej. Może nie tak wytwornie, ale o wiele piękniej. – Rozejrzała się wokół. – A to kto? – zapytała, wskazując portret.

– Kobieta, którą kiedyś bardzo kochałem.

– Kiedyś...?

– Nie żyje.

Panna Bergen nieśmiało dotknęła dłoni malarza i delikatnie ją pogładziła.

– Czy jest pani znana w Osnabruck? – zapytał Fritz.

– Nie, wcześniej byłam tu tylko raz, kilka dni.

Malarz skinął głową. Potem pokazał jej swoje obrazy, dał kilka książek do przeczytania i opowiedział o młodych ludziach, z którymi się przyjaźni.

Żegnając się, panna Bergen z obawą w głosie zapytała:

– Czego pan za to ode mnie... oczekuje...?

Fritz się roześmiał.

– Musi się pani przyzwyczaić do nowego otoczenia. Wtedy nie będzie pani stawiać takich pytań. Proszę mnie wkrótce odwiedzić.

Panna Bergen osłupiała patrzyła na malarza.

– Nic? – Do oczu młodej kobiety napłynęły łzy. – Czym zasłużyłam na tyle dobroci?

– Musi się pani przyzwyczaić do tego, co oczywiste. Przecież jesteśmy ludźmi.

Po wyjściu Trix Bergen Fritz jeszcze przez chwilę stał zamyślony. W końcu wziął kredę i na brązowej ścianie napisał: Kobieto – odwieczna zagadko!

Późnym wieczorem odwiedziła go Elisabeth.

Zobaczyła nowy napis na ścianie.

– Wujku, co to ma znaczyć? – zapytała.

– Zdarzyło się dziś po południu.

Fritz opowiedział o wizycie panny Bergen. Elisabeth słuchała go z przejęciem.

– Ona tu nikogo nie zna – zakończył – nikt jej nie rozpozna. Pomyślałem, że może ty zechciałabyś poświęcić jej trochę czasu. Nie musisz się o nic obawiać, jej tutaj nie znają.

– Drogi wujaszku, nawet gdyby ktoś ją znał, chętnie się nią zajmę.

– Byłem pewien.

– Wiesz, myślę nawet o czymś bardzo pięknym. Popatrz, ona przeżywa kryzys i nie powinna o tym zbyt wiele myśleć. Trzeba jej znaleźć pracę. Ale nie jakąś fizyczną, to działałoby na nią przygnębiająco. Nie, ona musi mieć z tego jakąś radość. Kiedy ogarnia mnie smutek, staram się sprawić komuś przyjemność, zrobić coś dobrego: na widok czyjegoś szczęścia zawsze odzyskuję pogodę ducha. A najlepiej, kiedy się komuś pomoże. Poprosiłam ciotkę, by się wybrała do dziecięcego szpitala i zapytała siostrę przełożoną, czy nie mogłabym codziennie rano, a jeśli zechcą to później, jako wolontariuszka opiekować się małymi pacjentami. Ciotka się zgodziła, a przełożona, jej przyjaciółka, powiedziała, że jeśli to propozycja poważna, a nie jakiś kaprys, chętnie mnie przyjmie. Pracy jest dosyć. Tak się cieszę! Pomyśl tylko, wujaszku... tyle dzieci, którym będę potrzebna... Czy to nie cudowne pomagać innym! Ona też powinna tam pójść. Zaraz zapytam przełożoną, Na pewno się zgodzi, po prostu powiem, że przyjdę z przyjaciółką.

– Doskonały pomysł – przyznał Fritz – najlepszy z możliwych. Jutro jej o tym powiem.

– Zrób to koniecznie, wujaszku.

– Chcesz także pielęgnować chorych?

– Tak, muszę to robić. Pomagać potrzebującym. A teraz przeczytaj mi coś z twoich wierszy.

Fritz zdjął z półki tomik i zaczął czytać cichym, stłumionym głosem. Wiersze sprzed lat.

## VIII

Ernst coraz częściej muzykował z Lanną Reiner. Ale póki co, znajomość nie przekraczała granic koleżeńskej zażyłości. Często musiał opowiadać śpiewaczce o Fritzu, o jego mieszkaniu i pracowni. Kiedy raz wymienił imię Elisabeth, próbowała się dowiedzieć czegoś więcej.

Ernst udał, że nie słyszy pytania. Wtedy na ustach śpiewaczki znów pojawił się ów osobliwy, niepokojący uśmiech. Pociągała ją u Ernsta młodzieńcza otwartość i rozmach – absolutne przeciwieństwo tego, z czym spotykała się wśród znajomych. Cenila w nim przekorę oraz coś nieokreślonego, świadczącego, że w młodym człowieku dojrzewa artysta.

Pewnego wieczoru Ernst w pogodnym nastroju szedł przez miasto. Zatrzymał się przed domem śpiewaczki i zadzwonił. Lanna Reiner sama mu otworzyła.

– Witam mistrza! Moja pokojówka właśnie wzięła urlop, wobec czego przypadło mi w udziale pełnienie honorów domu... Proszę, niech pan wejdzie...

Poprowadziła gościa przez amfiladę pokoi. Miała na sobie wspaniałą suknię, podkreślającą jej klasyczne kształty. Obok pokoju muzycznego znajdowało się nieduże, przytulne pomieszczenie, które nazywała wieczornym buduaem.

– Dziś zabieram pana do swej kryjówki – oświadczyła, po czym z bukietu, który przyniósł Ernst, wyjęła czerwoną różę i wpięła we włosy. Rękaw jej sukni osunął się, ukazując krągłość jasnego jak kość słoniowa ramienia. – Proszę usiąść tutaj, na kanapie... Tam jest poduszka...

Lanna Reiner przyniosła herbatę, rozlała do filiżanek, własnoręcznie nasypała Ernstowi cukru i nałożyła na talerzyk ciasta. Sama usiadła bardzo blisko.

Ernst wdychał słodki zapach jej perfum, czuł się odurzony, jadł jak w transie.

– Panie Winter, pańskie oczy znów są takie obce.

– Zaczarowała je pani.

– Zaczarowałam...?

– Wszystko, na co patrzę, rozpada się. Szukam oparcia i celu... Tymczasem dostrzegam jedynie złudę i fałszywy blask.

– Nie filozofować za wiele.

– Wiem.

– Niech pan na mnie popatrzy.

Chłodne, szarobłękitne spojrzenie Ernsta zderzyło się z lśniąca czernią oczu śpiewaczki.

– W pańskim wzroku nie ma teraz obcości, przepadła.

Ernst pragnął, by to spotkanie trwało wiecznie. Podziwiał smukłość obsługujących go rąk, rozkoszował się słodkim zapachem perfum. Zachodzące słońce przeświecało

przez zasłony, napełniając pomieszczenie czerwonym światłem. Mgła przesłoniła mu oczy. Zapomniał o przeszłości, nie myślał już, co się stanie. Lanna Reiner odezwała się swym melodyjnym głosem:

– Chciałabym zatrzymać czas.

Sprzątnęła ze stołu. Ernst z zachwytem obserwował jej powolne, pełne gracji ruchy i wspaniałą sylwetkę oświetloną jednym z ostatnich promieni wieczornego słońca.

– Lubię tak siedzieć o zmierzchu, kształty i kolory nabierają wtedy miękkości, kontury się zacierają. To skłania do marzeń.

– Mówi pani o marzeniach. Po co nam one?

Śpiewaczka spojrzała na Ernsta spod przymkniętych powiek.

– To dobre dla ludzi słabych... Aktywność, czyn, to się liczy. A jednak marzenia... – mówił zamyślony – one też są piękne...

– Marzenia... – Lanna Reiner zanuciła swym wyjątkowym głosem początek arii z wagnerowskiego Tristana i Izoldy: „Mów, co za cudowne marzenia...”

Ernst prześliznął się pod uniesioną portierą i usiadł przy fortepianie. Artystka, cały czas nuąc półgłosem, stanęła obok instrumentu i rozłożyła na pulpicie nuty. Rękaw jej sukni musnął przy tym czoło mężczyzny. Ernsta przeszył dreszcz rozkoszy, napełnił ciało cudowną słodyczą. Na tle nie kończącego się pochodzącego akordów septymowych i nonowych rozwijała się melodia przepojona tęsknotą i bólem: „Marzenia... marzenia... w tej szczęsnej godzinie...”, a potem znów: „...marzenia...” aż wreszcie raz jeszcze to samo w pianissimo, po czym już tylko wybrzmiewający akord.

Ernst zdjął ręce z klawiatury. Lanna Reiner stała naprzeciw i przyglądała mu się; w jej spojrzeniu było coś zagadkowego.

– Marzenie w życiu to niemal wszystko. Rzeczywistość jest szara i smutna.

– Wiem. Ale to tylko marzenia.

– A życie, Ernście?

– Jest cudem, Lanno...

Ostatni przedwieczorny promień padł na czoło muzyka i zajaśniał na nim złocistą plamą.

– Ernście, czy wierzy pan w cuda?

– Tak, Lanno.

Pełne, pąsowe usta śpiewaczki zadrżały.

– Naucz mnie pan tego?

– Trzeba tylko wierzyć. – Ernst patrzył przed siebie nieobecny wzrokiem.

– Czy ta wiara kiedyś pana zawiodła?

– Nigdy.

Rozmowa prowadzona półgłosem o zmierzchu była jak srebrzysta nić osnuta wokół mglistych marzeń.

– Tęsknię do jakiegoś cudu, Ernście... – Piękna kobieta zawiesiła głos.

– Ja... właśnie go... doświadczam – wykrztusił Ernst, po czym gwałtownie osunął się przed nią na kolana.

Lanna Reiner długo na niego patrzyła w milczeniu; wreszcie szczupłą dłonią delikatnie dotknęła czoła mężczyzny.

– To zmierzch... – wyszeptała i wolno podeszła do fotela.

Ernst wstał i utkwiał w śpiewaczce nieruchome spojrzenie szeroko otwartych oczu. Lanna usiadła na fotelu, po którym ślizgały się ostatnie promienie słońca, z minuty na minutę ustępujące przed błękitną szarością zmierzchu. Patrzyła na niego spojrzeniem pełnym wyrazu.

Naraz Ernst złożył głowę na jej kolanach. Kobieta gładziła jego włosy. Gdy na nią spojrział, jego twarz z wrażenia zbladła, oczy pociemniały.

– Chłopcze... – mówiła półgłosem, całując jego oczy. – Takie zadziwiające oczy... i kochane... – A potem całowała stęsknione usta mężczyzny, powtarzając: – Chłopcze, mój chłopcze...

Tej nocy Ernst spał twardo i bez marzeń. Rankiem miał wrażenie, że wizyta u śpiewaczki była jedynie mglistym snem, jaki śnimy o świtaniu. Był w dziwnym nastroju. Odczuwał zarazem smutek i szczęście. By odsunąć natrętne myśli, zabrał się do pracy. Lanna Reiner była tak daleko. Prawie o niej nie myślał. Wspominał pełną ciepła Elisabeth, czuł, jak bardzo ją kocha.

Po południu wszystko już wyglądało inaczej. Do serca wkradł się niepokój. Ernst kilka razy sprawdzał, czy ma w portfelu bilet do opery, który otrzymał od primadonny; musiał się upewnić, że to, co przeżył, zdarzyło się naprawdę.

Wieczorem ubrał się starannie i odświeżony, wolnym krokiem udał się do teatru. Po drodze na słupie ogłoszeniowym zobaczył afisz. Zatrzymał się i zaczął czytać: Madame. Butterfly – Lanna Reiner”. Przechodnie także przystawali przed afiszem.

– Popatrz, Reiner w partii Butterfly – mówił jakiś mężczyzna – chodźmy prędko, może jeszcze dostaniemy bilety.

Kiedy Ernst siadał w łoży, rozległ się ostatni dzwonek. Czar namiętnej muzyki Pucciniego zrobił swoje; wrażenie się spotęgowało, gdy pojawiła się madame Butterfly.

Ernsta rozsadzała kipiąca radość. Wraz z każdym dźwiękiem, każdym słowem myślał: moja Lanna...śpiewa dla mnie! Ona też go dojrzała. Ledwo widoczne skinienie ze sceny... Był oszołomiony. Kiedy parter i galerie zatrzęsły się od braw, świadomość, że Lanna należy do niego, uderzyła młodemu człowiekowi do głowy jak spienione młode wino.



Z uśmiechem wyższości patrzył na pojedyncze wiązanki i kosze kwiatów, które wnoszono na scenę. Głupcy, myślał, możecie nie wiem co robić, ona jest moja!

Co wieczór był w operze. Dzięki Lannie wszedł w najrozmaitsze kręgi towarzyskie, coraz częściej zapraszano go na salony. W tym czasie rzadko bywał sam na sam ze śpiewaczką, opuścił się też w pracy.

Pewnego upojnego jesiennego wieczoru odprowadzał Lannę z teatru. Tym razem była to Cyganeria i Ernst jeszcze nie otrząsnął się z wrażenia. Pomógł śpiewaczce wsiąść do auta, sam usiadł obok. Lanna, dziwnie rozklejona, przytuliła się do niego. Kiedy samochód zatrzymał się przed jej domem, poprosiła cicho:

– Chodź do mnie.

Ernst poszedł z nią na górę.

– Na tę noc zwolniłam służącą – szeptała na schodach, zamykając bramę – jej matka zachorowała.

Schody pogrążone w tajemniczym mroku pobudziły wyobraźnię Ernsta; czuł, że krew się w nim burzy, a serce bije jak młot. W nagłym porywie pocałował włosy nad uchem śpiewaczki, która właśnie się schyliła w poszukiwaniu dziurki od klucza. Odwróciła się i spojrzała na niego z dziwnym błyskiem w oku.

– Ej – szepnęła z udaną groźbą w głosie.

W buduarze zapaliła stojącą lampę, której abażur pokryty był batikiem, po czym wyszła się przebrać do sypialni. Rozmawiała z Ernstem przez uchylone drzwi. Szczelina, przez którą z sypialni wpadało rubinowoczerwone światło, z magiczną siłą podziałała na Ernsta. Krew szumiała mu w uszach, zmysły burzyły się jak morze podczas sztormu. Zaciskał zęby i palce, nienaturalnie się śmiał.

– Już jestem, drogi chłopcze. W tym stroju będę się czuła swobodniej, chyba mi wybaczysz...

Przez nie domknięte drzwi do sypialni widać było narożnik białego rozesłanego łóżka.

Lanna upięła czarne loki w grecki węzeł i przewiązała cienką, błyszczącą wstążeczką. Unosząc nieco przed sobą długi ciemnoczerwony szlafrok, z którym jej twarz, biała i gładka jak kość słoniowa, wspaniale kontrastowała, wolno, z tajemniczym uśmiechem podeszła do Ernsta.

Dawno już stracił poczucie rzeczywistości. Daleko za sobą zostawił cały zgiełk świata. Wszystko to sen i złuda... nie ma nic prócz miękkości poduszek i kanapy, prócz pokoju, w którym pali się przytłumione matowe światło i w którym znalazł się sam na sam z cudownie piękną kobietą o dziwnie intrygującym uśmiechu.

– Mój chłopiec... – szepcze kobieta kusząco.

– Lanna... jedyna... najdroższa...

– Chłopiec... – jeszcze cichszy szept, jak wibracja strun na wietrze.

– Słodka... Ciemnowłosa...

– Chłopiec... Kocham cię... – wolno cedzi słowa i pochyla się do przodu.

– Jesteś jak błędny ognik i pochodnia! Jak jasny płomień mej duszy! U twych stóp składam trawiący mnie żar, boleść serca i purpurowe chwile ukojenia! W blasku twych oczu moja krew kipi i śpiewa... – Ernst wtulił głowę w fałdy czerwonego szlafroka.

Lanna cichutko zanuciła: „Choć miłość to Cyganka płocha...” i z uwodzicielską słodyczą śpiewała dalej, aż do słów: „A jeśli kocham, to się strzeż...”

Ernst zerwał się, chwycił śpiewaczkę w objęcia i zaczął całować jej oczy, policzki, czoło, pełne usta, białą szyję, krągłe ramiona... aż w końcu jej głowa osunęła się w tył, a na twarzy pojawił się zniewalający uśmiech. To było jak błysk pioruna, Ernst oszalał, biel kobiecych ramion go oślepiła; otoczyły go wspaniałe nagie ręce; tłumiąc jęk, śpiewaczka go objęła, cały czas przy tym szepcząc miłosne zaklęcia:

– Chłopiec... mój chłopiec... serce mego serca... kochanek... mój złocisty...

Upięte wysoko włosy się rozsypały i spłynęły na kształtne ramiona. Ernst przyciągnął do siebie jej twarz i całował tak długo, że omal nie upadli. Z płomieniem pożądania w oczach śpiewaczka rozchyliła usta, a potem, przymknąwszy powieki, syciła się coraz bardziej namiętnymi, coraz dzikszyimi pocałunkami...

W końcu z głębokim westchnieniem wysliznęła się z ramion mężczyzny i opadła na niedźwiedzią skórę na kanapie.

Ernst cały płonął, w głowie czuł zamęt... Miał się za króla i boga; pękały granice nieskończoności, rozdarła się zasłona niebios, zapłonęło tysiąc pochodni, świat padł mu w objęcia, wezuwiuszowy żar spopielał jego oczy utkwione w obliczu Lanny.

Rozsunęły się poły czerwonego szlafroka. Ukazała się delikatna krągłość piersi ukrytych w białych koronkach stanika. Wspaniałe szczupłe nogi w jedwabnych pończochach sięgały olśniewającego cudu powyżej zgrabnych kolan. Poły szlafroka otoczyły głowę mężczyzny i jedynie przez czerwoną tkaninę mógł widzieć dziwnie kojący uśmiech, który zawsze tak bardzo go pociągał – mieszaninę grzesznych tęsknot i pragnień... Jak poprzez szum morza usłyszał:

– Chodź!

Porwała go szkarłatna fala, z okrzykiem radości Ernst chwycił Lannę w ramiona, zaniósł do sypialni i położył w pościeli.

## IX

Fritz stał przed lustrem.

– Lustreczko, lustreczko, powiedz przecie...

Coraz częściej kaszłał, znów budził się po nocach zlany potem. Nie zważając jednak na zimową pogodę, postanowił, że pojedzie do Rostocku, do rodziców Trix Bergen. Napisał do nich list, na który otrzymał odpowiedź. Ojciec Trix w uprzejmych, wyważonych słowach informował go, że za kilka tygodni wybierze się do Osnabruck i załatwi wszystko, co dotyczy córki. Takie rozwiązanie nie budziło entuzjazmu Fritza. Jakkolwiek zewnętrzną ingerencję w życie Trix uważał obecnie za niewłaściwą; łatwo mogła sprawić, że dziewczyna znów się pogubi. Dlatego, by sprawę doprowadzić do końca, zdecydował się na podróż. Zanim w mglisty listopadowy poranek wsiadł do pociągu, rozmawiał z Trix, starając się w miarę możliwości dodać jej otuchy.

Dziewczęta bardzo się zaprzyjaźniły. Trix nawiązała znajomość z właściwą sobie łatwością, a kulturalna Elisabeth również nie miała z tym trudności.

Elisabeth miała mnóstwo zajęć. Dużo pracowała w szpitalu dla dzieci i obie stały się prawdziwym oparciem dla przełożonej. Cichą i dobrą siostrę Elisabeth dzieci traktowały niemal jak świętą, uwielbiały ją i szanowały, co było dla niej powodem ciągłych wzruszeń. Przez ostatnie miesiące Elisabeth bardzo wydorosła. Z wrażliwego podlotka przeistoczyła się w pełną dobroci kobietę.

– Zawsze intuicyjnie wybiera właściwą drogę – stwierdził kiedyś Fritz. – Mam wrażenie, że idąc z zamkniętymi oczami, też by się nie omyliła.

Fried i Paula wciąż się z sobą droczyli. Po cichu Fried adorował Elisabeth. Nie umiał jednak trafić do jej serca. Zbyt byli podobni do siebie. Traktowała go jak brata. W oczach Pauli od czasu do czasu pojawiał się smutek. Często przystawała przed portretem Ernsta, który wciąż wisiał w pracowni.

Pierwsze bolesne doświadczenie...

Kiedy Fritz to spostrzegł, pewnego wieczoru długo rozmawiał z Paulą, a potem także z Friedem. Jego dobroć bardzo im pomogła uporać się z niepowodzeniami młodości.

Po kilku dniach Fritz wrócił. Po południu wpadła do niego zadyszana Trix.

– Wujku, i co...? – Patrzyła nań pełna obaw.

– Wszystko w porządku...

– O... – Dziewczyna się rozszlochała.

– Trix, nie płacz.

– Ja nie płaczę... To z radości. Nareszcie, po tym wszystkim jakiś grunt pod stopami. – Po chwili się uspokoiła. – Opowiedz, wujaszku... co w moim domu, jak radzi sobie mama?

– Bardzo się postarzała. Przekazuje ci, dziecko, ucałowania, i prosi, byś jak najszybciej, powtarzam, jak najszybciej przyjechała.

Trix aż podskoczyła.

– Czy to... możliwe... wujaszku...?

– Niczego nie wymyśliłem.

– Och, mamó... mamó... kochana jak zawsze... taka dobra. A ja...

Wzruszenie ścisnęło Fritza za gardło.

– Tylko matka, wujku, może się tak zachować...

– Tak, matka... Matka to coś najbardziej wzruszającego pod słońcem. Być matką znaczy wybaczać.

– A ojciec?

– Początkowo traktował mnie oschle, udawał, że mu na tobie nie zależy. Ale to była maska, którą próbował się ode mnie, obcego, odgradzić; możliwe, że też od samego siebie... Powiedział, że się ciebie wyrzekł, i tego nie odwoła. Przypomniałem mu słowa Chrystusa: nie siedemkroć, lecz siedemkroć po siedemdziesiąt razy będziesz wybaczał... Był niewzruszony... a może trochę udawał. Ale potem mu wygarnąłem, że też nie jest bez winy. Że nie zadał sobie trudu, by cię zrozumieć, wszystko mierzył własną miarą, przez co sam pchnął cię w ramiona uwodziciela. Nie wystarczy, że się dzieci kocha, trzeba im to jeszcze okazywać. Dzieci są jak delikatne kwiaty – dążą ku słońcu; jeśli go nie znajdują, chylą się do ziemi. Czy teraz, kiedy jest okazja naprawić grzech zaniedbania, ma zamiar cię oskarżać i zostawić na pastwę losu? To wszystko mu powiedziałem, nawet więcej... W końcu zmiękł. Nie oszczędzałem go, choć w pewnej chwili myślałem, że wybuchnie; ostatecznie przyznał mi rację. Ale miał wątpliwości. Bał się, że twoja reputacja może zaszkodzić rodzeństwu. Uspokoilem go, twierdząc, że mało kto o tym wie, a ty w gruncie rzeczy jesteś dobra i prawa. Wreszcie całkiem się udobruchał. Proszę jej powiedzieć, oświadczył, że tych dwóch lat w ogóle nie było. Twoje rodzeństwo się cieszy, że niebawem zobaczy siostrę, która po długiej nieobecności wraca z pensji. Byłaś na pensji, jak się sądzi w Rostocku, i niech tak zostanie. Ludziom to wystarczy.

– Wujek Fritz... dobry, szlachetny wujek Fritz...

– Wszystko się dobrze ułożyło, Trix. Myślę, że wkrótce zobaczysz swą rodzinę.

– Och, wujaszku, będę jednak musiała stąd wyjechać.

– Tak, dziecko.

– Jak ja sobie bez ciebie poradzę...?

– Będziesz blisko matki...

– Mama... – Na twarzy dziewczyny malowało się wzruszenie. – Oczywiście, wujaszku...

Próbowała pocałować malarza w rękę. Natychmiast ją wyrwał – była wilgotna od łez.

– Jedziesz w poniedziałek, Trix. W niedzielę urządzamy uroczyste pożegnanie.

– Tak...

Trix długo jeszcze stała i w milczeniu patrzyła na Fritza.

Po jej wyjściu malarz zapalił lampę. Za okienkiem w dachu snuła się listopadowa mgła. Nie było widać gwiazd. Światło lampy promieniowało spokojem.

Późnym wieczorem wpadła jeszcze Elisabeth.

– Tak się cieszę, że cię tu widzę, wujaszku.

– Ja też się cieszę, znów jestem w domu.

– Co załatwiłeś?

– W poniedziałek Trix wraca do rodziców.

Elisabeth pokiwała głową.

– Wiedziałam. Jeśli już ktoś mógł tu coś wskórać, to tylko ty. Bardzo ją polubiłam.

– Jak się wiedzie twoim podopiecznym?

– Rosną. Dziś, kiedy podeszłam do łóżeczka jednego z najciężej chorych... biedny dzieciak jest sparaliżowany... żeby go nakarmić, łyżka po łyżce cały obiad, chłopiec chwycił mnie nagle za rękę i z wielką powagą powiedział: ciociu Lizo, powinnaś być moją mamą. Musiałam mu to obiecać. Długo nie pożyje, ma suchoty. Matka nie może mu poświęcić wiele czasu. Prócz niego ma jeszcze szóstkę, musi dzieciom zapewnić chleb. Więc na mnie przelał całą miłość. Dlatego każdemu, kto chciałby o czymś zapomnieć albo odzyskać spokój, radzę, by się zajął chorymi.

– Tak, to może zrekompensować wiele niepowodzeń.

– I pocieszyć. Bo odrzucenie jest bardzo przykre.

– Nie musi to być od razu odrzucenie, Elisabeth.

Dziewczyna ze smutkiem patrzyła na malarza.

– Może to tylko omyłka... droga, której nie dało się ominąć... chwilowe zaślepienie... potem wszystko się ułoży.

– Myślisz, wujku?

– Tak, Elisabeth.

Po policzkach Elisabeth płynęły łzy.

– Kto nigdy daleko nie wyjeżdżał, nie zrozumie, czym jest ojczysty kraj, nie będzie go cenił. Dopiero oddalenie tego uczy. Na obczyźnie ojczyzna staje się bliska, czujemy, jak bardzo ją kochamy.

– Tak go kocham...

– On wróci do ciebie. Miłość jest ofiarą. Kto dla szczęścia ukochanej osoby potrafi się jej wyrzec, ten naprawdę kocha.

– Tego nie umiałabym zrobić. Musiałabym się wyrzec siebie.

– A jeśli przez to on stałby się nieszczęśliwy?

– Nie... szczęśliwy...? – Głos Elisabeth łamał się. – Nie... nie powinien. To już wolałabym... wyrzec się siebie... – Wtuliła głowę w oparcie fotela. – Ale... to takie okropnie... trudne...

– Nie musisz – mówił cicho Fritz. – Przecież wiesz, że należysz do niego, on tylko jeszcze nie wie, że jest twój. Ale uwierz mi: jest twój. Jego dusza należy do ciebie.

Dziewczyna patrzyła na Fritza oczami pełnymi łez.

– Jesteś jak rzadki kwiat, Elisabeth, który tylko raz się otwiera na słońce... potem już nigdy. Twoje serce też tylko raz pokochało... i więcej już nie...

– Tak było z moją matką. Tylko raz w życiu mogę kogoś pokochać. Oddać mu serce na zawsze.

– Tak, Elisabeth... A Ernst?

– Kocham go.

Zapadła cisza.

– Mignon – mówił Fritz zamyślony. – Elisabeth, wiesz, że życie nieraz dziwnie się układa. Dni i noce nie zawsze są takie same... Ernst też się zmienia.

– Pisz tak rzadko.

– Czujesz się dość silna, by usłyszeć, co ci powiem?

Skinęła głową.

– Śpiewaczka, którą kiedyś tutaj gościliśmy, jest teraz w Lipsku.

– Zakochał się... w niej?

– Nie, to nie tak. Kocha tylko ciebie. Ale ona go urzekła. Przesłał list, w którym pisze o wielu sprawach. Dam ci go.

Elisabeth przeczytała.

– Tak myślałam – odezwała się, oddając list.

– Nie po to ci go dałem, by ci sprawić ból, lecz byś się przekonała, że tam chodzi o coś zgoła innego. To jedynie szaleństwo zmysłów, któremu w pewnym momencie nie oprze się żaden młody człowiek. U Ernsta, nieposkromionego szydery, tylko coś równie pociągającego wchodziło w rachubę; próżność też dołożyła swoje. Otrząśnięcie z tego i nie będzie mógł pojąć, co się z nim stało. Oprzytomnieć jednak musi sam. Inaczej rana się nie zagoi. Nie wolno działać pochopnie, lancet trzeba odłożyć na bok. Potrafisz czekać, Elisabeth?

– Potrafię.

– Nie powinnaś się kierować przesądami czy urażoną ambicją; a tak by było, gdybyś teraz, zraniona, odwróciła się od niego. Potrzebujesz go teraz bardziej niż kiedykolwiek. Czy chcesz go więc zostawić?

– Nie.

– Teraz już wiesz o wszystkim. Czy bardzo boli?

– Nie dzieje się to na moich oczach.

– Ale czy czujesz, że mimo to jest jak dawniej? Znasz faustowską naturę Ernsta, jego ciągle zapasy z samym sobą. Ta ślepa droga jest jedynie poszukiwaniem zapomnienia, odbiciem walki z sobą. On nie spocznie, dopóki nie odnajdzie właściwej drogi. Tą drogą jesteś ty. Chyba mi wierzysz?

– Przywróciłeś mi wiarę. Przedtem też to wszystko wiedziałam. Ale czułam się taka przygnębiona. Teraz już dobrze.

– Dobranoc, Elisabeth.

– Dobranoc, wujku.

Fritz wyszedł za nią i oświetlił schody.

– Teraz wczesnie robi się ciemno – rzekł Fritz.

Na piecu piekły się jabłka. Smakowity zapach roznosił się po całym pomieszczeniu. Wszyscy wpatrywali się w płomienie, których języki rzucały na ściany i podłogę czerwony blask. Twarze gości oświetlała jedynie nieduża lampa.

– Ostatni raz w tym domu – mówiła z przejęciem Trix – czy to możliwe? Elisabeth, będziesz mnie dobrze wspominać?

– Ależ, Trix! Wkrótce znów do nas przyjedziesz. Na Boże Narodzenie, na Wielkanoc...

– Będę musiała, inaczej nie wytrzymam.

Fritz przyniósł jabłka.

– Chodźcie, dzieci. Jesienią i w zimie co wieczór mamy pieczone jabłuszka. Lubię słuchać, o czym opowiadają, kiedy leżą na piecu. Robi się wtedy przytulnie, wokół cisza i spokój.

– U ciebie, wujaszku, jest tak zawsze – rzekła Trix.

– Ten spokój nic nie znaczy; najważniejsze, by spokój był w naszych sercach.

– Racja, Fried. W dodatku spokój pomaga uporać się z tym, co w nas tkwi. Trzeba iść drogą, która doprowadzi nas do siebie. Jednym to przychodzi łatwiej, innym trudniej. Co do nas... najtrudniej będzie Ernstowi. Jest uczciwy wobec siebie i nie wątpię, że znajdzie swą drogę.

– Wujku, a jednak to trudne. Zawsze sądziłam, że uczciwość wobec siebie to rzecz prosta, natomiast z uczciwością wobec innych jest już gorzej. Teraz widzę, że może być odwrotnie – filozofowała Paula.

– Paulinko, zacznij od siebie – szydził Fried.

– Naturalnie.

– Bo z twoją uczciwością nie jest tak całkiem w porządku.

– Jak to?

– Na razie wciąż jesteś niedoroślą osobką; nie widzę w tobie najskromniejszych nawet zadatków prawdziwej rzetelności.

– Wujaszku, natychmiast go stąd wyrzuć!

– Proszę o wybaczenie – jęknął Fried.

– Nie, wynoś się!

– Paulinko, daj się ubłagać.

Paula przez chwilę się zastanawiała.

– Powiedz: jestem podły wstręciuch.

– Jestem... podły... wstręciuch.

– Wystraszył się, ale cienia skruchy. Wujaszku, pieczone jabłuszka i sucharki są pyszne, palce lizać. Skąd wzięłeś te wyśmienite ciastka?

– Zabawna historia. Zaszedłem do piekarni i w najlepszej wierze poprosiłem o sucharki. Przykro mi, mój panie, odpowiada śliczne dziewczę zza lady, ale przed chwilą ostatnie sprzedałam. Na Boga, panienko, mówię, proszę sprawdzić, może jeszcze coś zostało. Roześmiała się, mówi, że zostawiła trochę dla siebie. Zacząłem nalegać: litości, mam dziś chrzciny i niczego do jedzenia. Zaczerwieniła się i zapakowała mi całą torbę.

Wszyscy się śmiali. W śmiechu Trix pobrzmiwał jednak smutek.

– Wujaszku, musisz przeczytać jakiś wiersz.

*Wieczór.*

*Gęsta cisza tuli mnie,*

*Miękko się na sercu kładzie,*

*Niech przepadną troski, cień!*

*Wszystko niech trwa w nieba ładzie.*

*Niemy czekam, światła wieść*

*Z mgłą leniwie księżyc sączy,*

*Dusz winnością dzięki nieść,*

*Kielich Boga do dna sączyć.*

*Sponad spracowanych rąk*

*Blask się lampy ćmi różany,*

*Wije, snuje baśni krąg*

*Po dniu parnym i rozgrzanym.*

*Dobroczynej łaski czas*

*Skrzydła rozpościera lekko –*

*Grzech i winy zmywa z nas*

*Sen szczęśliwy dobrą ręką.*

Brązowozłocisty pokój wyglądał wyjątkowo pięknie. Do ścian przywarły tajemnicze cienie, ciepłe światło lampy wydobywało z mroku dłonie i twarze.



Trix zdjęła ze ściany lutnię i podała ją Elisabeth.

– „Trzeba mi stąd jutro ruszyć” – poprosiła.

Elisabeth uderzyła kilka akordów i zaczęła śpiewać swym jasnym sopranem:

*Trzeba mi stąd jutro ruszyć,*

*Trzeba już się żegnać –*

*Śliczna ma, słodczy duszy,*

*W ten czas rozstań, biedna.*

*W ten czas rozstań, smutku czas,*

*Który właśnie dzieli nas –*

*Mnie i ją – mą duszę,*

*Którą żegnać muszę.*

W pokoju zrobiło się zupełnie cicho. Trix nie spuszczała oczu z Elisabeth.

*Gdy się druhów dobrych dwóch*

*Rozstaje na wieki,*

*Jakiż smutek, podły duch –*

*Poznasz, boś człowiekiem.*

*Jakaż wielka boleść, gdy*

*Wierne serce poprzez łzy*

*Musi tak przed drugim*

*Zniknąć na czas długi.*

*Oczy Trix zasły łzami.*

*Nie zapomnij, bywaj zdrów,*

*Ja już jechać muszę;*

*Będziesz sycił pośród dróg*

*Pamięć mą i duszę.*

*Posłysz ptasich pieni treść,*

*Wiedz, że w nich posłańca wieść,*

*W której, tak być może,*

*Pozdrowienie złożę.*

Pieśń zrobiła na wszystkich wielkie wrażenie.

– Czas się pożegnać – odezwał się ochrypłym głosem Fried.

– Trix, zostań jeszcze chwilę – poprosił malarz.

– Jutro rano będę na dworcu – oświadczyła Elisabeth, całując przyjaciółkę.

Trix została z malarzem.

Fritz bez słowa zgasił lampę i zapalił świece przed portretem Lu. Nappełnił trzy kieliszki, jeden postawił obok kwiatów przed obrazem, drugi podał Trix. Dziewczyna patrzyła nań przez ły.

– Wkraczasz w nowy świat – zaczął Fritz. – Obok nadziei panuje w nim lęk. Kiedy będzie ci ciężko na sercu, jasne wspomnienia wyniesione z tego zakątka mogą okazać się czymś w rodzaju radosnego bukietu Dość już skruchy, żalu. Jesteś na właściwej drodze. Śmiało nią idź. Nie bój się i nie zadręczaj jałowymi wyrzutami sumienia. One mogą przeszkadzać. Szukaj na swej drodze jasnego światła. Nie oglądaj się za siebie. Świece, które teraz się palą, będą twym pożegnaniem z domem marzeń. Zachowaj go w sercu. Kobieta z portretu kochała... bardzo kochała... oby była dla ciebie światłem rozpraszającym mrok. Miłości musisz się uczyć... przeżyć ją... W miłości tkwi tajemnica kobiety i jej wyjaśnienie... miłość to dla kobiety wieczna ojczyzna i jedyny dom. Żegnaj, Trix.

Fritz pocałował ją w czoło.

Dziewczyną wstrząsał szloch. Nagle przestała płakać i zaczęła mówić urywanym głosem:

– Wujku, w moim połamanym życiu pojawiło się jasne światło. Zanim wkroczę na drogę ciszy, chciałabym pożegnać się z urodą życia. Przyjmij ode mnie jedyny prezent, jakim może obdarzyć dziewczyna z ulicy... pozwól, bym spędziła z tobą noc.

Fritz był wstrząśnięty. Więc ona sądzi, że rozpoczyna się dla niej czas wyrzeczenia, i myśli o pożegnaniu.

– Dziecko – odezwał się miękko – niczego się nie wyrzekasz, wcale nie czeka cię życie w ciszy; przeciwnie, przed tobą lata najprawdziwszego, spełnionego szczęścia. To nie jest chwila pożegnania, ale początek! Znów trysną źródła, o których istnieniu zapomniałaś: miłość i człowieczeństwo. Wezbrana rzeka wpadnie do wielkiego morza... Dasz komuś moc szczęścia bo drzemie w tobie niejeden skarb.

– Ja miałabym... dać komuś... szczęście...?

– Tak, dziecko. Sama też go zaznasz, będziesz bardzo szczęśliwa.

– Czy to... możliwe?

– Na pewno.

– O, wujku... drogi wujku... życie znów nabrało barw... Teraz odejdę... Będiesz ze mną? Mogę pisać do ciebie?

– Kiedy tylko zechcesz. I zawsze dostaniesz odpowiedź. Gdybym ci był potrzebny, przyjeżdżaj lub pisz, natychmiast do ciebie pojedę.

– Kochany wujek Fritz! Do widzenia... do zobaczenia... – Trix pocałowała malarza w usta.

– Żegnaj, Trix.

W drzwiach dziewczyna się zatrzymała i jeszcze przez chwilę wpatrywała się w głąb emanującego spokojem poddasza... jej wzrok błądził wokół magicznego okienka, kącika beethovenowskiego, portretu Lu i płonących świec, i zatrzymał się na pełnej dobroci twarzy Fritza, oświetlonej migotliwym blaskiem... Znow się rozplakała i szlochając, wybiegła z pokoju.

## X

Nadeszła zima. Wraz z pojawieniem się na ulicach pierwszych lamp łukowych w Lipsku rozpoczął się sezon operowy. Lanna Reiner była u szczytu popularności, odnosiła triumfy towarzyskie, zewsząd zasypywano ją zaproszeniami.

Profesor Bonn dotrzymał słowa: znalazł wydawcę dla Ernsta. Drukiem ukazała się nie tylko fantazja Czerwień i srebro, lecz także zbiór pieśni. Lanna śpiewała je przy każdej okazji, dzięki czemu stały się znane i cieszyły się coraz większym powodzeniem.

Razem z Ernstem występowali na licznych koncertach, które przyniosły spory dochód. Wciąż widywano ich razem: kiedy ktoś zapraszał Lannę, zaproszenie nie omijało również Ernsta. Mało kto jednak podejrzewał, że łączy ich coś więcej; Lanna uchodziła za osobę niezwykle kapryśną i wybredną, toteż większość znajomych była przekonana, że zażyłość tych dwojga ogranicza się do wspólnego muzykowania.

Dyrektor opery wydawał wielkie przyjęcie. Część gości przybyła wcześniej; pokoje wypełniał gwar ożywionych rozmów. Nieco z boku stało dwóch eleganckich mężczyzn.

– Co pan na to, doktorze – mówił niższy, przysadzisty – przed chwilą słyszałem, że także piękna Lanna zaszczyca nas dziś swą obecnością.

Na chudej, pociągłej twarzy drugiego pojawił się przelotny grymas.

– Przyjdzie zapewne z asystentem, bez którego ostatnio nigdzie się nie rusza.

– Tym młodym kompozytorem? Podobno natura obdarzyła go prawdziwym talentem.

– A na dodatek tą Reiner; już samo to wystarczy, by się nieźle poczuć.

– Wolne żarty, doktorze. Ktoś taki jak ona mógłby chyba znaleźć coś lepszego.

– Z pewnością... zwłaszcza że tego już usidliła!

– Co też pan opowiada!

– Czyżby do tego stopnia nie znał pan kobiet? Proszę się zastanowić. Lanna Reiner jest piękną kobietą. Chyba się pan ze mną zgodzi?

– Nadzwyczajną.

– Widzi pan... Z tego też powodu wyjątkowo rozpieszczoną.

– Niestety.

– Adorowaną do znudzenia.

– Możliwe.

– Oczywiście. Stąd jej fochy. Kiedy ciągle pije się wino lub szampana, ma się ochotę na zwykły kufel piwa. Gdy stale przebywasz w kulturalnym, wyrafinowanym otoczeniu, marzysz o towarzystwie jakiejś nieskomplikowanej natury.

– Zaczynam rozumieć... Prosty młodzieniec...

– Nie całkiem. Mężczyźni leżą plackiem u jej stóp, żebrzą o miłość. Ma ich w nadmiarze. Ale sama też chciałaby obdarzać! Czyli... wedle wszelkich reguł... po prostu kochać.

– Kochać... Niech mnie pan nie rozśmiesza, doktorze. Coś takiego może istniało w średniowieczu.

– Drogi Levy. Z pewnością zna się pan na wszystkim, co dotyczy walut, giełdy, banków i pieniędzy, kobiet jednak nie rozumie pan wcale! Prawdziwa kobieta, chętnie podejmująca każdą gierkę, zawsze w końcu pragnie miłości! Kiedy liźnie nieco półświatka – brr... – już nie zechce czegoś zwykłego: przyzwoitego mężczyzny, a tym bardziej małżeństwa. To ją nudzi. Potrzebny jej piesek kanapowiec, coś, co można pieścić, głaskać, szuka milutkiego chłoptasia. Dotarło do pana?

– Całkowicie. Muszę to zaraz powiedzieć żonie.

– Stop!

– Słucham?

– Proszę mi dać słowo, że będzie pan milczał.

– Ależ, doktorze!

– Proszę się nie ościagać! Słowo!

– Dobrze, ma pan moje słowo. Choć, doktorze, zachowuje się pan dziwacznie. Po co ta tajemnica? Przecież pan nie ma z tym nic wspólnego.

– Nie życzę sobie żadnych plotek!

– Mój Boże, zupełnie nie rozumiem. Z takimi rewelacjami zyskałby pan opinię lwa salonów, przez cały sezon zażywałby pan sławy wybitnego znawcy niewieścich serc. To jakaś obsesja. – Pan Levy się oddalił, kręcąc ze zdumienia głową.

– Dureń – mrucał za nim doktor – żadna obsesja, przecież ja się w niej kocham. Właśnie dlatego. I mimo to.

Otworzyły się drzwi. Pojawiła się Lanna w towarzystwie Ernsta. Oczy wszystkich gości zwróciły się w ich stronę. Pan domu podszedł do przybyłych i wylewnie się przywitał. Lanna miała na sobie bajeczną, głęboko wciętą suknię z chińskiej krepy. Gospodarz czekał jeszcze na rosyjskiego milionera, księcia Raznikowa – wielbiciela muzyki, który miał być szczególną atrakcją wieczoru. Mówiąc o tym, zapytał śpiewaczkę, czy zgodzi się, by książe poprowadził ją do stołu. Lanna odmówiła; już wcześniej prosiła o to pana Wintera.

– Ogromnie mi przykro.

– Może kiedy indziej...

Rozwarły się szerokie podwoje i oczom gości ukazał się biały stół w kształcie podkowy. Książe, postawny mężczyzna o władczym spojrzeniu, noszący rozłożystą czarną brodę, poprowadził do stołu córkę pana domu.

Lanna siedziała naprzeciw niego, oddając się niewymuszonej, pełnej wdzięku konwersacji. Książę pograżył się w rozmowie z Ernstem i panem domu; mówiono o Berliozie, próbując również panie zainteresować francuskim kompozytorem. Rosjanin co chwila spoglądał na primadonnę. Kiedy dyskusja osiągnęła punkt kulminacyjny, Ernst naraz poczuł, że śpiewaczka ociera się o niego kolanem, i usłyszał jej szept:

– Mój chłopiec...

I zaraz potem, jak mówi głośno:

– Dziękuję za reńskie. Mogę prosić o mozelskie?

Młodego człowieka rozsadzała tłumiona radość.

Po kolacji panowie przeszli do palarni na koniak i cygara. Niebawem jednak książę rzucił myśl, by towarzystwo znów się połączyło. Wysłano z tą wiadomością z palarni herolda – pana domu. Ten wrócił do stołu i poinformował o powziętej decyzji.

Goście udali się do pokoju muzycznego. Książę poprosił Lannę, by zaśpiewała.

– Byłbym zaszczycony, towarzysząc pani przy fortepianie – powiedział.

– Musi książę poprosić o pozwolenie pana Wintera.

– Tak, oczywiście... Z przyjemnością...

Lanna łobuzersko puściła oko do Ernsta, po czym podała księciu zwinięte w rulon nuty. Książę zagrał wstęp, zaraz jednak opuścił ręce.

– Okropność – rzekł – tu w ogóle nie ma metrum. I co za dziwaczna harmonia. Odczytywanie tekstu jest tak kłopotliwe, że nie potrafię jednocześnie słuchać śpiewu i nie wiem, czy dobrze akompaniuję. Jak to w ogóle powinno brzmieć?

– O to trzeba zapytać kompozytora.

Książę przeczytał nazwisko.

– To pan, panie Winter? Och, proszę, niech pan gra, jestem ogromnie ciekaw.

Ernst usiadł przy fortepianie. Tajemniczy wstęp z niespotykanym, oryginalnym ciągiem akordów... ogród egzotycznych kwiatów... powolne zanurzanie się w purpurowym morzu... gwałtowny łopot skrzydeł... i kamienny smutek.

W tym momencie weszła Lanna.

Godzino zmierzchu – przedziwny świecie!

Godzino błogiej miłości.

Zstąp jak niebiańska panna, zstąp przecie,

Pokój niech w duszy zagości.

Drogi pomroczone... zamarłe fale...

Żar pragnień – popiół i nicość.

Przyszłe – przeszłością, okryte szalem,

Zasłoną róż, krzewu, ciszą.

Godzino zmierzchu – przedziwny świecie!

Kraino marzeń, śnie lipca.

Godzino godzin, co cicho przędzisz

Melodię na starych skrzypcach.

Tę niezwykłą pieśń Ernst skomponował kiedyś o sonej godzinie, kiedy życie i śmierć mocują się z sobą.

Goście byli wstrząśnięci. Księżę ucałował ręce śpiewaczki i uściśnął dłoń Ernsta.

– Jest pan wielkim artystą – oświadczył. – Proszę mi wybaczyć ten spapwany akompaniament. Nigdy nie słyszałem równie niesamowitej pieśni. Miałem wrażenie, że wszystko... światła, śmiech i nawet my sami, wszystko to poszarzało, straciło znaczenie. I jedynie gdzieś z daleka dochodzi ten smutny śpiew. Kto napisał wiersz?

– Mój przyjaciel.

– Jest w nim coś rosyjskiego... głębia medytacji... przejmująca mistyka.

Ernst milczał.

Rozmowa powoli zeszła na inne sprawy. Z pokoju muzycznego wyniesiono krzesła. Rozpoczęły się tańce.

Błada córka pana domu zawzięcie dotrzymywała Ernstowi towarzystwa. Prosiła go, by napisał dla niej pieśń.

Tymczasem księżę zajmował się niemal wyłącznie Lanną. Prawił jej komplementy, poprosił do tańca. Niebawem wirowali w takt podniecającej muzyki operetkowego walca... Tworzyli imponującą parę. Lanna była zresztą rozchwytywana. Ernst widział, jak w każdym tańcu obejmują ją inne ramiona. Uśmiechał się ironicznie; głupcy, szydził w duchu, cieszcie się, że możecie z nią zatańczyć... mina wam zrzędzie, kiedy was wyśmieje... Bo ona jest moja...

I dalej słuchał nieśmiałej paplaniny córki gospodarza. Śpiewaczka od czasu do czasu zerkała w jego stronę i dziwiło ją, że do niej nie podchodzi. Ciągle jednak gawędził z córką pana domu. Zauważył, że oczy dziewczyny są zdumiewająco podobne do oczu Elisabeth, o której niemal zapomniał. Opowiadał o mieszkaniu Fritza... Teraz jakoś mógł... Sam nie wiedział dlaczego, ale z wyjątkiem pierwszych spotkań, w obecności Lanny nigdy o tym nie mówił...

Lanna poczuła się zmęczona. Poprosiła o chwilę przerwy i zadyszana opadła na sofę. Księżę jej nie odstępował, za nim ruszyli inni panowie i otoczyli ją ciasnym kołem.

Doktor poprosił do tańca córkę gospodarza. Ernst rozejrzał się w poszukiwaniu śpiewaczki i widząc wokół niej tłok, uśmiechnął się. Wolnym krokiem podszedł do primadonny, zgął się przed nią w ukłonie. Natychmiast wstała i chwyciła go pod ramię. Sunąc po parkiecie, szeptała:

– Mój chłopiec...

Oczy Ernsta błyszcząły.

– Kochany, nie patrz tak smutno.

– Już nie...

– Jeszcze tak. Jestem zmęczona... Chodźmy spać.

– Dobrze...

Po chwili Lanna się pożegnała. Kiedy spostrzegła, że księżę zamierza jej zaproponować swe towarzystwo, ostentacyjnie poprosiła Ernsta, by ją odprowadził.

Dojechali w pobliże domu, resztę drogi przeszli.

– Nic nie mówisz, mój chłopcze...

– Kiedy jesteś ze mną...

– Nie, to coś innego. Coś cię gryzie...

– Nie, nic.

Otworzyła drzwi, zapaliła światło. Ernst wszedł za nią. Naraz Lanna wychyliła się w tył, przyciągnęła do siebie głowę Ernsta i oparła ją na swym ramieniu.

Odwróciła się i długo całowała usta mężczyzny. Ernst nagle przypomniał sobie Elisabeth, chciał się uwolnić.

Po chwili jednak całkowicie się poddał ogarniającemu go szaleństwu zmysłów...

Kiedy nazajutrz rano po kąpieli wracał do domu, odczuwał coś w rodzaju łagodnego buntu. W domu zastał list od Fritza. Jednym szarpnięciem rozerwał kopertę. I raptem dosięgnął go zapach domu, zapach ciepła, spokoju... Fritz pisał o ostatnich wydarzeniach, o Elisabeth, o wszystkim. Na koniec wspomniał, że on i przyjaciele bardzo się ucieszą, kiedy go znów zobaczą.

Dom... Najbliżsi... Ernst miał wrażenie, że ziemia usuwa mu się spod nóg. Oczami wyobraźni widział Elisabeth; obraz był tak sugestywny, że już, już wyciągał do niej rękę. Dom... Rozbudzone wspomnienia były jak dźwięk dzwonu. Zdecydował, że w najbliższych dniach pojedzie do Osnabruck, do Fritza.

Po obiedzie położył się i spał do wieczora. Kiedy się obudził, ubrał się starannie, w kwaciarni kupił orchidee dla Lanny i polecił przesłać je do teatru. Śpiewaczka stała się teraz dla niego dziwnie daleka, jak zresztą zawsze, kiedy nie byli razem. Początkowo chciał jej napisać, że wyjeżdża do domu. Potem uznał to za tchórzostwo. Wbrew sobie postanowił więc, że pójdzie do opery, odprowadzi Lannę po przedstawieniu i o wszystkim jej powie. Kiedy jednak w Nizinach zobaczył ją na scenie, serce przeszył mu nagły ból. Jest taka piękna, myślał. Gromkie brawa na nowo wzburzyły w nim krew.

Kiedy odwoził śpiewaczkę do domu, nie zdobył się na odwagę i nic nie powiedział. Lanna przez cały czas całowała jego oczy i mówiła:

– Chłopcze... Rozchmurz się.

Było to niemal przykre; jednocześnie Ernst tęsknił do jej pieczyt.



– Chłopcze... Co się dzieje, o czym tak myślisz?

Lanna przytuliła się do fotela, na którym siedział Ernst.

– Dostałem dziś list od Fritza.

– I to cię tak zasmuciło?

– Tak.

– Kochany... – Patrzyła na niego przerażona. Po chwili na jej ustach pojawił się zniewalający uśmiech.

Niedostrzegalnym ruchem obnażyła prawe ramię i powoli przysunęła miękką pierś do policzka mężczyzny.

Ernst zamknął oczy.

– Powiedz, najdroższy – szeptała, obejmując go ramieniem – co się w końcu wydarzyło? – Wolną rękę położyła mu na kolanach. – Co smutnego było w tym liście?

– Nic... Same miłe rzeczy...

– Ależ, skarbie... to dlaczego jesteś taki smutny?

Ernst zebrał się w sobie, nie chciał ulec jej pieścizotom.

– Muszę się zobaczyć z Fritzem. Dręczy mnie tęsknota za domem.

Lanna zagryzła wargi.

– Jak możesz tęsknić... Czy mając mnie, nie jesteś u siebie?

– Tak... Ale mimo to... tęsknię...

– Do Fritza?

– Do wszystkiego.

– A więc zapewne do tej blond karykaturki?

Ernst się wzdrygnął.

– Co powiedziałaś?

– Że tęsknisz za tą cnotliwą małpką w kolorze blond – powtórzyła Lanna z całym spokojem, po czym podciągnęła rękaw i ramięczko stanika.

– Nie wolno ci tak mówić o Elisabeth!

Śpiewaczka milczała; patrzyła na Ernsta z tajemniczym uśmieszkiem, pomachując jednocześnie czubkiem pantofla.

– Nie odwołasz tego?

Zaśmiała się drwiąco.

– Jeśli jutro wyjedziesz, ja również wyjadę. W dłuższą podróż. A z nami koniec!

– Odwołaj!

– Powiedziałam tylko, co się stało.

Ernst z całej siły chwycił ją za nadgarstki i utkwiał w niej gniewne spojrzenie.

– Przydałby się pejcz, prawda? – Oczy śpiewaczki miały błyskawice.

Ernst natychmiast ją puścił, ale nie spuszczał z niej oczu. Na pięknych ustach Lanny pojawił się tajemniczy uśmiech – mieszanina grzechu... smutku... i tęsknoty.

Ernst wyskoczył z auta.

W domu zaczął się gorączkowo pakować. Chciał wyjechać nazajutrz porannym ekspresem. Kiedy wrzucał bieliznę do walizki, na podłogę wypadło zawiniątko z kolorowego jedwabiu. To był pukiel czarnych włosów... włosów Lanny Reiner...

Zamierzał je wyrzucić przez okno. Ale wydawało się, że powstrzymuje go jakaś niewidzialna ręka. Schylił się. Poczłł delikatny zapach. I naraz jak uderzenie pioruna stanął mu przed oczami obraz cudownej, kipiącej pożądaniem nocy. „Czarownica, wiedźma”, mamrotał, wciąż trzymając pukiel w dłoni. Nie mógł się przełamać, by go wyrzucić. Wściekły na siebie zatrzasnął wieko walizki; nieszczęsny kosmyk cisnął na stół.

W ubraniu rzucił się na łóżko i próbował zasnąć. Sen jednak się nie zjawiał. Jak zahipnotyzowany nieruchomo wpatrywał się w stół, na którym leżał pukiel włosów. Zdawało mu się, że lśnią fosforyzującym blaskiem. Próbował myśleć o Fritzu, o pokoju obok pracowni, dłońmi zasłaniał oczy. Wciąż jednak widział jedynie tę twarz w czerwonym świetle, ciemne oczy i usta, na których igrał słodki, magnetyzujący uśmiech.

– Nie chcę... Nie... Nie... – Bezsilnie zgrzytał zębami, głowę wciskał w poduszki.

Ponad nim sunęły cienie – olbrzymie i tajemnicze – dzieło nocnych chmur, raz po raz przesłaniających księżyc, by zesłać na ziemię nowy cień. Ernst miał uczucie, że cienie przenikają jego ciało i boleśnie je kaleczą. A płonące oczy wciąż widziały to samo: duszący zmierzch i jaśniejące czerwienią usta.

Tęsknił i buntował się, gryzł palce, przekopywał i rozrzucał pościel. W pewnej chwili oczami wyobraźni ujrzał kojący obraz: rozsypaną na miękkiej jedwabnej poduszce burzę kruczoczarnych loków, okalających parę ciemnych oczu. Udręczony zerwał się z łóżka i zaczął biegać po pokoju.

Pójdę tam...! Ta myśl była jak uderzenie gromu.

Zatrzymał się. Ale natychmiast zaczął sam siebie obrzucać przekleństwami. Jednak ta myśl nie dawała mu spokoju, uczepiła się Ernsta, wwiercała coraz głębiej w mózg. Przypomniał sobie drwiący uśmiezek, którym Lanna go potraktowała. Nagłe uderzenie czerwonej fali odsunęło na bok ten obraz, a czarne włosy wciąż fosforyzowały w ciemności. „Zdrada... zdrajca... nikczemnik”, jęczał zadyszany i ostatkiem sił próbował sobie przypomnieć Elisabeth. Chwycił framugę okna, bał się, że wciąż na nowo wzbierająca purpurowa fala wypchnie go na zewnątrz. Szlochał: „Fritz... Elisabeth... – brzmiało to jak zakłęcie – Fritz... Elisabeth...”

Czuł, że ręce mu słabną i ogarnia go przemożne pragnienie, by znów ujrzeć zniewalający uśmiech... Oszałały z tęsknoty, wściekły i pełen pogardy dla samego siebie rzucił się do biurka, przeszukał szuflady i wyjął nieduży sztylet... Wystarczy lekko pchnąć...

Naraz zza zasłony chmur wyrzął księżyc i bladym, rozproszonym światłem rozjaśnił pokój. Ernst spojrział na błyszczącą stal; z gorzkim uśmiechem schował nóż. To zbyt łatwe... tchórzliwe... „Zdrajca... tchórz... nędzny pies”, z obrzydzeniem wyrzucał z siebie. Już dojrzałeś, idź... – syczał w nim jakiś szary głos. Znów rozległy się uwodzicielskie dźwięki, rosnąc, zamieniały się w błękitną burzę i purpurowy orkan; wraz z pianą i hukiem piorunów runęły wszystkie przemyślenia, czerwona, rozszalała, ognista fala porwała Ernsta i rzuciła w szkarłatny odmęt... Jakby go ktoś gonił, wypadł na ulicę i jak wichler pomknął do domu Lanny Reiner.

Brama była jeszcze otwarta. Ernst wpadł na schody, przebiegł przez pokoje i zobaczył, że w buduarze pali się światło.

Z sypialni przez odsuniętą kotarę wpadało do pogrążonego w półmroku pokoiku ciemnoczerwone światło lampy osłoniętej matowym kloszem. Lanna leżała na kanapie. Nagie ciało kobiety jedynie częściowo okrywała narzuta z zielonego jedwabiu. Zwisająca z kanapy dłoń podtrzymywała książkę. Bujne rozpuszczone włosy okalały jasną twarz o lśniących oczach.

Ernst, blady jak upiór, stanął w progu. Na jego twarzy malowała się udręka. Błędnym wzrokiem patrzył z zachwytem na śpiewaczkę.

Lanna podniosła głowę i odezwała się melodyjnym głosem:

– Przyszedł mój chłopiec... Najdroższy... Tak bardzo tęskniłam... Chodź... – Wyciągnęła rękę.

Ernst osłupiał. Spodziewał się ironu, drwin. Nie wierzył własnym uszom. Padł przed Lanną na kolana.

Przez twarz śpiewaczki przemknął grymas, w oczach na mgnienie pojawił się błysk.

– Zostaniesz ze mną na zawsze?

Młodym mężczyzną wstrząsał szloch, głowę skrył w jedwabnej narzucie.

– Tak, przecież muszę...

Kobieta się uśmiechnęła. Była w tym uśmiechu przedziwna słodycz... także grzech, tęsknota i smutek...

Po czym zielonym jedwabiem okryła Ernsta i siebie.

## XI

Przez bajkowo otulone śniegiem okno w dachu do pokoju Fritza zaglądały gwiazdy. Dzięki temu emanująca zazwyczaj spokojem mansarda robiła wrażenie jeszcze bardziej przytulnej. Ciepłe światło lampy tworzyło złocisty krąg. I nawet w surowych rysach Beethovena pojawiło się coś wesołego. Elisabeth, przygrywając sobie na lutni, śpiewała stare piosenki łotrzykowskie.

W zakamarkach poddasza gęstniał mrok, na szklanych naczyniach i kamieniach igrały świetlne refleksy.

Znów zaczął sypać śnieg i było słychać, jak ciężkie płatki opadają na okno. Najpierw tu i ówdzie coś się poruszało, jakieś drgnienie, a po chwili cała gromadka śnieżynek zjeżdżała po szybie. W piekarniku z sykiem pękała skórka na rumieniących się jabłkach. Nad uroczymi brązowymi filiżankami z herbatą unosiła się para. Ze ścian przyzwalająco uśmiechały się niezliczone obrazy.

– Powiedz, wujaszku, czemu postawiłeś na stole białe chryzantemy? Przecież to kwiaty umarłych.

– Sam nie wiem. Zobaczyłem je i musiałem natychmiast kupić. Są takie piękne, dziwnie milczące. Tyle przypominają. Miałem wspaniałe życie... mimo wszystko... mimo cierpień i bólu... bogate duchowo i piękne.

– Czemu o tym mówisz?

– To przez chryzantemy...

– Jesteś taki uroczysty, wujaszku. Porzuć smutne myśli. Pomyśl o wiosnie, znów wyzwoli w nas tę całą radość, jaka nagromadziła się przez zimę.

– O, tak. Bardzo chciałbym doczekać wiosny! Jeszcze raz nazbierać maków do moich wazonów... oszałamiająco czerwonych maków... A także róż. Świat cichnie, Elisabeth.

– Cisza też żyje.

– Nie czuję tego. Mam wrażenie, że zbieram się do długiego snu. I tylko jednego pragnę: pięknej śmierci.

– Wujku!

– Tak, dziecko. Chciałbym umrzeć pogodnie... odejść w nicość bez zbyt wielu wstrząsów... Koniec powinien być jak życie... nie radosny, roześmiany... Ale też pozbawiony goryczy... wyrzekań. Nie, powinien być pełen owej greckiej pogody ducha, która obejmuje wszystko: radość, wyrzeczenie się świata, spojrzenie z dystansu... Olimpijski spokój...

Fritz chwycił kawałek żółtej kredy i napisał na ścianie: Koniec powinien być pogodny.

– Wujku, porzuć te smutne myśli.

– Świat jest dziwny. Kiedyś, przychodząc do mnie, przynosiłaś z sobą radość i chwile wytchnienia, teraz role niemal się odwróciły. Przez ostatnie miesiące bardzo dojrzałaś. Ernst z trudem pozna w tobie dawną Elisabeth.

– Ernst... – Dziewczyna w zamyśleniu patrzyła przed siebie.

– Od dawna nie pisze, prawda?

– Nie...

– To kryzys.

– Albo koniec.

– Kryzys, Elisabeth.

– Tak, wujku...

Na schodach rozległy się kroki. Ze śmiechem, strząsając z siebie śnieg, wtargnęli do pokoju Fried i Paula. Dziewczyna trzymała w rękach śnieżną kulę, którą zamierzała potraktować Fritza; w ostatniej chwili, widząc, że malarz próbuje się skryć, zmieniła zdanie i rzuciła śniegiem w odsłoniętą szyję Frieda, czym go doprowadziła do szewskiej pasji. Kiedy w końcu wszyscy usiedli, Fried opowiedział o swych przygodach z panią Friedheim. Radczyni zamarzyła sobie, by Fried namalował ją w lekkiej, letniej sukience, nieco z profilu, z figlarnym błyskiem w oku. Za każdym razem przychodzi ze służącą taszczącą kufer, otulona w futro i mufkę, w kapeluszu z woalką, dostojna niczym Artemida, Hera i Pallas Atena razem wzięte, po czym wraz z dziewczyną znika za parawanem, by po chwili wybiec zwiewnym krokiem zawstydzonego dziewczątka. Zarobiłem już dwieście marek na karykaturach, do których mnie zainspirowała. Jej nalane oblicze ozdobione przymilnie zalotnym uśmieszkiem jest boskie. Służąca radczyni, na pierwszy rzut oka pokorne cielątko, bawi się fantastycznie. Ale to wyjątkowo dobra dusza...

I tak pośród wesołej rozmowy przeplatanej wybuchami głośniego śmiechu upłynął wieczór.

Pomimo białych chryzantem. Pani Heindorf zaprosiła Fritza na wycieczkę. Dzień był piękny, niemal ciepły. Pod wieczór zrobiło się jednak przenikliwie zimno. Fritz wrócił do domu przemarznięty do kości.

Nocą oblewał go pot, dusił silny kaszel, a następnego dnia miał gorączkę. Kobieta, która, jak co dzień, przysłała rano posprzątać, posłał po lekarza. Ten zmartwiony kiwał głową:

– Ma pan kiepskie płuca, panie Schramm.

– Od lat cierpię na astmę i rozedmę płuc.

– Mieszka pan sam?

– Tak...

– Hm, potrzebuje pan pielęgniarki.

– Jest aż tak źle?

– Trzeba bardzo uważać. Wieczorem jeszcze do pana zajdę. Jeśli nic się nie zmieni, musi się pan postarać o pielęgniarkę.

Fritz zapadł w półsen.

Wieczorem przysłała Elisabeth. Wystraszyła się nie na żarty.

– Wujku, co się dzieje?

Malarz powtórzył jej, co mówił lekarz. Chwilę potem przyszedł doktor i zbadał Fritza.

– Przyślę panu pielęgniarkę – oznajmił.

Fritz drętwo się uśmiechnął, po czym znów zapadł w sen.

– Pielęgniarka już tutaj jest – odezwała się w ciemnościach Elisabeth.

– Czy to... pani?

– Tak, od pół roku pracuję jako wolontariuszka w Szpitalu Marii Panny. Zostanę z nim.

– Dobrze – skwitował doktor. Pouczył Elisabeth, co ma robić.

– Panie doktorze, co mu jest?

– Zapalenie płuc i opłucnej. Ma słabe płuca... wyjątkowo słabe.

W nocy Fritz zaczął majaczyć.

– Jak ciemno... bardzo ciemno... skąd ten mrok... zapalcie świece... noc jest czarna... – jęczał, po czym westchnął i znowu zasnął.

Elisabeth siedziała obok łóżka; była jednym wielkim wołaniem o wyzdrowienie. Ostrożnie zmieniała okłady, dokładała do pieca i wsłuchiwała się w coraz szybszy oddech Fritza.

– Gorąco mi – skarżył się chory – przyłóżcie mi lód do czoła... Lu, twoje ręce są takie chłodne...

Elisabeth dotknęła dłońmi czoła malarza.

– Dziękuję ci – odezwał się całkiem przytomnie; ale po chwili wróciła gonitwa myśli i Fritz znów półgłosem majaczył: – Lu... jesteś tam... o... czemu płaczesz... nie powinnaś płakać... Tak bardzo za tobą tęskniłem, tak tęskniłem... Gdzie twoje błękitne oczy... takie słodkie... Lu, smutne szczęście moich przepłakanych dni... dom... nasz dom...

Głowa chorego opadła. Elisabeth delikatnie ułożyła ją z powrotem na poduszkach.

Za oknem szarzał świt. Gorączka wzrosła.

Elisabeth posłała wiadomość do Frieda i Pauli, nadała też depezę do Ernsta.

Nagle Fritz otworzył oczy.

– Elisabeth.

– Wujek Fritz...

– Co się ze mną dzieje?

– Jesteś trochę chory, ale wkrótce na pewno wyzdrowiejesz.

Malarz potrząsnął głową. Potem głośno odczytał napis na ścianie.

– Którego dziś mamy? – zapytał.

– Szóstego marca.

– Wiesz, czyje to urodziny? Jej!

– Wobec tego po południu musimy tu być wszyscy.

– Właśnie! Także Ernst!

– Wyślę do niego telegram!

– Musi przyjechać. Mam mu wiele do powiedzenia. Teraz jestem zmęczony.

Prześpię się godzinę, potem mnie zbudzisz. Dobrze?

– Tak, wujku...

W południe zjawił się lekarz.

– To już koniec – powiedział.

Elisabeth mocno chwyciła się stołu.

– Żadnej... nadziei?

– Żadnej. Chyba że zdarzy się cud... Przypuszczalnie po południu jeszcze raz się obudzi – dodał, widząc bladą jak papier twarz dziewczyny.

Elisabeth fanatycznie uczepiła się myśli o cudzie. Po południu przyszli Fried z Paulą. Dziewczyna miała oczy spuchnięte od płaczu.

– Śpi – wyszeptała Elisabeth. – Lekarz twierdzi, że po południu powinien się jeszcze obudzić. Idźcie po kwiaty, dziś są urodziny Lu.

– Róże – wyjąkała Paula.

– O tej porze?

– Musimy je gdzieś znaleźć – wycedził przez zaciśnięte zęby Fried.

Po godzinie wrócili z ogromnymi naręczami róż. Powstawiali kwiaty do wszystkich dzbanków i wazonów, jakie tylko były w domu. Najpiękniejsze róże umieścili przy łóżku, na życzenie Fritza dosuniętym do pieca. Poddasze wypełniło powietrze przesycone zapachem róż.

Późnym popołudniem Fritz się zbudził i rozejrzał dookoła.

– Gdzie jestem? – zapytał.

– Z nami – wykrztusiła ze ściśniętym gardłem Elisabeth.

Malarz patrzył na kwiaty.

– Róże... – mówił – jeszcze raz oglądam róże.

Wszyscy podeszli do chorego.

– Lu obchodzi dziś urodziny – odezwał się słabym głosem Fritz. – Poszukajcie białych świec i zapalcie je.

Przed portretem Lu przybranym ogromnym bukietem róż Elisabeth ustawiła świecznik. Płomyki świec, migocząc, przeglądały się w obrazie. I wydawało się, że piękne oczy znów żyją, a usta kobiety drżą w uśmiechu.

– Przesuńcie łóżko tak, żebym mógł na nią patrzeć.

Kiedy to zrobili, Fritz utkwiał wzrok w twarzy ukochanej.

– Zapalcie więcej świec.

Na całym poddaszu jaśniały teraz niezliczone, złocistoczerwone płomyki.

– Gdzie jest Ernst?

– Wkrótce się zjawi.

– To dobrze, powinien być teraz z nami. Elisabeth, nie zapominaj... o nim. Przynieście wina... czerwonego... sześć kieliszków... i zbliżcie się... – Fritz z trudem podniósł się na łóżku. – Weźcie jeszcze ten okrągły stolik...

Elisabeth nakryła stolik serwetą, postawiła na nim wazon z różami i przysunęła do łóżka.

– Sześć kieliszków... raz... dwa... trzy... pięć... sześć... dobrze... jeden dla Ernsta... jeden dla Lu...

Malarz oderwał kilka różanych płatków i włożył je do kieliszka Lu. Drżącą dłonią wlał do niego czerwonego wina.

– Moje dzieci... niestety muszę was opuścić... Ciężko mi. Trzymajcie się! I pamiętajcie, co mówiłem: nie szukajcie szczęścia daleko... ono jest w was... A kiedy już siebie odnajdziecie, wyjdźcie od własnego Ja” ku drugiej osobie, ku wszystkim... ku powszechnemu zbrataniu... Bo to wszystko nasi bracia i siostry... drzewa... pustynia... morze... chmury czerwieniejące o zachodzie... leśny wiatr... Nic nie istnieje oddzielnie... Wszystko tworzy jedność... odwieczne piękno... Dostrójcie wasze serca do tej wspaniałej harfy, natury... Wszystko jest w ruchu... Zrozumieć znaczy wybaczyć... Wiele jest na tym świecie goryczy i spraw, których rozum nie ogarnia... W końcu wszystko sprowadza się do zapachu róż... czyjegoś uśmiechu... marzenia... Stoję nad otchłanią, stąd proszę was: bądźcie wierni sobie...! Wypijmy za to ten kielich... musicie przysiąc... to mój testament... Wypijmy za życie i za śmierć... za odwieczne „coś”... za najdroższych, którzy odeszli...

Wino w kieliszkach mieszało się ze łzami. Jednak wszyscy wypili do dna.

Fritz zaczerpnął powietrza, po czym cichym głosem ciągnął:

– Trzymajcie się razem... niech jedno od drugiego czerpie siłę. I nie zapominajcie o innych. Modlitwa! Módlcie się o wartości duchowe... mało ich na tym świecie. Dobre słowo przywróciło człowieczeństwo tylu ludziom, i to wtedy, gdy góra złota by nie pomogła... Szukajcie w ludziach człowieczeństwa... Traficie wtedy na prawdziwe skarby. Człowiek jest dobry! Zawsze o tym pamiętajcie... Zostawiam wam to poddasze... nasz zakątek marzeń... Lu... – gwałtownie chwycił powietrze – jesteś jak cudowny sen o kwiatach w ogrodzie o zachodzie słońca... wyśpiewany i przebrzmiały... Zaraz zgasną świece... To wszystko...

Głowa umierającego znów opadła.



Elisabeth pochylała się nad nim.

– Pieśń... jej pieśń...

W ciszy Elisabeth zaczęła śpiewać; jej głos od płaczu miał ciemną barwę.

Z najmłodszych lat, z najmłodszych lat...

Za oknem zapadł zmrok. Łagodny blask świec rozjaśniał czoło malarza. W jego brązowych, pełnych wyrazu oczach żarzyły się niezwykle ogniki.

– Lu... – szeptał – Lu...

W mroku poddasza, pośród zapachu róż, jak nikły promień wieczornego słońca odbity w starym złocie dźwięczały słowa nabrzmiałe tęsknotą i bólem:

Ojczystych niw, ojczystych niw

Trzeba mi, ziemi matki...

Z ciemności dobiegał tłumiony szloch; Fried i Paula nie mogli powstrzymać łez. Tymczasem tchnąca smutkiem melodia płynęła dalej:

Jaskółka znów, jaskółka znów...

aż po rozpaczliwe:

Jaskółki śpiew...

i zamierające w ciemnościach niczym odległe łkanie skrzypiec:

Po wsi się znów kołacze...

Fritz zapadł w sen.

Trzaskały płomyki świec. Na okienko w dachu znów sypał śnieg.

Gorączka wróciła.

– Czarny ptak – majaczył umierający – czego chce... cały czas nade mną lata... Głowa mi płonie... Lu... byłoby tak cudownie... wszystko się złoci... tylko ten pośpny czarny ptak... Ernst... gdzie jesteś... musisz to zrobić... Elisabeth... on mimo wszystko... dochował ci wiary... Wybacz mu, Elisabeth... Wybaczając, stajemy się podobni Bogu... On nie jest zepsuty... wciąż jeszcze z sobą walczy... pomóż mu, kiedy cię zawoła... Elisabeth, obiecaj...

– Tak... tak... wujek Fritz... najdroższy, kochany. – Elisabeth uklękła obok łóżka i całowała ręce malarza.

Fritz już jej nie słyszał.

– Chcę... – mówił dalej – zawsze chciałem... moje zmęczone stopy... pokaleczone... ach, tak długo musiałem wędrować... w końcu jestem u siebie... dzieci... obmyjcie moje udręczone stopy...

Fried z Paulą przynieśli miednicę, umyli mu stopy i wytarli je miękkim ręcznikiem, ale i tak były mokre od ich łez.

Zbliżał się koniec.

– Ta pieśń... pieśń dla Lu... zaśpiewaj ją, Lu-Elisabeth... – Umierający utkwiał w dziewczynie wzrok.

Elisabeth zaczęła śpiewać, nie mogła jednak powstrzymać płaczu.

*Tyś moja wiosna, cały świat –  
Tyś wszystko, co posiadam.  
Tyś moja gwiazda, wieczny blask  
Na życiu mym osiada.*

Nagle Fritz uniósł się na łóżku.

– Wszystkich was kochałem jednakowo... – powiedział jasnym, dźwięcznym głosem, po czym opadł na poduszki, głowę odwrócił w stronę portretu Lu. Blask świec błąkał się po twarzy kobiety i zdawało się, że jej oczy żyją, a usta się poruszają, mówiąc: „Chodź, czekam...”

*Tyś moje niebo, cisza cisz –  
Mój raj na łez padole.  
O, przymknij oczy moje, niż,  
Ogarnij twym spokojem.*

Elisabeth śpiewała, łkając. Na koniec cichutko, jakby kończyła kołysankę, powtórzyła:

*Ogarnij twym spokojem.*

Fritz leżał bez ruchu i milczał.

Już nie żył.

Kopćąc, dopalały się świece przed portretem.

## XII

Lanna Reiner wraz z Ernstem wyjechali na koncert do Drezna. Koncert miał być powtórzony w Lipsku. Ranek jeszcze spędzili w Dreźnie i dopiero po południu wyruszyli w powrotną drogę. Ostatnio Ernst najczęściej przemieszkiwał u Lanny. Samotność we własnym pokoju napawała go lękiem i gdy tylko się dało, gnany wewnętrznym niepokojem uciekał do niej. Tym razem również prosto z dworca pojechali do mieszkania śpiewaczki. Zrobiło się ciemno i wkrótce zerwała się śnieżycą. Lanna zaciągnęła zasłony i rozsiadła się w fotelu.

Ernst przyglądał się jej w zadumie.

– Powiedz, kochanie, co sprawia, że obdarzyłaś mnie takim uczuciem. Niczym szczególnym się przecież nie wyróżniam. Mężczyźni, którzy naprawdę coś znaczą, leżą u twych stóp.

– Drogi chłopcze, sama tego do końca nie wiem. Jest w tobie coś, czego brak innym. Coś pierwotnego, prążywiol; tylko tak to potrafię określić. A co wiąże cię ze mną?

– Jesteś demonem mojej krwi.

– Skąd ten ponury tembr w głosie? – Patrzyła na niego kusząco.

– Jesteś szaleństwem i zarazem nieszczęściem mojego życia – krzyknął niemal Ernst, po czym gwałtownie przyciągnął Lannę do siebie.

– Najdroższy, co się stało?

– Muszę wyjść. Obiecałem, że o dziewiątej będę w lokalu, gdzie się zbiera całe konserwatorium.

– Ach, chłopcze...

– Przyrzekłem, słowa muszę dotrzymać...

– Dobrze, ale szybko wrócisz? – Pocałowała go.

Knajpka była już otwarta, młodzi ludzie świetnie się bawili. Na widok Ernsta zaczęli pokrzykiwać:

– Czołem, Ernst... Oto sławny Winter... Chodź do nas... Nasze kawalerskie...

Ernst wychylił jedną po drugiej kilka szklaneczek wina i natychmiast to poczuł. Goście tego pili i śpiewali.

Ktoś wygłaszał żartobliwe przemówienie. Wszystkim wino uderzyło do głowy. Teraz śpiewano coś w rodzaju wyliczanki.

Bracie, twa ślicznotka zowie się?

Lisbeth; niech nam żyje!

Każdy ze zgromadzonych wymieniał imię swej wybranki i wszyscy pili za jej zdrowie. Śpiewom i krzykom wtórował akompaniament fortepianu, w powietrzu kłębamii unosił się dym... Eugen wskoczył na krzesło...

Bracie, twa ślicznotka zowie się? – pytał chór.

– Wszyscy... wszyscy... – Eugen próbował przekrzyknąć gremialny śpiew.

Twa ślicznotka zowie się?

Przyszła kolej na Ernsta.

Ernst się uśmiechnął, wraz z innymi odśpiewał melodię, ale imienia nie wymienił. Ryk śmiechu.

– Spryciarz... Cwana sztuka... – rozległo się w różnych miejscach sali.

– Nie mam żadnej! – krzyknął Ernst.

Gromkie „oho”, po którym znów sala zahuczała:

Kto tak piękną ma, wstydić się nie musi...

Ernst czuł, że cały płonie. Jego włosy były przesycone zapachem ukochanej, żar jej pocałunku wciąż jeszcze parzył mu usta. Jednym susem wskoczył na stół, wznosił w górę szklankę i krzyknął do napierających na niego rozochoconych kolegów:

– Bracia, jeszcze młodość na naszych skroniach, miłość na naszych ścieżkach... Wkrótce będziemy starzy i siwi... Cieszymy się więc dniem dzisiejszym! Młodość... róże... miłość... Za nie piję, a także za urzekające czerwone usta pewnej damy!

Ernsta otoczył radosny krąg, przekrzykując się, przepijano do niego; on zaś stał jak król wśród poddanych... W oku błędny blask... w sercu żar! I zupełnie nie mógł pojąć, czego od niego chce człowiek w pocztowym uniformie. Nie zastanawiając się, machinalnie odebrał i otworzył depezę... jego oczy wciąż jeszcze się śmiały... przeczytał... przeczytał drugi raz... szklanka wypadła mu z dłoni... zbladł jak ściana... zatoczył się na stół i bełkocząc, runął na podłogę.

Eugen przypadł do niego i postawił go na nogi. Ernst cały czas niezrozumiale bełkotał. Obok leżał telegram.

Eugen przeczytał: „Wujek Fritz nie żyje. Elisabeth...”

Naraz Ernst ryknął jak ranne zwierzę, po czym zaczął przeraźliwie krzyknąć. Koledzy wyprowadzili go na zaplecze.

Po godzinie znów się pojawił. Widząc go, Eugen się przeraził. Ernst był biały jak śnieg, patrzył szklanym wzrokiem. Eugen zapytał, czy chce, by go odprowadzić. Do Ernsta nic nie docierało, niewidzącymi oczami wpatrywał się w przestrzeń i bez słowa wyszedł na ulicę.

Wskoczył do dorożki, ale po kilku minutach kazał się zatrzymać, zapłacił za kurs i pieszo poszedł do domu. Działając jak automat, zaczął pakować walizkę. W rękę wpadło mu zdjęcie śpiewaczki. Podarł je, przerwał pakowanie i wpadł w zadumę. Po chwili potrząsnął głową. Nie wolno być tchórzem! Postanowił, że pójdzie do Lanny.

Usłyszała, jak wszedł. Zawołała go kusząco:

– Mój chłopcze...!

Ernst czuł, jak wzbiera w nim obrzydzenie. Miał ściśnięte gardło. Co za podłość: kiedy on tutaj wił sobie rozkoszne miłosne gniazdko, w dalekim Osnabruck jego najwierniejszy przyjaciel umierał w samotności.

– Chłopcze... jesteś chory? – Przestraszona jego wyglądem Lanna podbiegła doń.

– To koniec – powiedział zimno i podał jej depeszę.

– Biedny, bardzo biedny chłopiec – szeptała. – Zostań dziś u mnie... rano nie będziesz sam.

– Wyjeżdżam tej nocy i już nie wrócę.

– Najdroższy! Chcesz mnie zostawić?

– To się już stało.

Lanna patrzyła na skamieniałą twarz Ernsta: zrozumiała, że oprzytomniał, że czar przestał działać. Tym mocniej go kochała.

– Kochany, nie możesz mi tego zrobić! Musisz ze mną zostać! Po co miałbyś tam jechać?! Już nic nie pomożesz. Zostań! Wyjedziemy razem do Francji albo do Włoch i tam się urządzimy. Zapomnij i znów bądź ze mną szczęśliwy! Po co tam pojedziesz?

Ernst odtrącił rękę śpiewaczki.

– Po co chcę jechać? Muszę odnaleźć siebie. Przy trumnie człowieka, którego zdradziłem!

– Najdroższy, zostaw to wszystko... Chodź!

– Nie!

– Kiedy znów cię zobaczę?

– Nigdy.

Oczy śpiewaczki miały błyskawice, gwałtownym ruchem sięgnęła do biurka po rewolwer.

– Zostaniesz ze mną!

Ernst ze stoickim spokojem skrzyżował ramiona i zmierzył Lannę spojrzeniem pełnym pogardy. Odwrócił się i zamierzał wyjść.

Śpiewaczka wyrzuciła rewolwer, pobiegła za wychodzącym, zagroziła mu drogę i płacząc, uwiesiła się na nim.

– Kochany... najdroższy... mój chłopiec... zostań... wróć... nie zabijaj mnie...

Ernst ją odepchnął i wyszedł. Za sobą słyszał szloch.

– Chłopcze... posłuchaj mnie... chłopcze...

Najkrótszą drogą zmierzał na dworzec. Udręczony za którymś rogiem przystanął i przycisnął rozpaloną twarz do chłodnego muru.

– Fritz... drogi Fritz... – jęczał.

Po chwili ruszył dalej.

Na niebie nie było gwiazd. W zupełnej ciszy wielkimi płatkami zaczął sypać śnieg. Do rana śnieżna biel okryła całe miasto.

## XIII

Róże na poddaszu już nieco przywiędły. Magiczne okienko okrywała gruba warstwa śniegu. Drzwi otworzyły się bezgłośnie. Ernst stanął przy śmiertelnym łożu przyjaciela.

Na twarzy zmarłego malował się absolutny spokój. Jego szlachetne rysy promieniowały niezmierną pogodą.

Ernst rozejrzał się dookoła. Wszystko wyglądało jak dawniej, chociaż nic już nie było takie jak dawniej. Przez chwilę nawet bał się głośniej odetchnąć; miał wrażenie, że znalazł się w innym świecie.

– Fritz – odezwał się cicho.

Milcząca powaga śmierci napawała młodego człowieka grozą. Patrzył na zmarłego przerażonymi, szeroko otwartymi oczami. Rozróżniał proste linie i półokrągłe kształty... dalej widział już tylko czerń powietrza...

– Fritz! – krzyknął, po czym jęcząc, runął na podłogę obok łóżka; zacisnął pięści i bez ustanku ochrypłym głosem powtarzał imię przyjaciela.

W przystępie rozpaczki przypadł do zwłok, chciał je rozgrzać, przywrócić im życie. Lecz chłód sztywnego ciała go przerażał, krzycząc wniebogłosy, Ernst czuł, że to, co kochał najbardziej, przejmują go lękiem... że martwe ciało jest tak niezrozumiale obce... że wszystko się skończyło. Bił się pięściami po głowie i krzyczał:

– Fritz, drogi, najdroższy przyjacielu, zabierz mnie z sobą... w tę podróż... co teraz pocznę bez ciebie...

Czyjaś szczupła dłoń dotknęła jego ramienia. Ernst półprzytomny odwrócił się. Za nim stała Elisabeth.

– Ernst... – Wyciągnęła do niego rękę.

W pierwszej chwili jej nie poznał: miał przed sobą dojrzałą kobietę.

– Opowiedz mi o nim – poprosił, kryjąc twarz w dłoniach.

Drżącym głosem Elisabeth zdała relację z ostatnich godzin życia malarza. Opowiedziała o wszystkim; przemilczała jedynie to, co zmarły mówił o Ernście. Usiedli, patrząc przed siebie tępo. Po jakimś czasie Elisabeth wstała i spojrzała pytająco na Ernsta. Ernst się nie poruszył.

– Będę przy nim czuwał.

Po południu przywieziono trumnę. Ernst nikogo nie dopuścił do Fritza. Sam ułożył zwłoki w drewnianym wnętrzu lekkiej ocynkowanej trumny, w której ciało miało być przetransportowane do krematorium. Trumnę ustawiono w pracowni.

I tak nastąpił ostatni wieczór przed wyprowadzeniem zwłok. Wokół zmarłego paliło się dziesięć grubych żółtych świec. Ernst cały czas czuwał. Bez przerwy wpatrywał się w ukochaną twarz. Nadeszła gwiazdzista noc.

– Fritz, śpisz teraz wiecznym snem... Jesteś martwy... co za potworne słowo... żyjesz już tylko w moich wspomnieniach, ale i one będą z upływem czasu blednąć, aż do chwili, kiedy i o mnie upomni się kraina cieni. Wierny przyjacielu... jeden jedyny raz nie dochowałeś mi wiary i nie zabrałeś mnie z sobą. Wysłuchaj mnie po raz ostatni: ślubuję być wierny... wierny sobie, jak tego od nas wymagałeś... Ach, serdeczny przyjacielu... nie możesz tak samotnie leżeć...

Ernst przeszedł do pokoju, gdzie wisiał portret Lu.

– Najdroższy wizerunku... Nie ma już tęsknoty wyrrywającej się bezustannie do ciebie, umarły usta, które cię wielbiły poetycką, liryczną strofą. Co jeszcze może cię czekać, jego już nie ma... Chodź, zostaniesz z nim do końca.

Zdjął obraz ze ściany i zaniósł go do pracowni.

– Nie powinienesz w ostatnią drogę iść sam, Fritz. Niech obraz, przy którym marzyłeś i tak bardzo tęskniłeś, będzie przy tobie.

Ernst włożył portret do trumny. Przyniósł wszystkie listy od Lu i przykrył je dłońmi zmarłego. Dopóki w pracowni nie było nikogo, siedział, utkwivszy trawione gorączką oczy w twarzy przyjaciela. Wreszcie pojawili się ludzie z zakładu pogrzebowego. Ernst wstał.

– O tym zmarłym nie napiszą w żadnej książce, kroniki nie odnotują jego imienia. Wiatr będzie hulał nad grobem, którego wkrótce nikt nawet nie rozpozna. A mimo to popłynie wiele łez, żadnego króla tak nie oplakiwano. Bo był kimś większym... i strata jest dotkliwsza od straty panującego: umarł człowiek!

Ernst odebrał stolarzom narzędzia i nie pozwolił nikomu się zbliżyć, kiedy własnoręcznie zamykał trumnę. Zewsząd było słycać szloch. Ernst nie uronił ani jednej łzy; jedynie dwie ciężkie krople krwi stoczyły się z jego pogryzionych warg. Trumnę wyniesiono.

Dopóki Elisabeth nie wyszła, Ernst nie ruszał się z miejsca. Słyszał pełen rozpaczyny płacz dziewczyny:

– Wujek Fritz... kochany wujek Fritz... teraz znów jestem sama...

Obok miejsca, gdzie przed chwilą leżał zmarły, Ernst dostrzegł nisko pochyloną Trix Bergen.

W południe trumna dotarła do Bremy. Ustawiono ją w sali, gdzie ciało miało być skremowane. Ernst grał na organach. Urzędnicy zakładu jeszcze nigdy nie słyszeli czegoś podobnego. Potoki dźwięków wyrażały niepojęty ból, powoli z płątaniny akordów wyłoniła się melodia pieśni „Z najmłodszych lat...”, by w kulminacji przeistoczyć się w triumfalny hymn, a potem wybrzmieć w pełnej melancholii, uroczej pieśni do słów Fritza: „Tyś moja wiosna, cały świat...”

Po powrocie do domu Ernst się rozchorował, miał ostry kryzys nerwowy. Przez sześć tygodni mijał się pomiędzy życiem i śmiercią. Elisabeth zabrała go do swego

szpitala i sama pielęgnowała. W końcu wstał z łóżka. Był załamany. Błady i wyciszony całymi dniami przesiadywał na werandzie i czytał listy oraz wiersze Fritza. Z rozpaczy zrobił się małomówny. Elisabeth cenił niemal jak świętą. Nie pojmował, jak mogły się kiedyś skrzyżować ich drogi – ona taka prostolinijna i czysta, on wewnętrznie zawikłany. Coś jednak cicho się w nim odzywało, sprawiało ból; coraz częściej, odprowadzając dziewczynę spojrzeniem do drzwi, wpadał w zadumę. W tym czasie znalazł wiersz Fritza napisany ołówkiem na ciemnym papierze.

*Kto ciemność i smutek opuszcza,  
Do światła musi przywyknąć  
Jak żebrak, który się dziwi  
Koronie na swych skroniach.  
A ja, najdroższa, tak długo  
W ciemnościach przebywałem...  
I mimo że dziś szczęśliwy,  
Mej biedy nie zapomniałem*

[Przekład Andrzeja Zawilskiego.]

Skomponował do tego muzykę – melodię przesyconą beznadziejnym smutkiem. Rękopis dał Elisabeth.

Po dwóch tygodniach wyleczony, powłóczę nogami, wracał do domu. Na poddaszu zastał list, który – jak widać – zapomniano mu przekazać. Z Lipska pisał Eugen. Pytał, co u niego, donosił o wielu drobnych sprawach. Na końcu był dopisek: Lanna Reiner zaręczyła się z księciem Raznikowem.

Ernst uśmiechnął się gorzko. A więc i to ma za sobą.

Dziwiło go, że życie tak szybko ucieka, że jeszcze tak niedawno istniało to czy tamto, tyle spraw było ważne.

– Moje serce jest puste – rzekł zrezygnowany – wszystko zabrałeś z sobą, Fritz.

Okienko w dachu pociemniało, nadciągał zmierzch.

Ernst skulił się w fotelu i wsłuchał w ciszę. Ściany ożyły, o czymś szeptały... Pośród nadciągającej nocy dom snuł swoją opowieść.

– Niezapomniany przyjacielu – mówił Ernst – tu wszystko należy do ciebie, znawco dusz – i dalej prosząco – co ja, nieszczęsny, z mą duszą porobiłem – po czym ciszej – Fritz, pomóż mi... ciąży mi ten sen... czy ta ofiara była konieczna, bym się w końcu przebudził?

A kiedy noc już całkiem zapanowała nad światem, Ernst jeszcze siedział i szperał w pożółkłych listach i książkach.



– Fritz, jedyny przyjacielu, czy ktoś teraz pomoże mi unieść ciężar życia...? – I naraz wykrzyknął: – Elisabeth... Mignon... ta bratnia dusza... ją też straciłem... wszystko umarło...

Nazajutrz wieczorem młodzi zebrali się na poddaszu. Na dworze wiało chłodem, padał deszcz. Krople bębniły o szybę.

Rzadko ktoś się odzywał.

– Jest tu teraz tak dziwnie – rzekła Paula – jakby pokój stracił duszę.

– Brak spoiwa. My byliśmy jedynie elementami. Pękła obręcz, która nas zespałała – odparł Fried.

Ernst odczytał fragmenty ostatniego listu od Fritza.

Potem smutnym głosem powiedział:

– Śmierć jest śmiercią. Już nigdy go nie zobaczymy.

– Nie – odezwała się twardo Elisabeth. – Kto umarł, nie musi być martwy! On w nas żyje. Przypomnijcie sobie jego słowa: wszyscy jesteśmy braćmi, leśne drzewa i wiatr, wieczorne chmury... musicie czuć to powszechne zbratanie... Pomyślcie o tym, czego nas uczył: najpierw „ja”, potem „ty”, na koniec cały wszechświat. Jest wszędzie. Kiedy spoglądam na gwiazdy, wiem, że on tam jest... Jest we wszystkim... także we mnie. W kwiatach, kamieniach, w ciszy i grzmocie piorunów. Kiedy księżyc zagłęda do mojego pokoju, widzę Fritza... Słońce śmieje się do mnie: też Fritz. Dzięki temu dziedzictwu stawimy czoło życiowym burzom.

Ernst słuchał ze zdumieniem. Wątki promyk nadziei padł na jego udręczone serce. Czyżby to była Elisabeth?

– Kim... się stałaś...? – wyjąkał osłupiały.

– Przysłali urnę z prochami zmarłego – ciągnęła Elisabeth. – Przez trzy dni zostawimy ją tutaj, a potem pochowamy w ogrodzie, wśród maków, goździków i róż, które tak bardzo kochał.

Ostrożnie ustawili urnę pomiędzy wazonami kwiatów.

– To niemożliwe, żeby małe naczynie mogło pomieścić takiego człowieka – mówił Ernst. – Fritz, kochany... gdzie jesteś?

Chwycił oburącz urnę i nasłuchiwał. Popiół przesypywał się bezdźwięcznie. Ernst zrozumiał, że Fritz umarł, by zmartwychwstać. Zwinął się na krześle i pierwszy raz od śmierci przyjaciela zapłakał; długo nie mógł się uspokoić, a był to płacz, który oczyszczał.

Potem sięgnął po ostatnie pozostałe butelki czerwonego wina i przyniósł sześć kieliszków.

– Sześć – rzekł zduszonym od płaczu głosem, rozstawiając kieliszki. – Ten będzie dla Lu... a ten... ten dla niego. – W miejscu, gdzie wisiał portret Lu, powiesił portret Fritza. – Oto czas – mówił melancholijnie. – Tamten portret umarł, nie ma już

wyrywającej się doń tęsknoty. Pojawiła się nowa tęsknota do nowego obrazu. Tamta tęsknota wygasła tak szybko; po nas również nie pozostanie nic prócz wspomnień w sercu, które nas kochało. Życie przecieka nam przez palce. Nie wiemy, kiedy mamy w ręku coś, co jest najcenniejsze... uświadamiamy to sobie dopiero wtedy, gdy się nam wyśliznie, kiedy ogarnia nas rozpacz. Chwyćmy mocno w dłonie naszą młodość – ciągnął Ernst – i mimo wszystko wzniesmy ją ku światłu. Światło, które po nim odziedziczyliśmy, jest w nas. A wspominając go, nie skarżmy się, lecz żyjmy według jego rad. Wypijmy ten ostatni kielich za portret, którego już nie ma, oraz – dodał cicho, przez łzy – za drogiego zmarłego i nasze ślubowanie!

Kieliszki brzęknęły i uroczyste spełniono toast.

Drżącymi dłońmi Ernst zapalił świece przed portretem Fritza. Ich blask na przemian jaśniał i przygasał.

I wydawało się, że obraz ożył, że spoglądają zeń na zgromadzonych zamyślane brązowe oczy, a usta uśmiechają się dobrotliwie. Wszystko było jak dawniej... tylko jego brakowało. Wbrew wcześniejszym zapewnieniom na poddaszu znów rozległ się płacz.

Wiosna, której Fritz jeszcze tak bardzo chciał dożyć, nadeszła w całej swej krasie. Melodyjnie śpiewały zięby, skowronki wznosiły do nieba radosne trele, szumiały drzewa, zapach wiatru oszałamiał.

Zbliżało się lato.

Ernst niczego nie słyszał, o niczym nie chciał wiedzieć. Niemal nie opuszczał poddasza i pisał. Zupełnie nie widział wiosny, dostrzegał jedynie nadejście nocy, kiedy nie miał już siły pisać. Pracował nad wielkim dziełem poświęconym pamięci Fritza. Kiedy ze zmęczenia pióro wypadało mu z ręki i musiał się położyć, niczym upiorna zjawka wracało doń całe dotychczasowe życie. Powoli wszystko się zacierało, trwało tylko jedno: coraz głębsza, spokojna miłość do Elisabeth. Nie próbował tego tłumaczyć, tak jak nie potrafił wspominać Lanny dłużej niż przez chwilę. Zresztą od dawna nie widział Elisabeth.

W końcu zarys utworu był gotowy. Tego dnia, kiedy odłożył pióro i z ulgą się wyprostował, dostał list: dyrektor Bonn proponował mu na bardzo korzystnych warunkach stanowisko dyrygenta w Monachium. Na razie odłożył list na bok. Praca nad dopiero co ukończonym dziełem uwięziła go w czterech ścianach.

Postanowił wyjść z domu i zobaczyć, że nadeszło lato.

Przeszedł przez wały, potem przez park i dziwił się, że wreszcie po tylu tygodniach czuje się wolny i jest mu lekko na sercu. Nagle dostrzegł Elisabeth. Podeszedł do niej i odezwał się głosem, który brzmiał niemal tak samo jak przed rokiem:

– Musisz ze mną pójść. Właśnie skończyłem coś bardzo pięknego. Chodź!

Dziewczyna przyglądała mu się zdumiona. Znów miała przed sobą tego samego Ernsta, może trochę wyciszzonego i dojrzałego.

– Chodźmy na nasze poddasze.

Po drodze opowiadał jej o swej kompozycji.

– To nie będzie requiem, może raczej coś na scenę.

Weszli na górę, do pracowni. Ernst rozłożył na fortepianie zapisany papier nutowy.

– Niedawno przysłali mi z sądu testament Fritza. Jest krótki: wszystko, co posiadam, dziedziczy mój przyjaciel Ernst Winter... Jeszcze pół roku zostanę na tym poddaszu... Tu jest głos solowy. Całość to kontynuacja pieśni według Fritza i innych wierszy. Do tego orkiestra, soliści, chór... Alegoria życia na scenie... Temat pierwszy: Róże... kwiaty jego miłości... – mówił z przejęciem Ernst. – Na widowni jest ciemno jak w teatrze. Orkiestra bardzo cicho rozpoczyna wstęp. Srebrzyste brzmienie fletu unosi się ponad szemrzącym akordem septymowym Ges-dur. Jak perlista kaskada melodia fletu opada w powolnych tercjach, po czym na tle mormoranda chóru alt intonuje przepojoną bólem melodię: Róże... kwiaty jego miłości...

Ernst przegrywał fragmenty i jednocześnie mówił:

– Kurtyna podnosi się powoli. Na scenie błękitny półmrok, pośrodku kobieta pochyla się nad marmurową urną, wokół mnóstwo róż. Robi się coraz jaśniej. Kurtyna opada. Tak wygląda wstęp. Teraz orkiestra przetrzymuje długie akordy. Harfa wykonuje arpedžia w Des-dur, wypełniając przestrzeń pomiędzy akordami. Dołącza do niej radosny, skowronkowy tryl skrzypiec. Kurtyna idzie w górę. Świt... morze. Nad samym brzegiem czarna sylwetka mężczyzny wyciągającego ręce ku słońcu. Baryton śpiewa modlitwę do słońca.

Obraz drugi: Twórczość. Wstęp orkiestrowy, po którym zaczyna głos męski opłatany koronkowymi figuracjami sopranu; wchodzi pozostali soliści, pozorny chaos i w końcu rozbrzmiewa Pieśń tworzenia.

Trzeci obraz: mury w świetle księżycy. Nad nimi dwie splecione dłonie. Nabrzmiła tęsknotą melodia fagotów. Bas podejmuje temat, który wije się ponad długo wybrzmiewającymi płaczącymi akordami orkiestry. Szara, beznadziejnie smutna melodia w końcu zamiera. Zapach bzu w upojną, księżycową noc. Czerwonosrebrny śnieg i cichy dźwięk skrzypiec. Pod bzem stoi kobieta, przed nią klęczy mężczyzna. Skrzypce śpiewają o miłości... coraz głośniej... krzyk... ciemna, stonowana fraza wiolonczel opowiada o szaleństwie marzeń. Jeszcze głośniej... radośniej... światło i łaska. Jasność, serca płoną szczęściem, do nieba wznosi się grzmiąca, miłosna pieśń nad pieśniami.

Odrzucenie. Mężczyzna przy stole, potargane włosy, twarz ukryta w dłoniach. Głuche dudnienie orkiestry. Rozcinają je przenikliwe, ostre jak nóż dysonanse.

Mężczyzna podnosi głowę... krótki, błogi sen o szczęściu, który zaraz się kończy... Płacz... Gwałtowne cięcie.

Następny obraz: błękitny zmierzch, ośnieżone pola. Z przodu urna. Cudownie delikatne, długie akordy w orkiestrze. Powoli zapalają się gwiazdy. Śmiała chromatyka we wcześniejszej melodii. Śnieg nabiera blasku. Stopniowo ukazuje się proscenium. Leży na nim mężczyzna. Nieco się unosi... nasłuchuje. Zza błękitnej zasłony wychodzi tajemnicza postać. Srebrzysty zmierzch i smyczki divisi... Srebrzysty blask ocalenia kładzie się na czole mężczyzny. Mężczyzna klęka. Tajemnicza postać pochyla się nad nim. Podniosły nastrój, wszystko zmierza ku wszechogarniającej harmonii. Wszystko jest srebrem i wybawieniem. Człowieczeństwo. Ściemnia się. Cicho rozbrzmiewa pieśń: „Tyś moja wiosna, cały świat...” Tajemnicza postać podchodzi do urny i kładzie na niej różę. Kurtyna opada. Wraz z perlistym arpedżem harfy milknie orkiestra.

Ernst mówił to wszystko w gorączkowym podnieceniu, z wypiekami na twarzy. Elisabeth zafascynowana pochyliła się wraz z nim nad partyturą. Zrobiło się ciemno.

– Nie żyje... nie ma go! – krzyknął Ernst w nagłym przypływie rozpacz. – Wszystko stracone... wszystko... tylko on mi został... chcę za nim iść... umrzeć... czego jeszcze mogę się spodziewać... wokół same groby... grałem nierozważnie, straciłem wszystko, co kochałem... Chcę umrzeć – rzekł głucho – teraz już znam swoją drogę.

– Musisz żyć – odezwał się głos w ciemnościach.

– Elisabeth, ja naprawdę wszystko straciłem – jęczał Ernst. – Fritz nie żyje, a ty... Elisabeth? – Młody człowiek był całkiem rozbity. – Powiedz choć jedno, Elisabeth – mówił dalej – nie daje mi to spokoju, dręczy po nocach. Czy darujesz mi moją winę, te wszystkie krzywdy, które ci wyrządziłem? Bez tego zniszczy mnie pogarda do samego siebie. Jeśli mi wybaczysz, odejdę po cichu i już nigdy więcej nie stanę na twojej drodze.

Elisabeth zbladła.